

Mumia z embrionem
Sensacyjne odkrycie polskich naukowców

Horror na Pacyfiku
Amerykańscy rozbitkowie pożarci przez rekiny

Klęska w Afganistanie
Jacek Bartosiak o ucieczce Amerykanów

NR 3(109)/2022 MARZEC 2022

CENA 10,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

DO RZECZY
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

Likwidatorzy Armii Krajowej

ŚMIERĆ ZDRAJCOM!

ISSN 2299-5515
DO RZECZY HISTORIA
Nr indeksu 296 031

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI

2022



DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI

ORLEN

PARTNER STRATEGICZNY

eprasa.pl fe6332b98a

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
WWW.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: PIOTR WŁOCZYK

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy:
Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Maciej Strug, Paweł Zdziarski, Łukasz Żygadło.**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Nowakowska, Monika Doroś
tel.: 539 953 631, 508 040 664
pon-pt w godz. 10.00-16.00
prenumerata@pmpg.pl

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.
Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, wrzesień 1934 r.

Kapitan pilot Jerzy Bajan (z lewej) i mechanik Gustaw Pokrzywka, zwycięzcy zawodów lotniczych Challenge



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Zychowicz

AK na cichym froncie

80 lat temu powstała Armia Krajowa. Ramię zbrojne Polskiego Państwa Podziemnego. Następczyni Związku Walki Zbrojnej. Celem organizacji była walka z niemieckim okupantem. Zbieranie informacji wywiadowczych, sabotaż i dywersja. A ostatecznie – wywołanie powstania powszechnego, które miało zdezorganizować tyły Wehrmachtu.

Niemcy – a we wschodniej Polsce również Sowieci – już od 1939 r. zdawali sobie sprawę z zagrożenia, które stanowi dla nich polska konspiracja. Dlatego zwalczali ją wszelkimi dostępnymi środkami. Jednym z nich była infiltracja. Czyli werbowanie agentów w szeregach polskich organizacji. Próba ich rozpracowania i kontrolowania od środka.

Akcja okupantów oczywiście wywoływała reakcję. Polski kontrwywiad starał się chronić organizację. Demaskować zdrajców i stawiać ich przed podziemnymi sądami. Specjalny oddział likwidacyjny wykonywał wyroki „w imieniu Rzeczypospolitej".

Wiele takich historii w swojej książce „Zlikwidować!" przedstawili znakomici badacze – Bartłomiej Szyprowski i Wojciech Königsberg. Każda z tych opowieści mogłaby stać się kanwą scenariusza sensacyjnego filmu. Historycy podkreślają, że gestapo aż do końca nie umiało w pełni rozpracować AK.

Choć oczywiście zdarzały się klęski. Takie jak aresztowanie gen. Stefana Grota-Roweckiego. Doszło do niego w wyniku zdrady trojga Polaków – Ludwika Kalksteina, Blanki Kaczorowskiej i Eugeniusza Świerczewskiego. O aferze tej w tym numerze „Historii Do Rzeczy" pisze Tomasz Stańczyk.

Historia Armii Krajowej obfituje w pasjonujące epizody. Walki partyzanckie, wykradanie tajemnic, kurierzy, cichociemni. „Żegota" i V-2. A wreszcie apokaliptyczny koniec – akcja „Burza" i Powstanie Warszawskie. Warto jednak pamiętać także o „cichym froncie" wojny polsko-niemieckiej. Ciszę tę co pewien czas przerywał huk pistoletowych wystrzałów... ©℗

eprasa.pl fe6332b98a



/ TEMAT NUMERU

.06–09 PIOTR ZYCHOWICZ
Śmierć zdrajcom!

.10–13 TOMASZ STAŃCZYK
Bohater, który zdradził

.14–16 PIOTR WŁOCZYK
Dwie akcje „Kamy”

.18–21 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Wyrok na Józefa Mackiewicza

.22–25 MACIEJ ROSALAK
Niechciana armia niewygodnego sojusznika

/ CZASY I LUDZIE

.26–30 JAKUB OSTROMĘCKI
Krak des Chevaliers

.32–35 PIOTR ZYCHOWICZ
Horror na Pacyfiku

.36–39 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Czeska zemsta

.40–42 LESZEK LUBICKI
Śmiertelny strzał Dunikowskiego

.43–45 PIOTR SEMKA
Żyd, który namalował Rosję

.46–48 MARZENA OŻAREK-SZILKE I WOJCIECH EJSMOND
Tajemnica ciężarnej mumii z Warszawy

.50–53 MAREK GAŁĘZOWSKI
Bohaterskie lekarki

.54–57 MIKOŁAJ IWANOW
Sowiecka Białoruś

.58–60 SŁAWOMIR KOPER
Reduta w państwie ateizmu

/ CO CZYTAĆ

.62–65 RECENZJE

/ FELIETONY

.66–67 JACEK BARTOSIAK
Klęska w Afganistanie

.68 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Rewolucja Forda

.69 PIOTR SEMKA
Dlaczego runął carat?

.83 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
Fałsz „Gierka”



/ KRESY

.70–73 TOMASZ STAŃCZYK
Gry o mołdawski tron (3)

/ BATALIE I WODZOWIE

.74–77 MACIEJ ROSALAK
Pogrom Turków pod Belgradem

.68–69 MICHAŁ MACKIEWICZ
Technika wojskowa



/ TECHNIKA

.80–81 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Opony

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Pod Płowcami 1331

eprasa.pl fe6332b98a

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA IWONA KIENZLER: „TAJEMNICZE ZGONY WŁADCÓW"

SIĘGNIJ PO KSIĄŻKĘ IWONY KIENZLER I ODKRYJ MROCZNE STRONY HISTORII!

Od nagłej i niespodziewanej śmierci ginęli carowie, królowie, książęta. Poznaj najbardziej zagadkowe zejścia z tego świata polskich i europejskich monarchów!

Władysław Warneńczyk, Napoleon, car Aleksander, książę Kentu… Śmierć tych i innych władców otacza aura tajemniczości. Żegnali się z życiem wskutek spisku, otrucia, intrygi, z ręki wybranki, a w przypadku niektórych zostały legendy o ich cudownym ocaleniu.



142 zł
oszczędność 29 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NR.
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl fe6332b98a



Kadr z filmu „Akcja pod Arsenałem”
FOT. FILMOTEKA NARODOWA

Wywiad / Z Wojciechem Königsbergiem i Bartłomiejem Szyprowskim



rozmawia Piotr Zychowicz

Śmierć zdrajcom!

PIOTR ZYCHOWICZ: Każda służba specjalna próbuje zinfiltrować przeciwnika. Jak to wyglądało w przypadku Polskiego Państwa Podziemnego? Jak głęboko Niemcom i Sowietom udało się przeniknąć do polskiej konspiracji?

WOJCIECH KÖNIGSBERG: Jedni autorzy uważają, że polskie podziemie było całkowicie rozpracowane przez gestapo. Inni twierdzą, że to polskie podziemie rozpracowało gestapo i miało informacje o wszystkich funkcjonariuszach i agentach niemieckich. Prawda leży pośrodku. Gestapo miało rozpracowaną większość dużych polskich organizacji podziemnych. Ale tylko do pewnego stopnia. Gdyby mieli je rozpracowane w całości – mogliby je zlikwidować. A to się nie stało. Niemcom udało się jednak umieścić w ich szeregach agentów i szpiegów.

Dobra służba specjalna nie dąży podobno do całkowitego zniszczenia konspiracji. Bo na miejscu zlikwidowanych komórek natychmiast powstają nowe. I całą pracę trzeba rozpoczynać od nowa. Dobra służba specjalna próbuje więc przejąć kontrolę nad wrogą konspiracją. Modelowo zrobiła to chyba NKWD we Lwowie wobec ZWZ.

BARTŁOMIEJ SZYPROWSKI: Niestety na początku lwowska konspiracja niezbyt dbała o bezpieczeństwo. Wygląd wojsk sowieckich, które opanowały teren wschodniej

eprasa.pl fe6332b98a

Polski, był opłakany. Mundury, ekwipunek – wszystko to wyglądało fatalnie. Polscy konspiratorzy uznali, że Sowieci są nic niewarci. I to był duży błąd. Sowieci mieli doskonałą służbę wywiadowczą i kontrwywiadowczą. W efekcie szybko dotarli do szeregów podziemia. Starali się werbować konspiratorów. Aresztowali wielu kurierów, oficerów. Ci, którzy zgodzili się współpracować, byli wypuszczani z więzienia.

I wracali do organizacji jako podwójni agenci?

B.S.: Dokładnie. Najsłynniejszym z nich był ppłk Emilian Macieliński „Kornel", dowódca lwowskiej siatki ZWZ. Dokumenty, które badaliśmy, zdają się potwierdzać to, że został przewerbowany przez NKWD. Na stanowisku dowódcy konspiracji we Lwowie dotrwał do ataku Niemiec na Sowiety w 1941 r.

Jak potoczyły się jego dalsze losy?

B.S.: Po przejściu frontu część oficerów lwowskiego ZWZ przedostała się do Warszawy. Przedstawili dowody zdrady Macielińskiego. Odbył się proces przed podziemnym sądem. Uznał on „Kornela" za winnego. Wyrokiem była śmierć. Macieliński został zastrzelony.

Ta sprawa wzbudza kontrowersje. Są ludzie, którzy uważają, że „Kornel" został skazany niesłusznie. A za całą sprawą stali prawdziwi agenci NKWD, którzy fałszywie go oskarżyli.

B.S. W archiwach rosyjskich znajduje się memorandum do władz sowieckich napisane przez Macielińskiego. Również inne dokumenty potwierdzają, że współpracował z Sowietami. Oficerowie, którzy go oskarżyli – Edward Metzger i Edward Gola – także byli agentami. Wina Macielińskiego nie wzbudza jednak wątpliwości.



Emil Macieliński FOT. WIKIPEDIA

Jak Polskie Państwo Podziemne likwidowało zdrajców?

W.K.: Na początku przy Komendzie Głównej ZWZ działały Sądy Kapturowe, które potem przemianowano na Sądy Specjalne. Ich postępowanie opierało się na przedwojennym prawie polskim. Nie zabijano ludzi z powodu widzimisię dowódcy oddziału partyzanckiego. Przeprowadzano normalne postępowanie dowodowe. A potem przygotowywano akt oskarżenia. Nie była to wolnomerykanka ani „Dziki Zachód". Jeżeli chodzi o wyższych rangą agentów gestapo w szeregach polskiej konspiracji, to wyroki musiał zatwierdzać sam komendant ZWZ/AK.

Na początku chyba nie bardzo miał kto wykonywać wyroki. Agent gestapo Stanisław Brochwicz w marcu 1941 r. został zasztyletowany na schodach mostu Poniatowskiego. Wyrok podobno wykonał kryminalista wynajęty przez podziemie.

B.S.: Nic mi nie wiadomo na temat tego, że na Brochwicza zapadł wyrok Sądu Kapturowego. Nie mogę więc zgodzić się ze stwierdzeniem, że ZWZ musiał odwoływać się w takich sprawach do ludzi z półświatka. Sądowe wyroki śmierci były wykonywane przez oddziały likwidacyjne. Pierwszym takim oddziałem w Warszawie był Zakład Oczyszczania Miasta (ZOM), który zlikwidował m.in. aktora Igo Syma. W późniejszym czasie powstał oddział likwidacyjny 993/W por. Leszka Kowalewskiego.

Czyli Brochwicz został zlikwidowany, zanim stworzono te struktury?

B.S.: Tego nie wiadomo. Bo w materiałach sądowych nie ma wyroku na tego człowieka.

Którą służbę uważają panowie za skuteczniejszą w walce z polskim podziemiem? NKWD czy gestapo?

B.S.: NKWD.

W.K: Muszę przyznać Bartkowi rację. NKWD rozbiło konspirację we Lwowie.

Mówiliśmy o Macielińskim. Przenieśmy się więc pod okupację niemiecką. Co to był Nadwywiad?

W.S.: Była to organizacja Józefa Hamera „Baczewskiego". Był to przedwojenny oszust. Najprawdopodobniej już przed wojną nawiązał współpracę z Abwehrą, a od początku okupacji – z gestapo. Stworzony przez niego Nadwywiad był organizacją podszywającą się pod strukturę rzekomo namaszczoną przez gen. Władysława Sikorskiego. Miała ona sprawować funkcję kontrolną nad wszystkimi organizacjami konspiracyjnymi. W rzeczywistości działała z ramienia służb niemieckich. Sukcesem tej organizacji było przeniknięcie do struktury kontrwywiadu AK w więzieniu na Pawiaku.

To była koronkowa operacja. Członkowie organizacji Hamera byli przekonani, że pracują dla rządu na uchodźstwie. A pracowali dla agenta gestapo.

W.K.: W Nadwywiadzie było od kilkudziesięciu do 200 osób. 95 proc. z nich to byli nieświadomi roli Hamera polscy patrioci. Dopiero gdy kontrwywiad AK się z nimi skontaktował i wyjaśnił sytuację, podjęli współpracę z właściwymi, niepodległościowymi organizacjami. Tylko ok. 10 osób z grupy Hamera było świadomymi agentami gestapo czy Abwehry.

Co się stało z Hamerem?

B.S.: Został zastrzelony.

W jakich okolicznościach?

W.K.: To się stało 1 sierpnia 1942 r. na Tamce w Warszawie. Po zamachu żył jeszcze kilka minut. Polska Policja zdążyła go przesłuchać. Policjanci sprawdzili jego dokumenty. Hamer dał im kartkę z numerem na gestapo. Poprosił, żeby zadzwonili i poinformowali Niemców, co się stało. Przetransportowano go do szpitala, ale na miejsce dowieziono trupa.

O każdej z opisanych przez panów historii można by nakręcić sensacyjny film! Jak rozumiem, wyroki zapadały na konkretnych ludzi. Odpowiedzialność była indywidualna?

B.S.: Zgodnie z rozkazem Naczelnego Wodza obywatela polskiego można było zastrzelić tylko z wyroku sądu. Likwidacja prewencyjna była dopuszczalna tylko wtedy, gdy istniało bezpośrednie i natychmiastowe zagrożenie bezpieczeństwa organizacji. Wtedy można było zabić człowieka bez wyroku. Ale materiały wskazujące na jego szkodliwą działalność należało przekazać do sądu, którego zadaniem była ocena, czy decyzja była prawidłowa.

Wymiar sprawiedliwości powinien działać jak chirurgiczny skalpel. Tymczasem w trakcie likwidacji Józefa Staszauera chłopcy z konspiracji wkroczyli do kawiarni Za Kotarą i otworzyli ogień z broni maszynowej. Zginął Staszauer, ale razem z nim kilku przypadkowych

eprasa.pl fe6332b98a



polskich cywilów. Między innymi kelnerka. Jak panowie oceniacie tę akcję?

B.S.: Na Staszauera nie wydano wyroku. To była właśnie likwidacja prewencyjna. Staszauer był uplasowany wysoko w Oddziale V Komendy Głównej AK. Mógł się dowiedzieć o tym, że podjęto działania zmierzające do wydania na niego wyroku. Mógł uciec lub – przez swoje „dojścia" – anulować wyrok.

Niewinnym Polakom zastrzelonym w tej kawiarni było chyba wszystko jedno, czy to była likwidacja prewencyjna czy z wyroku. Czy to się często zdarzało, że zabijano przypadkowych ludzi, czy to był wyjątek?

B.S.: To zależało od sytuacji na miejscu. Staszauer wyciągnął pistolet i próbował się bronić. Zresztą nie tylko on – bo jeden z obecnych na sali polskich policjantów też to zrobił. Nazywał się Pawlak. Najprawdopodobniej pomyślał, że to jego chcą zlikwidować. W efekcie doszło do strzelaniny. Podobnie było podczas likwidacji Lolka Skosowskiego. Zastrzelono dziewczynę, która – jak się później okazało – była współpracowniczką AK. Dzisiaj łatwo się o tym mówi. Ale weźmy pod uwagę to, że żołnierze konspiracji żyli w napięciu. Gdy wchodzili do miejsca, w którym mieli dokonać likwidacji, nie wiedzieli, co tam zastaną... Można więc uznać, że były to ofiary wojny. Najczęściej nie zostawiano świadków likwidacji. W przypadku żołnierzy z warszawskiego Kedywu zostawienie świadka na miejscu skończyło się raz tragicznie. Spowodowało, że świadek rozpoznał później uczestnika akcji na ulicy i spowodował jego aresztowanie. Były to więc trudne decyzje. Ale wszystko działo się w ułamkach sekund. To nie były czarno-białe sytuacje.

Może więc oficer nie powinien był wybierać miejsca publicznego do dokonania takiej akcji, tylko zrobić to gdzieś na uboczu? Gdy mówił pan o likwidowaniu świadków, muszę powiedzieć, że ciarki przeszły mi po plecach. Porozmawiajmy o Staszauerze...

W.K.: Staszauer – tak samo jak Hamer – był Żydem. Urodził się w Łodzi. Jego ojciec był nauczycielem muzyki. Skończył niemieckie gimnazjum. Studiował przez kilka semestrów prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim. W Łodzi i Gdyni prowadził restauracje. Wszystkie jego biznesy kończyły się ogłoszeniem upadłości. Miał sprawy sądowe za oszustwa. W czasie wojny wypłynął w Warszawie. Mimo że był Żydem, mieszkał w kilkupokojowym mieszkaniu, otworzył kawiarnię. Jeździł do Rumunii, Szwajcarii i Francji niemieckimi samochodami. Jednocześnie Staszauer nie tylko dostał się do szeregów AK, lecz także został żołnierzem Komendy Głównej.

W podziemiu nikomu nie zapaliła się czerwona lampka?

W.K.: Gdy go werbowano, przełożony zwrócił się o opinię do podziemnego kontrwywiadu. Opinia była negatywna. Jednak jego przełożony – Wojciech Lilienstern „Wiktor" – uznał, że Staszauer współpracuje z gestapo dla dobra organizacji.

Jak to?

W.K.: No cóż. W kartotece kontrwywiadu byli nie tylko agenci. Znajdowała się w niej choćby Irena Sendlerowa jako osoba, która utrzymywała kontakty z Niemcami. A wiemy przecież, że te kontakty były jej potrzebne do ratowania żydowskich dzieci. Sprawa Staszauera miała dramatyczny finał. Agent wydał Lilienstern, który został aresztowany i stracony. Ale przed śmiercią wysłał z więzienia gryps, w którym napisał, że Staszauer jest zdrajcą.

Dlaczego człowiek, który jest w konspiracji, a więc patriota, przechodzi na stronę wroga? Jakie były motywy tych ludzi?

B.S. Nie wszyscy szli do konspiracji z przyczyn patriotycznych. Niektórzy szli, żeby się dorobić, komuś zaimponować, mieć lepszą pozycję w towarzystwie. Motywy zdrady mogły być jednak różne. Nie tylko materialne. W grę mogły wchodzić naciski ze strony okupanta. Fizyczne i psychiczne. Weźmy Ludwika Kalksteina, który stworzył świetną siatkę wywiadowczą. Człowiek ze znakomitej, patriotycznej rodziny. Gdy w 1942 r. trafił do rąk gestapo, przeszedł na stronę Niemców. Jedni mówią, że był to wynik bestialskich metod śledczych. Inni, że Niemcy torturowali jego najbliższych. Z kolei Zygmunt Sztuka „Rust" chciał wydobyć na wolność żonę. Tu motywem zdrady była więc miłość.

Przejdźmy teraz do najbardziej kontrowersyjnej kwestii. Bolesław Prus napisał kiedyś nowelę „Omyłka". Tematem jest lincz, którego grupa powstańców styczniowych dopuszcza się na starszym panu podejrzewanym o współpracę z caratem. Okazuje się, że człowiek ten był niewinnym patriotą. Czy takie rzeczy się zdarzały też w Polskim Państwie Podziemnym? Czy proces, w którym podsądny nie może się bronić, może być uczciwy?

B.S.: Procesy przed Wojskowym Sądem Specjalnym miały charakter procesów inkwizycyjnych, ale w pozytywnym znaczeniu tego słowa. Proces taki polega na



WOJCIECH KÖNIGSBERG, BARTŁOMIEJ SZYPROWSKI „ZLIKWIDOWAĆ. AGENCI GESTAPO I NKWD W SZEREGACH POLSKIEGO PODZIEMIA"
HORYZONT ZNAK

eprasa.pl fe6332b98a



tym, że sędzia ocenia okoliczności zarówno na korzyść, jak i na niekorzyść oskarżonego. W warszawskich sądach AK orzekali przedwojenni sędziowie i prokuratorzy z dużym stażem. Potrafili analizować materiał dowodowy i wyciągać z niego wnioski. Sąd, jeżeli uznawał, że materiał dowodowy jest niewystarczający, zwracał go prokuratorowi do uzupełnienia. Procesy te – w moim przekonaniu – były więc prowadzone rzetelnie.

Panie Wojciechu, a pan nie ma żadnych wątpliwości? Nie dochodziło do pomyłek?

W.K.: Tak jak obecnie w sądach dochodzi do pomyłek, tak i dochodziło do nich w konspiracji. Ale pamiętajmy, że tylko Polskie Państwo Podziemne stworzyło takie sądy. W innych konspiracjach zdrajców likwidowano na zasadzie sądów polowych. W partyzantce jugosłowiańskiej i francuskiej nie rozpatrywano dogłębnie takich spraw. Polskie sądy nie opierały się na donosach, ale na wiarygodnych meldunkach członków konspiracji.

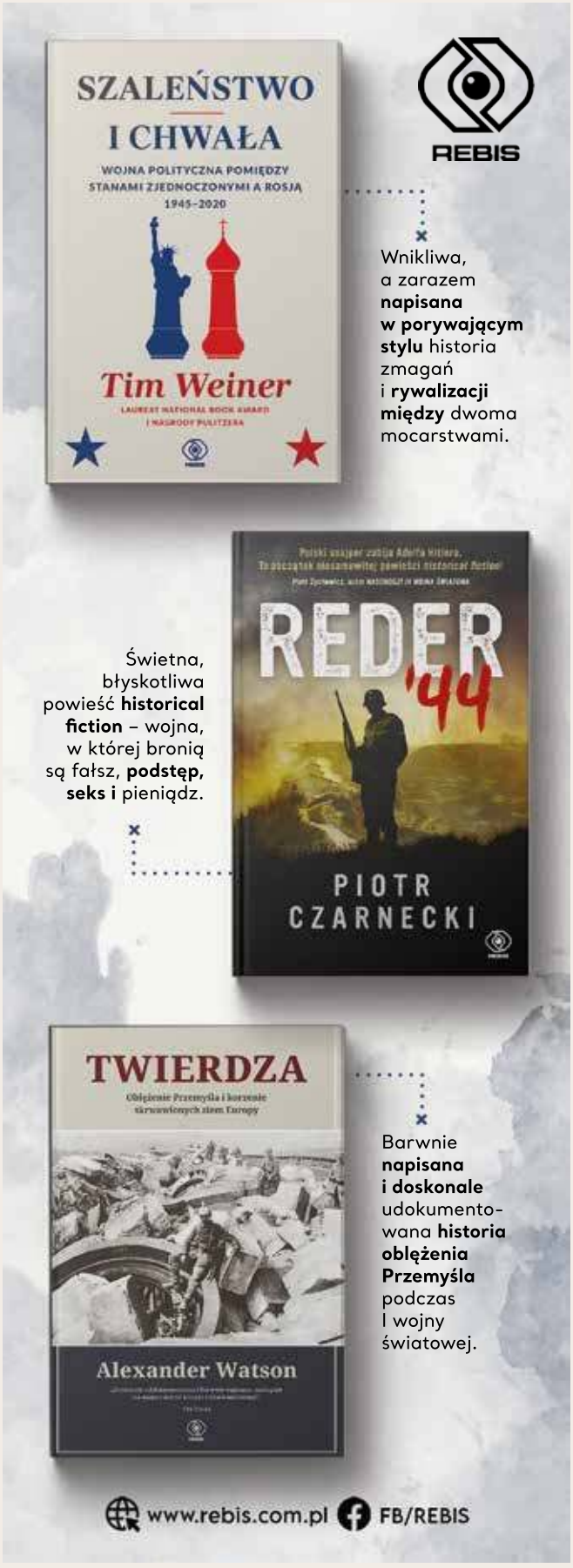
Mówiliśmy o podsądnych i procedurach. A teraz porozmawiajmy o wykonawcach wyroków. Czy wiemy, jakie były skutki psychologiczne dla tych – często młodych – chłopców?

B.S.: Jest bardzo mało świadectw na ten temat. Członkowie oddziałów likwidacyjnych uznawali się nie tyle za żołnierzy, ile za katów. I wychodzili z założenia, że nie ma się czym chwalić. Ta działalność była konieczna, ale nie chcieli się na ten temat rozpisywać. Żeby rozładować napięcie psychiczne, np. po akcji, oddział 993/W miał długie odprawy, podczas których każdy mógł się wypowiedzieć i wyrzucić z siebie emocje. Najgorszy – z perspektywy psychologicznej – jest pierwszy strzał oddany do człowieka. Każdy następny nie robi już takiego wrażenia. Żeby nie popaść w falę bandytyzmu i działań na własną rękę, do oddziału likwidacyjnego wybierano osoby o wyrobionym charakterze. A więc powyżej 18 lat. Chociaż oczywiście zdarzały się wyjątki. Niestety, w tamtych czasach żołnierze nie mieli dostępu do takiej pomocy psychologicznej jak obecnie.

W.K.: Strzelanie do wroga w szeregach partyzantki to jest rzecz w wojsku normalna. Co innego strzelanie do człowieka bezbronnego, z bliskiej odległości. To oczywiście miało wpływ na wykonawców. Rozmawiałem kiedyś z żołnierzem ze Zgrupowań Partyzanckich AK „Ponury”, który musiał strzelać do człowieka. Powiedział mi, że przez kilka następnych miesięcy miał przed oczami jego twarz. Kiedy naciskał na spust, miał 22 lata. To były zadania konieczne, ale na pewno nie były „przyjemne”.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl fe6332b98a



Warszawska siedziba gestapo przy al. Szucha
FOT. ALAMY/BE&W

1940–1944 / Rozbicie „Straganu" i ujęcie gen. Stefana Grota-Roweckiego

Bohater, który zdradził



Tomasz Stańczyk

Ludwik Kalkstein był asem wywiadu Armii Krajowej i agentem gestapo. W obu wcieleniach miał wielkie sukcesy

Utrzymywał, że jest potomkiem Krystiana Ludwika Kalksteina, szlachcica z Prus Książęcych, zaangażowanego w spisek przeciw elektorowi Fryderykowi Wilhelmowi, który go kazał porwać z terenu Rzeczypospolitej i stracić w 1672 r. Nie ma jednak potwierdzenia w dokumentach, że Ludwik Kalkstein był potomkiem Krystiana Ludwika, co nie oznacza jednak, że nie należał do tej samej rodziny. Ludwik Kalkstein przekonywał w rozmowie z reporterem Krzysztofem Kąkolewskim, że został wychowywany zgodnie z tradycją jego rodu, w nienawiści do Prusaków – Niemców. Miało to tłumaczyć jego udział w wywiadzie Armii Krajowej.

Urodził się w 1920 r. w Warszawie, a w roku wybuchu drugiej wojny światowej ukończył gimnazjum. Według własnych słów walczył w kampanii wrześniowej jako ochotnik, po jej zakończeniu znalazł się w Wilnie, gdzie był członkiem polskiej konspiracji. Na początku 1940 r. wrócił do Warszawy. Spotkany kolega szkolny, pracujący w wywiadzie AK,

eprasa.pl fe6332b98a



skontaktował go ze swoim przełożonym. W ten sposób Kalkstein znalazł się w wywiadzie ofensywnym AK o kryptonimie Stragan i zorganizował tam grupę wywiadowczą „H".

„Zastanawia jednak naiwność, niewątpliwa w moim przekonaniu – pisał Witold Pronobis – bezpośredniego przełożonego Kalksteina, oficera z liczącym się stażem, mjr. Stanisława Rogińskiego, jak mógł wyrazić na to zgodę. Powierzył nieznanemu sobie, bardzo młodemu człowiekowi, liczącemu zaledwie 22 lata i pozbawionemu jakichkolwiek doświadczeń konspiracyjnych, dowództwo komórki wymagającej specjalistycznej wiedzy wojskowej. Niezrozumiałe jest dla mnie dopuszczenie go w tych okolicznościach do tajemnic personalnych rozgałęzionej po całej Europie siatki informatorów, a także narażenie na niebezpieczeństwo wsypy, jak się okazało, niebezzasadne, dowództwa »Straganu« i całego Oddziału II Komendy Głównej AK (W. Pronobis, „Generał Grot. Kulisy zdrady i śmierci").

Jednak pomiędzy początkiem pracy Kalksteina w wywiadzie ZWZ/AK a powstaniem grupy „H" minął więcej niż rok, przełożeni mieli okazję go ocenić, a sprawdzian wypadł dobrze, skoro powierzono mu odpowiedzialne stanowisko. Wykazał się na nim niewątpliwymi sukcesami. Należało do nich wykradzenie z niemieckiej jednostki na Okęciu mapy dyslokacji lotnisk Luftwaffe. W oświadczeniu napisanym przez Kalksteina w 1975 r. dla MSW – publikowanym w książce Pronobisa – stwierdzał, że członkini grupy „H", Janina Nagórzewska, nawiązała na jego polecenie romans z Patzeltem, podoficerem sztabowym oddziału II Floty Lotniczej. Dzięki temu mapa została wykradziona i sfotografowana.

Innym dużym sukcesem było zwerbowanie Sławy Fassbender, byłej żony polskiego oficera, podczas wojny żony wysokiego oficera kawalerii SS. Otrzymała ona pseudonim Erika 2. „Zaczęła przekazywać wiadomości o sztabach i operacjach SS – relacjonował Kalkstein Kąkolewskiemu – dane personalne o wyższych oficerach SS i o Kwaterze Głównej Hitlera. Potem dostała od grupy »H« zadanie nawiązania intymnych stosunków z generałem SS Fegeleinem, ożenionym z siostrą Ewy Braun, będącym więc blisko osoby Hitlera. W ten sposób mielibyśmy dotarcie do samego Hitlera i mogliśmy myśleć o zamachu na niego" (K. Kąkolewski, „Trzy złote za słowo").

Piękna Blanka

W grupie „H" pracowała od końca 1941 r. jako maszynistka i sekretarka Blanka Kaczorowska, wówczas 19-latka. Wcześniej należała do komórki „Straganu" w Siedlcach. Zakochała się wówczas z wzajemnością w oficerze Wehrmachtu Johannesie Berencie. Została aresztowana przez gestapo, lecz Berent uzyskał jej zwolnienie. Po tym incydencie ściągnięto ją do pracy w Warszawie, w grupie Kalksteina, który był pod wrażeniem jej urody. „Kalkstein postanawia, że ona musi się zakochać w kimś z jego grupy, która to miłość zneutralizowałaby więzy łączące ją z Niemcem. Jednak to on sam, Kalkstein, zakochuje się w Blance" – relacjonował Kąkolewski.

Stanisław Jankowski „Agaton", cichociemny, kierownik wydziału legalizacji i techniki Oddziału II Komendy Głównej AK, do którego została skierowana na przeszkolenie, stwierdzał: „Była śliczna, młoda, elegancka […], inteligentna, uważna" (S. Jankowski, „Z fałszywym ausweisem w prawdziwej Warszawie").

Efektywna praca grupy „H" została doceniona odznaczeniem Kalksteina w końcu 1941 r. – już po niespełna roku działalności – Krzyżem Walecznych. Uhonorowano nim także za pracę w Siedlcach Blankę Kaczorowską.



Ludwik Kalkstein FOT. WIKIPEDIA



Blanka Kaczorowska FOT. WIKIPEDIA

Na przełomie lutego i marca 1942 r. gestapo aresztowało Patzelta, a następnie Janinę Nagórzewską. „Był to początek końca grupy – stwierdzają Andrzej Chmielarz i Andrzej Kunert. – W toku śledztwa Gestapo uzyskało informacje pozwalające na aresztowanie Kalksteina, w wyniku czego grupa »H« zaprzestała działalności" (A. Chmielarz, A.K. Kunert, „Spiska 14. Aresztowanie generała »Grota« Stefana Roweckiego").

W liście pisanym w 1963 r. do obrońcy Ludwika Kalksteina przed sądem PRL, publikowanym w książce Pronobisa,

eprasa.pl fe6332b98a

ktoś podający się za członka grupy „H” (jednak według autora był to sam Kalkstein) przedstawia powody aresztowania Kalksteina w innym świetle, co nie musi zaprzeczać temu, że przyczyniły się do tego – jak sam stwierdzał – także lub przede wszystkim zeznania Patzelta i Nagórzewskiej. Autor listu zaraz po aresztowaniu swego szefa zapytał o przyczyny jednego z oficerów grupy. Usłyszał, że „Kalkstein wpadł na skutek afery w kierownictwie »Straganu«, które usiłuje to tuszować – w czym pomaga defensywa – i popełniają dalsze świństwa. Zaczęło się od próby przechwycenia agenta grupy »H« (wtyczki w sztabie II Floty Lotniczej) do sekcji zachodniej. Chodziło o jakiś kant materialny. Kalkstein nie chciał się zgodzić. Był niewygodny...”. To wyraźna sugestia, a może insynuacja, że szef grupy „H” został zadenuncjowany przez współtowarzyszy z konspiracji.

Poczuł się Niemcem

Ludwik Kalkstein przez kilka miesięcy nie „sypał”. Najprawdopodobniej do załamania się i zdrady doprowadziły go tortury, którym był poddawany, i maltretowanie w jego obecności ojca. Bernard Zakrzewski „Oskar”, szef wydziału bezpieczeństwa i kontrwywiadu Oddziału II KG AK, stwierdzał: „Oczywiście, w sprawach, w których było aresztowanych kilka osób, łatwiej o zaplątanie się w jakieś sprzeczności w zeznaniach i zabrnięcie w sytuację bez wyjścia. Nic jednak nie może tłumaczyć gorliwości i energii, z jaką Kalkstein, przebywając w więzieniu, oddawać zaczął Niemcom cenne dla nich usługi” (za: A. Chmielarz, A.K. Kunert, „Spiska 14. Aresztowanie generała »Grota« Stefana Roweckiego”).

Kalkstein po aresztowaniu przez UB zeznawał, że opowiedział gestapowcom o działalności grupy „H”, podał nazwiska 20 osób, adresy lokali „Straganu” i podpisał zobowiązanie do współpracy. Krzysztofowi Kąkolewskiemu tak przedstawiał swoje oświadczenie złożone w siedzibie gestapo: „Ja wychowałem się na terenie Polski, chodziłem do polskiej szkoły, uważałem, że mam obowiązek wobec mojej nowej ojczyzny bronić jej. Teraz po głębszym zastanowieniu uważam, że mnie, Niemcowi, wolno już poczuć się zwolnionym z przysięgi. Czuję się Niemcem. Jestem człowiekiem młodym, proszę o uwzględnienie pomyłki, danie mi możliwości rehabilitacji siebie i rodu wobec III Rzeszy”.

Jak twierdził Kalkstein, był to wybieg potrzebny do zyskania zaufania Niemców, chciał bowiem wcielić się w rolę XX-wiecznego Konrada Wallenroda (twierdził, że na potrzeby nowej, niemieckiej tożsamości przybrał nieprzypadkowo imię Konrad). Liczył, że dostanie się do gwardii przybocznej Adolfa Hitlera, i sugerował, że z celem dokonania na niego zamachu.

W sierpniu 1942 r. rozpoczęły się aresztowania członków grupy „H” i „Straganu”. Na wolności pozostali jednak podwładni Kalksteina – Blanka Kaczorowska i Eugeniusz Świerczewski, były mąż siostry Kalksteina. Ludwik Kalkstein nie zadenuncjował ich, chroniąc bliskie sobie osoby albo – co bardziej możliwe – uznał, że wciągnie ich, już jako niemiecki agent, do współpracy. Zresztą jedno nie wyklucza drugiego.

Dziwić może, że w ogóle doszło do aresztowań w strukturach wywiadu AK. Od wpadki Kalksteina minęło kilka miesięcy. Twierdził, że miał prawo uważać, iż w tym czasie ukryto ludzi, zmieniono pseudonimy i lokale. Nie wiedziano przecież, czy szef grupy „H” nie sypie. Być może do uśpienia czujności kontrwywiadu AK przyczyniła się puszczona przez Niemców plotka, że Kalkstein został rozstrzelany. Można było domniemywać, że gdyby zdradził, nie zostałby zabity. Tak czy inaczej, nie podjęto żadnych działań, by ochronić ludzi, z którymi Kalkstein miał kontakt.

Wywodowi Kalksteina zaprzeczyli historycy Andrzej Chmielarz i Andrzej Kunert, stwierdzając, że „sam Kalkstein zeznawał szczegółowo, w jaki sposób, śledząc sekretarkę szefa »Szlabanu«, doprowadził Niemców do czynnego lokalu konspiracyjnego, gdzie wkrótce potem aresztowano kilka osób”. Nasuwa się jednak pytanie: Dlaczego tego lokalu ze względów bezpieczeństwa nie zlikwidowano po aresztowaniu Kalksteina?

Ludwik Kalkstein spowodował aresztowanie wielu ludzi „Straganu”, w tym grupy „H”. Jednak, chcąc podzielić się winą, obciążał wiele innych osób albo zamierzał wręcz całkowicie się wybielić. Wspomniany list do obrońcy Kalksteina zawiera twierdzenie, że „zaszła tragiczna pomyłka, p. Kalkstein jest całkowicie niewinnym [...], w rękach Gestapo znajdowało się, jak wspomniałem, kilkanaście osób z wywiadu, z których co najmniej połowa – jak nam było wiadomo – załamała się podczas tortur”.

W tym kontekście wymieniony był mjr Stanisław Rogiński, szef „Straganu, aresztowany w końcu sierpnia 1942 r., który miał się załamać na drugi dzień po ujęciu (Rogiński został rozstrzelany). W końcu sierpnia zaczęły się też aresztowania członków „Straganu”. Jednak Kalkstein, według własnych, powojennych zeznań, zaczął „sypać” wcześniej, na przełomie lipca i sierpnia.

Ludwik Kalkstein został zwolniony jesienią 1942 r. Niezwłocznie spotkał się z Eugeniuszem Świerczewskim, którego adres podał mu oficer prowadzący Erich Merten. Gestapowiec powiedział Kalksteinowi, że „dopóki nie przekona [do współpracy – przyp. T.S.] Świerczewskiego, rodzice i siostra Nina pozostaną na Pawiaku. Świerczewski szybko zaakceptował te warunki” (W. Pronobis, „Generał Grot. Kulisy zdrady i śmierci”). Jednak Świerczewski przesłuchiwany niecałe dwa lata później, przed wykonaniem na nim wyroku śmierci przez egzekutorów AK, miał powiedzieć, że to on nakłonił Kalksteina do współpracy, aby ratować byłą żonę oraz jej i Kalksteina rodziców.

Aresztowanie „Grota”

30 czerwca 1943 r. rano gen. Stefan Grot-Rowecki, komendant główny Armii Krajowej, przyszedł do konspiracyjnego lokalu przy ul. Spiskiej 14 w Warszawie. Wkrótce potem dom został otoczony przez niemiecką policję. Zatrzymanemu generałowi jeden z gestapowców miał powiedzieć, że wie, kim jest, wymienił jego nazwisko i funkcję.

Ludwik Kalkstein zeznawał po wojnie: „W końcu czerwca 1943 r. Świerczewski spotkał Roweckiego na Solcu”. Nasuwa się pytanie, czy było to spotkanie przypadkowe. „Zaczął prowadzić za nim obserwację – kontynuował Kalkstein. – Tramwajami dojechał za Roweckim do pl. Narutowicza i tam Rowecki skręcił w jedną z ulic, o ile pamiętam, w ulicę Spiską, i zatrzymał się w jednym z domów. Świerczewski wówczas telefonicznie z pl. Narutowicza powiadomił Gestapo”.

WWW.DOBRZECZY.PL

eprasa.pl fe6332b98a



Zdjęcie sygnalityczne z MBP Ludwika Kalksteina FOT. IPN

Czy to właśnie Świerczewski wydał dowódcę Armii Krajowej? Podczas przesłuchania przez kontrwywiad AK Świerczewski, o ile przyznał się od razu do zadenuncjowania ppłk. Mariana Drobika „Dzięcioła", szefa Oddziału II KG AK, oraz – wraz z Kaczorowską – lokalu Biura Studiów KG AK, nie jest pewne, czy przyznał się też do winy za aresztowanie gen. Roweckiego. Według Andrzeja Kunerta i Andrzeja Chmielarza faktyczny szef kontrwywiadu AK Stefan Ryś raz stwierdzał, że Świerczewski przyznał się do wydania „Grota", innym razem zaprzeczał. Nie wiadomo więc, co powiedział Eugeniusz Świerczewski w ostatniej chwili przed wykonaniem na nim wyroku śmierci w czerwcu 1944 r.

Skoro Świerczewski rozpracowywał „Grota", trudno uwierzyć, by Kalkstein o tym nie wiedział. Jednak składając po wojnie zeznania, Kalkstein odcinał się zdecydowanie od winy za aresztowanie komendanta głównego AK. Twierdził, że niezadowolony z jego pracy Merten zaczął go szantażować, zmuszając do efektywniejszego działania. Dlatego też Kalkstein rzekomo „sfingował akcję na Roweckiego; w tej akcji zaangażował całe Gestapo. Roweckiego jednak nie znaleziono". A gdy dowiedział się o aresztowaniu „Grota", miał, jak twierdził, przeżyć niemal szok. „Było dla mnie ciosem, bo nie wiedziałem o tym, że Świerczewski znał adres Roweckiego".

Cios w „Stragan"

Ludwik Kalkstein polecił swojej żonie Blance wznowienie pracy w konspiracji. Dzięki znajomości z dawną nauczycielką Jadwigą Krasicką, pracującą w Biurze Studiów Komendy Głównej AK, została w nim zatrudniona. Nie wiedziano, że Kalkstein żyje, a tym bardziej że jest niemieckim agentem. „Tym niemniej wydaje się nieroztropne – oceniał Witold Pronobis – dalsze dopuszczanie bliskiej mu osoby (przecież jej romans z Kalksteinem musiał być zauważony) do kontynuowania pracy w najbardziej tajnym i wyspecjalizowanym wydziale AK, zajmującym się sprawami wywiadu, kontrwywiadu i bezpieczeństwa! Zwłaszcza że dotarł już gryps Ossowskiej z Pawiaka, poważnie obciążający Kalksteina". Wanda Ossowska była kierowniczką łączności „Straganu", po aresztowaniu rozpoznała w siedzibie gestapo roześmianego Kalksteina, w komitywie z Niemcami. Zorientowała się, że „to on poprawiał nasze zeznania, to on prostował nasze kłamstwa" (Wanda Ossowska w książce „Wspomnienia więźniów Pawiaka").

Blanka Kaczorowska zadenuncjowała swego szefa kpt. Karola Trojanowskiego, kierownika jednej z sekcji „Straganu" (poszedł, jak ona, na współpracę z gestapo), i wiele osób z Biura Studiów, w tym Krasicką.

Witold Pronobis uważał, że zrazu agenturalna działalność Kaczorowskiej na rzecz Niemców wynikała być może z zaślepienia uczuciem do Kalksteina (wzięli ślub), ale później dołączyły się do tego inne motywy. „Podobnie jak i on – sądził Pronobis – musiała mieć predyspozycje do czynienia zła, brak uczuciowości wyższej, co pomogło jej w skutecznym pozbyciu się wszelkich hamulców moralnych".

Ludwik Kalkstein i Blanka Kaczorowska zostali także – jak Eugeniusz Świerczewski – skazani przez podziemny sąd AK na karę śmierci. Przed wykonaniem wyroku uchroniła Kaczorowską widoczna ciąża. Inna to rzecz, że mieszkali w strzeżonej dzielnicy niemieckiej w Warszawie, a po zniknięciu Świerczewskiego (mogli się domyślać, że został zabity przez AK) wyprowadzili się na jakiś czas ze stolicy. Zresztą Świerczewski, przesłuchiwany przed wykonaniem na nim wyroku, nie chciał powiedzieć, gdzie Kalkstein (a więc i jego żona) się znajduje. Być może wiedząc, że straci życie, chciał przynajmniej ich ocalić.

Po wojnie

Ludwik Kalkstein i Blanka Kaczorowska nie podążyli w 1945 r. za niemieckimi mocodawcami. Zostali w Polsce, lecz już się nie zeszli. Kalkstein przybrał inne nazwisko, próbował przejść przez „zieloną granicę". Pracował m.in. jako dziennikarz w Szczecinie. Kaczorowska studiowała historię sztuki. W 1952 r. została aresztowana, otrzymała wyrok dożywocia, w wyniku amnestii zmniejszono karę do kilkunastu lat więzienia. W 1953 r. aresztowano Kalksteina, także on został skazany na dożywocie i również amnestia złagodziła wyrok. Choć tak naprawdę komunistyczna władza powinna ich raczej po cichu nagrodzić za zasługi w walce z Armią Krajową. Oboje służyli nowym panom. Kaczorowska była agentką celną i zapewne dlatego wyszła z więzienia już w 1958 r. Była współpracowniczką kontrwywiadu MSW w latach 1959–1962 i od 1967 r. najprawdopodobniej do roku 1972. „W toku pracy dla nas – oceniali pracownicy MSW – została wielokrotnie sprawdzona i bardzo silnie związana z nam. (W. Grabowski, „Kalkstein i Kaczorowska w świetle akt UB", „Biuletyn IPN" 8–9, 2004).

Kalkstein zadeklarował chęć współpracy z MSW na dowolnie wybranym odcinku, sugerował, że mógłby przydać się w walce z radiową propagandą Zachodu. Miał fermę kur, hodował świnie. W 1982 r. wyjechał do Francji, ale osiadł w Monachium i pracował w bibliotece Polskiej Misji Katolickiej pod nazwiskiem Ciesielski. Witoldowi Pronobisowi, wówczas dziennikarzowi Radia Wolna Europa, powiedział, że podczas wojny „grał swoją grę", miał wyższe cele, których nikt nie chce zrozumieć. I rzucił znacząco pod adresem pracownika RWE: „Was też rozgryzłem", co sugerowało jego agenturalną działalność. Zmarł w 1994 r. Blanka Kaczorowska opuściła Polskę w 1968 r., mieszkała we Francji. Na starość znalazła się w Polskim Domu Spokojnej Starości w Lailly-en-Val, gdy jednak odkryto jej tożsamość, musiała się przenieść do innego domu opieki. Zmarła w 2002 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fe6332b98a



Inscenizacja zamachu na Franza Kutscherę
FOT. BARTŁOMIEJ ZBOROWSKI/PAP

„Pegaz” / Ze wspomnień Marii Stypułkowskiej-Chojeckiej

Dwie akcje „Kamy”



Piotr Włoczyk

Brała udział w najbardziej spektakularnych akcjach likwidacyjnych AK. To właśnie „Kama” dała sygnał do rozpoczęcia zamachu na Kutscherę

To była moja pierwsza akcja. Bardzo się stresowałam, że go nie rozpoznam, bo widziałam go na żywo ledwie trzy razy. Gdybym się pomyliła, to byłaby istna katastrofa. Dlatego postanowiłam pójść poprosić o wsparcie do najbardziej oczywistego dla mnie miejsca – powiedziała Maria Stypułkowska-Chojecka ps. Kama, gdy w 2015 r. odwiedziłem ją w jej domu, by porozmawiać na temat najważniejszych akcji likwidacyjnych, w których brała udział.

Pierwszą z nich było wykonanie wyroku śmierci na Ernście Weffelsie, gestapowcu, który był kierownikiem zmiany oddziału kobiecego na Pawiaku, w tzw. Serbii.

– Przed akcją postanowiłam pobiec do kościoła na placu Zbawiciela. Uklęknęłam przed obrazem Świętej Teresy, który wisi tam do dziś. Prosiłam w modlitwie o wsparcie, żebym dobrze się wywiązała ze swojej misji, żebym nie pomyliła go z kimś innym. Niemcy w mundurach byli przecież tak podobni jeden do drugiego, a moi koledzy narażają życie, by zlikwi-

eprasa.pl fe6332b98a





Maria Stypułkowska-Chojecka

FOT. TOTOMKA/WIKIPEDIA/CC BY-SA 3.0

dować tego kata z „Serbii"... Poza tym w przygotowania włożono zbyt wiele trudu, żebym się pomyliła. I dopiero po modlitwie, gdy się uspokoiłam, poszłam na wyznaczone przez dowództwo miejsce – wspominała „Kama".

Oprawca z Pawiaka

Gestapowiec Weffels dał się poznać na Pawiaku jako bestialski nadzorca. Za sprawą swoich wyłupiastych oczu zyskał wśród więźniarek przydomek Wyłup. Weffels prowadził śledztwo w sprawie grypsów, które trafiały do owianego grozą gestapowskiego więzienia i wychodziły z niego. Wpadł on na trop dzięki pomocy byłej więźniarki Sabiny Bykowskiej, która została jego kochanką. Ponieważ sprawa był wyjątkowo pilna, Kierownictwo Walki Podziemnej podjęło decyzję o niezwłocznej likwidacji Niemca. Przeprowadzenie zamachu powierzono oddziałowi „Agat" (w styczniu 1944 r. przemianowanego na „Pegaz") Kedywu Komendy Głównej Armii Krajowej, w którym Maria Stypułkowska-Chojecka służyła w sekcji zwiadu/sygnalizacji.

Jak zwykle w takich sytuacjach to Aleksander Kunicki ps. Rayski, szef komórki wywiadu oddziału „Agat", rozpoczął rozpracowywanie celu zamachu. Po ustaleniu, że Weffels mieszka przy ul. Koszykowej 6, postanowiono, że akcja likwidacyjna zostanie wykonana w tamtej okolicy. Był 1 października 1943 r., właśnie wybiło południe, gdy Weffels wyszedł z kamienicy, w której mieszkał.

– Udawałam, że spaceruję w pobliżu jego domu. Poszłam w jedną stronę, potem zawróciłam. Wówczas zobaczyłam, że człowiek, którego miałam rozpoznać, idzie naprzeciwko mnie. Przyjrzałam mu się, upewniłam się i przeszłam na drugą stronę ulicy. To był znak dla kolegów, którzy stali obok pl. Na Rozdrożu i mieli wykonać akcję – opowiadała Maria Stypułkowska-Chojecka.

„Kama" pobiegła do parku Ujazdowskiego, gdzie miała zaczekać do końca akcji. Polacy oddali do Weffelsa serię strzałów. Ten jednak, ranny, rzucił się w stronę parku.

– Wbiegam do parku i słyszę strzały. A potem cisza. I znów padają strzały. Naraz słyszę: „Hilfe, hilfe!". Prawdę mówiąc, te słowa dawały pewną satysfakcję. Po tylu latach znęcania się w końcu dopadła go sprawiedliwość i ten człowiek zaczął się bać – opowiadała Maria Stypułkowska-Chojecka.

Leżącego na ławce w parku Weffelsa dobił dowodzący akcją Kazimierz Kardaś „Orkan". Na miejscu pojawił się motocykl niemieckiej żandarmerii z przyczepą. Polacy rzucili w jego stronę filipinkę, co ostudziło zapędy żandarmów.

– Widziałam ten motocykl i z radością zauważyłam, jak siedzący z tyłu Niemiec macał się ręką po plecach, sprawdzając, czy nie został raniony. Ja w każdym razie rzuciłam się w krzaki, gdzie czekałam na zakończenie strzelaniny. Po wszystkim od razu wsiadłam w tramwaj i pojechałam zameldować o przebiegu akcji – wspominała moja rozmówczyni.

Zamach ten był wzorcową operacją likwidacyjną przeprowadzoną przez „Agat". Nikt z uczestniczących w niej Polaków nie zginął ani nawet nie został ranny – i to mimo że okolica ta pełna

eprasa.pl fe6332b98a



Uroczystości pogrzebowe Franza Kutschery w Warszawie FOT. WIKIPEDIA

była niemieckiej policji, żandarmerii, gestapo i SS. Pięć dni później sprawiedliwość dosięgła kochankę Weffelsa.

14 października 1943 r. w „Biuletynie Informacyjnym" ukazał się lakoniczny komunikat podpisany przez Kierownictwo Walki Podziemnej:

„Dnia 1 X o godz. 12:05 w W-wie został zastrzelony SS-Sturmmann Ernst Weffels, kat i oprawca w więzieniu kobiecym na Pawiaku".

Cichy front

Urodzona w 1926 r. Maria Stypułkowska-Chojecka podczas okupacji brała udział łącznie w siedmiu akcjach likwidacyjnych na niemieckich zbrodniarzach. Najsłynniejszą z nich wszystkich był bez wątpienia zamach na Franza Kutscherę, „kata Warszawy", który przez pół roku swoich rządów nad niemiecką policją i SS w dystrykcie warszawskim rozkręcił w stolicy terror na niespotykaną wcześniej skalę.

Angażując się w tę akcję, „Kama" miała już spore doświadczenie – w konspiracji działała oficjalnie od sierpnia 1942 r. (nie miała wówczas jeszcze ukończonych 16 lat). Rok później przeszła z Szarych Szeregów do „Agatu". Zanim wzięła udział w pierwszej akcji likwidacyjnej, wytrzymałość swoich nerwów ćwiczyła, m.in. przenosząc po Warszawie broń i amunicję.

– Tylko za pierwszym razem, kiedy niosłam teczkę wypełnioną bronią, miałam w głowie dziwne myśli. Wydawało mi się, że każdy na mnie patrzy i widzi, że ja mam tam broń. Potem już przywykłam do takich zadań i stało się to po prostu częścią mojego życia. Przez rok właściwie każdego dnia przenosiłam coś, za co groziła kara śmierci. Powiem więcej, czymś niezwykłym wydawały mi się wówczas rzeczy, które dla innych były normalnością, np. miłe odwiedziny u krewnych – wspominała moja rozmówczyni.

Zanim jednak „Kama" opowiedziała o swoim udziale w zamachu na Kutscherę, uczuliła mnie, żeby nie pominąć bardzo ważnego dla niej nazwiska.

– Muszę podkreślić coś niezwykle istotnego, zanim porozmawiamy o tamtym dniu– powiedziała w trakcie naszego spotkania śmiertelnie poważnie Maria Stypułkowska-Chojecka. – Musi pan pamiętać, że my byliśmy tylko wykonawcami planu. Mogę panu opowiedzieć szczegółowo, jak się przygotowywałam do swojej misji i jak wyglądał z mojej perspektywy 1 lutego 1944 r., ale to wszystko było zorganizowane przez Aleksandra Kunickiego ps. Rayski [autor wydanych po wojnie wspomnień „Cichy front" – przyp. red.]. Nigdy dość podkreślania jego zasług. Bez niego, bez jego talentów, trudno mi sobie wyobrazić organizowanie wszystkich tych akcji.

To właśnie Aleksander Kunicki doskonale spenetrował tzw. dzielnicę policyjną, gdzie doszło do zamachu na Franza Kustcherę. To on ustalił tożsamość niemieckiego zbrodniarza i połączył nazwisko z odpowiednią twarzą, choć Niemcy wiele wysiłku wkładali w zapewnienie Kutscherze anonimowości. Pod coraz częściej rozlepianymi na ulicach stolicy obwieszczeniami o egzekucjach podpisywał się bowiem jedynie bezimienny „Dowódca SS i Policji na Dystrykt Warszawski".

Podczas trwających cztery miesiące rządów Kutschery (25 września 1943–1 lutego 1944 r.) na ulicach Warszawy rozstrzelano ponad 1,5 tys. osób. Równolegle rozstrzeliwania dokonywane były w ruinach getta, więc szacuje się, że liczba zamordowanych wówczas w Warszawie sięgnęła 5 tys.

Kat Warszawy

Wyrok wydany przez podziemie wykonać miał niezawodny „Pegaz" (do stycznia 1944 r. znany jako „Agat"). Dowódcą zamachu na Kutscherę został Bronisław Pietraszewicz „Lot". Poza nim w akcji brało udział 11 członków „Pegaza": Zdzisław Poradzki „Kruszynka", Michał Issajewicz „Miś", Stanisław Huskowski „Ali", Marian Senger „Cichy", Zbigniew Gęsicki „Juno", Henryk Humięcki „Olbrzym", Bronisław Hellwig „Bruno",

eprasa.pl fe6332b98a

Kazimierz Sott „Sokół” oraz trzy dziewczyny z rozpoznania: „Kama”, Elżbieta Dziębowska „Dewajtis” i Anna Szarzyńska-Rewska „Hanka”. Od końca grudnia Aleksander Kunicki wraz z „Kamą”, „Dewajtis” i „Hanką” prowadził obserwację Alei Ujazdowskich na odcinku od al. Róż do ul. Piusa XI.

– Metodami konspiracyjnymi udało się zdobyć fotografię Kutschery. Miałam ją w ręku kilka minut. Uczyłam się tej twarzy, żeby nie pomylić jej z żadną inną. Zapamiętałam też, jak Kutschera się porusza. Podczas obserwacji tego fragmentu Alei Ujazdowskich stałyśmy w jednym miejscu maksymalnie 20 minut, cały czas też zmieniałyśmy się, żeby ograniczyć ryzyko – opowiadała „Kama”.

Jak ustalono, Kutschera mieszkał w kamienicy przy al. Róż, a 140 metrów dzielących go od siedziby dowódcy SS i Policji na dystrykt warszawski (Al. Ujazdowskie 23) pokonywał dla bezpieczeństwa autem. Początkowo akcja miała zostać przeprowadzona 28 stycznia. Traf chciał jednak, że akurat tego dnia Kutschera wyjechał poza Warszawę, co zdarzało mu się bardzo rzadko. Termin egzekucji przesunięto więc z piątku na wtorek 1 lutego.

Zegar wskazywał godz. 9.06 rano, kiedy w drzwiach kamienicy przy al. Róż pojawił się cel „Pegaza”.

– Moim zadaniem było przekazanie dalej, że przyjechał po niego samochód, a następnie, że to Kutschera rzeczywiście wsiadł do środka. Tak jak się umawialiśmy, zasygnalizowałam, że wszystko się zgadza – opowiadała Maria Stypułkowska-Chojecka. Dalej dziewczyny podawały sygnały aż do dowódcy, który zdejmując kapelusz, rozpoczął akcję. Widząc to, „Miś” ruszył autem i skręcił z Piusa XI w Aleje Ujazdowskie, tarasując przejazd samochodowi Kutschery.

Według planu „Kama” miała się na czas zamachu schronić w bramie przy pobliskiej ul. Chopina, gdzie czekała już na nią „Dewajtis”.

– Ja jednak ani myślałam wchodzić do bramy. Przez cztery tygodnie tam stałam i teraz miałabym nie zobaczyć, jak potoczy się ta akcja? Wiedziałam, że nie będą strzelać w moim kierunku, więc stanęłam na rogu Chopina i Alei Ujazdowskich. Jak zaczarowana tam stałam i przypatrywałam się, jak „Miś” tarasuje przejazd samochodowi Kutschery. Za chwilę biegł już w kierunku aut „Lot” i rozrywał swój płaszcz, wyciągając spod niego pistolet maszynowy. W tym momencie „Elżbieta” ostrzegła mnie. Za mną dwóch Niemców składało się do strzału. Szybko więc schowałam się do bramy. W środku bramy byli jacyś Niemcy w mundurach, chyba kilkanaście osób. Słychać było strzały, wybuchy granatów. Niemcy pochowali się. 90 sekund trwało to wszystko – mówiła moja rozmówczyni.

„Kamie”, „Dewajtis” i „Hance” udało się bez szwanku oddalić z miejsca akcji. Chłopaki z „Pegaza” nie mieli jednak tyle szczęścia. Niemcy ranili trzech uczestników akcji: dowódcę „Lota” oraz „Cichego” i „Olbrzyma”. Pierwsi dwaj zmarli kilka dni po akcji w wyniku odniesionych ran. Z kolei „Juno” i „Sokół” odprowadzając po akcji auto, zostali zablokowani przez Niemców na moście Kierbedzia i chcąc się ratować, rzucili się do Wisły. Niemcy strzelali do bezbronnych akowców, zabijając ich na miejscu.

Straty Niemców był większe. Pięciu z nich zginęło (w tym Kutschera), a dziewięciu zostało rannych.

Następnego dnia Niemcy rozstrzelali niedaleko miejsca akcji 100 zakładników oraz nałożyli na Warszawę kontrybucję w wysokości 100 mln zł. Potem jednak terror wyraźnie zelżał (aż do wybuchu Powstania Warszawskiego, czyli pół roku później).

Maria Stypułkowska-Chojecka nie miała wątpliwości, że likwidacja Kutschery, mimo srogiej zemsty Niemców, była właściwym posunięciem.

– Faktem jest, że po tym zamachu łapanki i egzekucje uliczne właściwie ustały. Sytuacja ta trwała aż do wybuchu powstania. Ja się czułam żołnierzem Rzeczypospolitej i z całą swoją mocą angażowałam się w zadania, które postawiło przede mną dowództwo. Nikt z zaangażowanych w te akcje nie miał wątpliwości, że wyroki śmierci były w każdym z tych przypadków zupełną oczywistością – podkreślała Maria Stypułkowska-Chojecka. Słynna „Kama” zmarła 5 lutego 2016 r. Podczas pogrzebu na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach żegnały ją nieprzebrane tłumy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl fe6332b98a



Krzysztof Masłoń

Zwycięstwo koalicji anglo-sowieckiej będzie klęską dla Polski, jeśli jednocześnie nie dojdzie do klęski i Hitlera, i komunizmu – to chciał przekazać Polakom wielki pisarz i wizjoner



FOT. DANUTA B. ŁOMACZEWSKA/EAST NEWS

1942 r. / Nieszczęsne zdanie w gadzinówce „Goniec Codzienny"

Wyrok na Józefa Mackiewicza

W opublikowanym w połowie lat 70. „Polskim Państwie Podziemnym" Stefan Korboński, w końcu szef Kierownictwa Walki Cywilnej, autorytatywnie stwierdzał, że „na terenie Wilna najpoważniejszym wypadkiem kolaboracji była praca Czesława Ancerewicza i Józefa Mackiewicza w redakcji »gadzinówki« niemieckiej »Goniec Codzienny«, napiętnowana m.in. przez organ AK »Niepodległość« z 1–15 grudnia 1942 r.". Następnie Korboński opowiedział, jak to komendant okręgu wileńskiego AK, płk Aleksander Krzyżanowski („Wilk"), wniósł sprawę pod obrady podziemnej Rady Wojewódzkiej, która uznała zarzut zdrady głównej, a następnie sąd „po jej rozpatrzeniu obu oskarżonych skazał na karę śmierci. Wyrok na Ancerewicza wykonano w marcu 1943 r., natomiast w stosunku do Mackiewicza został on zawieszony z uwagi na interwencję i naciski z różnych stron na płk. Krzyżanowskiego, by wykonanie wyroku odłożyć do końca wojny i dać Józefowi Mackiewiczowi w międzyczasie możność rehabilitacji".

Dwadzieścia lat wcześniej ten sam Korboński nie był jeszcze tak pewny swego, zastrzegał się, pisząc „o ile mnie pamięć nie myli" i apelował, by ktoś z podziemia wileńskiego „wyjaśnił sprawę do końca". A może było zupełnie inaczej? Zainteresowanych odsyłam do fundamentalnej dla tej kwestii pracy prof. Włodzimierza Boleckiego „Ptasznik z Wilna". Tutaj jedynie wskażę na krótki

eprasa.pl fe6332b98a



ustęp stanowiący wyciągnięcie wniosków z wypowiedzi Stanisława Lorentza, którego słowa znaczą ni mniej, ni więcej, że to sam Stefan Korboński ów wyrok śmierci osobiście zatwierdził. Tyle że jakoś nigdy się do tego nie przyznał. O ile ten wyrok w ogóle istniał.

Wiele lat po wojnie, tuż przed śmiercią pisarza w roku 1985, tak to ujęła jego żona Barbara Toporska w liście do Marii Zadenckiej: „Czy Józef wierzył w »wyrok śmierci« na siebie? Ani wtedy, ani dzisiaj. Mieszkaliśmy na odludziu w lesie i [wyrok] mógł być z łatwością wykonany. Baliśmy się gestapo, baliśmy się policji litewskiej. Zresztą, czy to był pierwszy »wyrok«? Do »Gazety Codziennej« w pierwszym stadium jej istnienia zgłosiło się dwóch młodzieńców, żeby odczytać Józefowi wyrok śmierci za »obrazę pamięci Marszałka Piłsudskiego«. Wyprosiło się ich za drzwi. A gdzież są ci sędziowie, którzy wydawać mieli drugi wyrok? Dlaczego się nie ujawnili? W PRL pogłaskano by ich za to po głowie. Na emigracji Nowak i Korboński zapłaciliby dużo, gdyby udało się takich znaleźć".

Strzały w kościele

A jednak w tym bałaganie zabijano ludzi: jednym wymierzając karę za popełnione zbrodnie, innym może jedynie „Dla honoru organizacji", że przywołam w tym miejscu tytuł książki Sergiusza Piaseckiego. Człowieka, który w okupowanym Wilnie był AK-owskim „cynglem" i jeśli nie wykonywał wyroków osobiście, to sprawował nadzór nad ich realizacją. I tak się dziwnie złożyło, że wtedy jeden pisarz (autor „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy"), jeśli wprost nie uratował życia drugiemu pisarzowi, to w każdym razie nie dopuścił, by doszło do zamachu na jego osobę. Józefa Mackiewicza właśnie. Zaiste, to chyba tylko w tym mieście zrodzonym z literatury zdarzyć się mogło.

W oświadczeniu złożonym po wojnie pisał Piasecki: „Zaczął krążyć list otwarty Józefa Mackiewicza […]. List był śmiały, szczery i poważnie narażał Mackiewicza, który wypowiedział się ostro przeciw Niemcom, a prasę Polski Podziemnej nazwał bohaterską. Nieco później dowiedziałem się, że jest wydany przez Sąd Tajny wyrok śmierci na Mackiewicza i Ancerewicza. Zaznaczam, że wykonanie wyroku śmierci na Ancerewicza zorganizowałem jako inspektor, wydelegowany przez Komendę i na zlecenie drugiego zastępcy komendanta »Michała« do badania wyników działalności egzekutywy. Wyrok wykonano w marcu (zdaje mi się, że 16) 1943 r. w przedsionku kościoła św. Katarzyny, który wyzyskałem złośliwie jako pułapkę, bo Ancerewicz wyzyskiwał go jako punkt obserwacyjny przed wejściem do domu. Wyrok wykonali »Fakir« i »T-5«. Kierownikiem egzekutywy był »Drobinka«. Plan i rozpracowanie zamachu moje".

Ancerowicz skazany został za kierowanie hitlerowską gadzinówką. Tak przynajmniej utrzymywano. W 1946 r. Mackiewicz pisał do autora „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy": „Panu zawdzięczam właściwie dwukrotne uratowanie życia, raz od naszych niedouków politycznych, a drugi od Gestapo".

Nie brakowało osób, które zaklinały się, że widziały wyrok na Mackiewicza wydrukowany w konspiracyjnej „Niepodległości". Naprawdę opublikowano tam m.in. anonim, w którym można było przeczytać: „Znalazło się niestety na bruku wileńskim trzech szubrawców, co za judaszowe srebrniki niemieckie zgodzili się na tę szkodliwą dywersję przeciw własnemu narodowi i wydają szmatławiec drukowany w polskim języku: »Goniec Codzienny«, przez ludność Wilna słusznie »podogońcem niemieckim« przezwany. […] Któż są ci trzej panowie oddający te podłe usługi naszym katom? To pan Czesław Ancerewicz, nędzny dziennikarzyna z Białegostoku, wydający tam przed wojną kołtuńskiego brukowca; to pan Józef Mackiewicz, wielomówny literat i polityk bez zasad i moralno-obywatelskiego oblicza, za czasów smetonowskich serdeczny przyjaciel litewskich okupantów i z ich poduszczenia ideolog lokajskiego ruchu prolitewskiego oraz główny filar redakcyjny »Gazety Codziennej«, będącej na usługach i żołdzie szowinistów litewskich. Trzecim kamratem jest pan Kotlarewski, Rosjanin z pochodzenia, zwykły kanciarz, który zawsze się tam znajdzie, gdzie zwęszy grubszy zarobek. Za grube setki tysięcy marek, płynących do kieszeni tych szubrawców, zdradzają oni interes własnego narodu, ale mylą się bardzo, jeśli sądzą, że zbrodnie te pozostaną bez kary. Dla propagatorów i czcicieli brunatnego terroru w Polsce Odrodzonej nie będzie miejsca. Chyba… na szubienicy".

Proszę zwrócić uwagę na ten znak równości postawiony tu między „Gazetą Codzienną" a „Gońcem Codziennym", eo ipso między okupacją litewską i niemiecką. A „podziemnym publicystą, który pierwszy zaatakował Józefa Mackiewicza za kolaborację i wzywanie do kolaboracji z Niemcami, byłem ja" – chwalił się 12 lat po wojnie nie kto inny, jak Paweł Jasienica. W tamtym „pionierskim" tekście pomieszczonym w konspiracyjnym piśmie „Dla Polski" pisał: „Nie chodzi tu o umiejętnie reklamującego się p. Ancerewicza, bo drobiazgu ludzkiego nigdzie nie brakuje. Gorzej natomiast, że właśnie w Wilnie znaleźli się ludzie wybitniejsi, o znanych nazwiskach, którzy poszli na współpracę z Niemcami. Tego dotąd w całej Polsce nie było. Niechlubny wyjątek stanowią wilnianie pp. Wacław Gizbert-Studnicki, Józef Mackiewicz (ten sprzeniewierza się swemu narodowi już po raz drugi) oraz ich nieliczni poplecznicy".

Obrzydzenie postawą Józefa Mackiewicza nie mijało Jasienicy wraz z upływem czasu. Przeciwnie. W 1955 r. w artykule o niedającym się zapomnieć tytule „Moralne zwłoki szlachcica kresowego" z łamów tygodnika „Świat" grzmiał: „Fragmenty późniejszej powieści »Droga donikąd« my, Polacy z Wilna, mieliśmy możność czytać w »Gońcu Wileńskim«, hitlerowskiej gadzinówce, założonej w roku 1941. Józef Mackiewicz był jej współpracownikiem i filarem. […] Trudniej było przeboleć, że w »Gońcu…« produkuje się Józef Mackiewicz, jeden z najlepszych polskich reporterów, autor »Buntu Rojstów«. Ohyda! Ohyda!".

Krwawiące serce

„Złym Polakiem" stał się Józef Mackiewicz po artykule „My, wilnianie", wydrukowanym 14 października 1939 r. w wydawanym w Kownie litewskim piśmie „Lietuvos žinios". Napisał go

eprasa.pl fe6332b98a



Panorama Wilna z Góry Giedymina (Zamkowej) FOT. PAVEL KLEVTSOV/WIKIMEDIA/CC-BY-3.0

po wyjeździe z Wilna, które opuścił wraz z tysiącami uchodźców na wieść o zbliżaniu się do miasta Sowietów. Kilka dni przeżył w obozie w Wiłkomierzu (?), skąd trafił do Kowna, gdzie widział chaos i rozpacz w polskim konsulacie. Aż „przyszedł taki dzień – wspominał potem w »Gazecie Codziennej« – w którym gruchnęła wiadomość, że wojska sowieckie na skutek zawartego układu ustępują z Wilna i że na zmianę losowi będziemy mogli wrócić do domu. Zakręciłem się na pięcie i poszedłem szukać remingtona. Nie pamiętam już, czy był to czwartek, a może piątek… ale mniejsza o jeden dzień w tygodniu, w którym to wystukałem od serca artykuł do litewskiej gazety".

Nie ma wątpliwości, że za dużo było w tym tekście emocji i goryczy spowodowanej wrześniową klęską. Ale była też, jakże wyraźna, ulga, że Wilno zajęli Litwini, którym Sowieci na mocy zawartego układu przekazali miasto. Nie wiedział, oczywiście, na jak długo… Nie wiedział też, albo zaklinał rzeczywistość, jak fatalnie zachowywać się będą Litwini wobec Polaków. W każdym razie stwierdzając oczywisty fakt, że „realną wartością jest dla nas przejście Wilna z SSSR w ręce Republiki Litewskiej", zadeklarował zarazem, na wyrost, i to bardzo, że wojska litewskie wkraczające do Wilna zostaną powitane „radośnie i solidarnie przez wszystkich mieszkańców, niezależnie od tego, czy to Polacy czy Litwini". To było chciejstwo, którego Mackiewiczowi miano nie zapomnieć. Podobnie jak obarczania odpowiedzialnością za Wrzesień marszałka Piłsudskiego, którego „fatalny błąd" polegać miał ponoć na tworzeniu „fikcyjnego wielkiego państwa (mocarstwowość), gdy warunki geopolityczne domagają się państwowości realnej".

Artykuł Mackiewicza został bardzo źle przyjęty i to nie tylko przez, jak mawiano z ironią, najbardziej zawziętych „prawdziwych" Polaków. Później miało się okazać, że wielu z tych, którzy najgłośniej go krytykowali, nie czytało tekstu, a znało go jedynie z opinii osób słuchających radia kowieńskiego, a oto – naturalnie – akcentowało fragmenty artykułu dezawuujące politykę prowadzoną przez II Rzeczpospolitą.

Od tamtego artykułu dla wielu Polaków w Wilnie stał się Józef Mackiewicz postacią wysoce podejrzaną. Nie chciano przyjąć do wiadomości tego, co zawarł w zakończeniu tekstu napisanego – jak stwierdził: „nie tylko z rozkrwawionego serca, ale i głębokiego przekonania".

Zadziwiające, jak długo utrzymywały się i wciąż powtarzane są brednie odnoszące się i do poglądów, i do postępowania młodszego z braci Mackiewiczów (starszym był Stanisław znany pod pseudonimem Cat). Jacek Trznadel tak zareagował np. na wydrukowany w „Życiu" w 1999 r. (!) tekst, w którym padły słowa o tym, że Józef Mackiewicz jakoby „w czasie wojny namawiał do pójścia z Hitlerem na Rosję". „Otóż Mackiewicz nigdy nie wypowiedział takiego sądu – pisał Trznadel. – […] Jedyny artykuł, w którym wypowiada się Mackiewicz o wojnie niemiecko-sowieckiej, to tekst »To dopiero byłaby klęska«, opublikowany w wileńskim »Gońcu Codziennym« 10 sierpnia 1941 r. Odczytywałem ten artykuł, wertując pożółkłe już numery »Gońca Codziennego«. Jest tam szokujący sąd (w obliczu zwycięskiej ofensywy Hitlera na Rosję), że zwycięstwo koalicji anglo-sowieckiej nad Niemcami byłoby klęską dla Polski. Aż tyle, ale i tylko tyle".

Zdanie to jednak aż prosi się o rozwinięcie i taki stosowny komentarz znajdujemy w polemicznym artykule czy też sprostowaniu Jacka Trznadla: „Mackiewicz był antykomunistą i wielkim wizjonerem historycznym. To jego zdanie sprawdziło się niestety co do joty. Wypowiadanie go było sprzeczne z polityką rządu londyńskiego (sądzę, że gorycz z powodu tego zdania przyczyniła się później do znanego wyroku śmierci na Mackiewicza). Ale pamiętajmy, że w Londynie formułom paktu Sikorski-Majski przeciwni byli Sosnkowski i Seyda, podali się do dymisji, był temu także przeciwny prezydent Raczkiewicz.



Zwłoki polskich oficerów w Lesie Katyńskim FOT. MUZEUM KATYŃSKIE

Nie była to jednak polityka części londyńczyków za Hitlerem, podobnie jak zdanie Mackiewicza. Znaczenie owego zdania brzmiało: „Zwycięstwo koalicji anglo-sowieckiej będzie klęską dla Polski, jeśli jednocześnie nie dojdzie do klęski i Hitlera, i komunizmu. Niekoniecznie nawet oznaczałoby to konieczność upadku Związku Sowieckiego, ale takie jego osłabienie, żeby rozgromiona Czerwona Armia nie była zdolna wkroczyć do Polski przed wkroczeniem tutaj sił Zachodu walczących z Hitlerem".

Przez grzeczność niezastrzelony

„Gdy znamy treść artykułów publikowanych przez pisarza w »Gońcu Codziennym«, wydany na niego wyrok dziś wydaje się absurdalny – nie ma w nich nic, co stawiałoby Polskę i Polaków w złym świetle – puentuje rozdział o wyroku na twórcę »Drogi donikąd« prof. Kazimierz Maciąg w ostatnio wydanej książce »Sam jeden«. – Jedyny zarzut, jaki można Mackiewiczowi postawić, jest natury czysto formalnej: rzeczywiście opublikował on w niemieckiej »gadzinówce« kilka artykułów o charakterze jednoznacznie antysowieckim i istnieje uzasadnione podejrzenie, że prawdziwą przyczyną orzeczonej kary śmierci była właśnie taka wymowa tych tekstów, a do wydania wyroku przyczynił się były redaktor komunistycznej »Prawdy Wileńskiej« Jerzy Wroński. Poza tym wrogość wobec Józefa Mackiewicza budowały także jego wypowiedzi odzierające z jakichkolwiek złudzeń nadzieje tych, którzy wierzyli, że kraje zachodnie pomogą Polsce w odzyskaniu pełnej suwerenności. Stawiane

eprasa.pl fe6332b98a



przez pisarza tezy były więc z różnych względów niewygodne dla niemal wszystkich środowisk politycznych".

Jakże często zdarzało się słyszeć sugestię, że wyrok nie został wykonany ze względu na rangę jego pisarstwa, koneksje rodzinne etc. Świetnie spuentował te wymyślne konstrukcje myślowe Zdzisław A. Siemaszko, nazywając rzecz po imieniu: „Hipoteza, jakoby to pozycja JM-a w opinii publicznej miasta [tu: działalność brata, Stanisława, w Londynie] spowodowała niewykonanie nań wyroku, została wysunięta głównie przez jego wrogów (winien, ale przez grzeczność na razie niezastrzelony)".

Na sesji mackiewiczowskiej w Rapperswilu w 2006 r. Dobrosława Platt, w oparciu o znajdujące się w Ossolineum archiwa Jana Nowaka-Jeziorańskiego (jednego z najbardziej zaciętych przeciwników Józefa Mackiewicza), przypomniała reakcję szczególnie ekspansywnej części środowiska AK-owskiego po publikacji przez pisarza w piśmie „Lwów i Wilno" artykułu „Nudis verbis", w którym zaatakował kierownictwo walki podziemnej w kraju za „idealne niemal rozbrojenie moralne wobec najeźdźcy sowieckiego" oraz, w konsekwencji, doprowadzenie do sowieckiej okupacji Polski. Natychmiast wytoczył antymackiewiczowskie działa Józef Garliński, zarzucając autorowi „Nudis verbis" stosowanie metody „przeinaczania faktów" (rzeczywiście do fałszów posuwała się druga strona sporu), a zaraz potem Zarząd Główny Koła b. Żołnierzy AK z Kazimierzem Irankiem-Osmeckim i Tadeuszem Żenczykowskim wydał oświadczenie, stwierdzając, że nie będą wchodzić w polemikę z Mackiewiczem „z uwagi na posiadane dowody jego kolaboracjonizmu". Jakie? Podczas „okupacji litewskiej w Wilnie redagował »Gazetę Codzienną«, pismo występujące przeciw prawom Polski do Wilna", a „w okresie okupacji niemieckiej p. J. Mackiewicz współpracował w Wilnie z gadzinówką »Goniec Codzienny«, wydawaną w języku polskim przez propagandę niemiecką, i ogłaszał na jej łamach swe artykuły".

To prawda, np. to w „Gońcu..." ukazał się wywiad z Józefem Mackiewiczem „Widziałem na własne oczy", udzielonym redakcji po powrocie pisarza z Katynia, gdzie był świadkiem ekshumacji zwłok zamordowanych oficerów polskich. To wciąż jedno z najważniejszych świadectw ludobójstwa dokonanego przez Sowietów w lesie pod Smoleńskiem. Po kombatanckim oświadczeniu Józef Mackiewicz odpowiedział: „Zarzut kolaboracjonizmu jest nikczemnym oszczerstwem". Nic dodać, nic ująć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl fe6332b98a



1942 r. / W 80. rocznicę utworzenia Armii Krajowej

Niechciana armia niewygodnego sojusznika

80. rocznica utworzenia Armii Krajowej skłania do przypomnienia kilku istotnych faktów i kwestii, które w kolejnych pokoleniach wywołują żywe dyskusje wśród rodaków. Między innymi: Czy alianci zachodni działali w interesie Pierwszego Sojusznika (a tak Brytyjczycy nazywali Polskę w pierwszych latach wojny) i jak wspomogli jego tworzoną w kraju siłę zbrojną?



Maciej Rosalak

„Powstańcy z nawiązką spełnili swój obowiązek, natomiast politycy państw alianckich nie wypełnili swoich” (Norman Davies)

Armię Krajową utworzono z rozkazu Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych gen. Władysława Sikorskiego wydanego 14 lutego 1942 r. Tak zwykło się pisać: „utworzono”, choć polegało ono w istocie na zmianie nazwy Związku Walki Zbrojnej, działającego od 13 listopada 1939 r. – zamiast Służby Zwycięstwu Polski, założonej już 27 września 1939 r., w przededniu wkroczenia Niemców do Warszawy. Ze zmian organizacyjnych warto wymienić na przykład włączenie sabotażowo-dywersyjnego Związku Odwetu – znajdującego się poza strukturą ZWZ – do Kedywu AK. Zauważmy, że każda kolejna nazwa coraz bardziej odpowiada charakterowi owej podziemnej armii, będącej po prostu zakonspirowanym Wojskiem Polskim. Każdy, na kim spoczywał obowiązek czynnej służby w WP, powinien stać się żołnierzem AK.

Przysięga, którą składał, brzmiała dokładnie tak: „W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Marii Panny Królowej Korony Polskiej, kładę swe ręce na ten św. Krzyż, znak męki i Zbawienia. Przysięgam być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej, stać nieugięcie na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił, aż do ofiary mego życia. Prezydentowi Rzeczypospolitej i rozkazom Naczelnego Wodza oraz wyznaczonemu przezeń dowódcy Armii Krajowej będę bezwzględnie posłuszny, a tajemnicy dochowam niezłomnie, cokolwiek by mnie spotkać miało”.

Krajowe ramię Polskich Sił Zbrojnych od początku było organizacją zbrojną

eprasa.pl fe6332b98a



Z lewej: oddział powstańców warszawskich. Powyżej: groby żołnierzy Grup Szturmowych Szarych Szeregów i batalionu AK „Zośka" na Powązkach Wojskowych FOT. DOMENA PUBLICZNA, ADOBE STOCK

najliczniejszą, docierającą do wszystkich rejonów kraju i wszystkich warstw społecznych – ale nie jedyną. W warunkach okupacyjnego terroru, konspiracji, zdezorientowania ludności, głębokich podziałów politycznych jeszcze sprzed wojny stworzenie organizacyjnego monolitu okazało się niemożliwe. W końcu 1939 r. i na początku 1940 r. pod obiema okupacjami działało ponad 200 różnych ugrupowań konspiracyjnych. Poza AK przetrwały i liczyły się zwłaszcza znaczące siły niepodległościowych ugrupowań narodowych i ludowych (komunistyczne GL i AL faktycznie wykonywały rozkazy z Moskwy).

Precyzyjnie liczebności AK ustalić się nie da – rosła ona w miarę nasilającego się terroru, a także w miarę postępu akcji scaleniowej. I tak w skład AK weszły m.in.: w 1940 r. Gwardia Ludowa WRN (PPS); w 1942 r. częściowo Narodowa Organizacja Wojskowa oraz Federacja Organizacji Narodowo-Katolickich „Unia"; w 1943 r. Konfederacja Narodu i częściowo Bataliony Chłopskie; a wreszcie w 1944 r. częściowo Narodowe Siły Zbrojne. Dowódca ZWZ-AK gen. Stefan Grot-Rowecki w 1940 r. obliczał ZWZ na 40 tys. żołnierzy i oficerów, we wrześniu 1942 r. raportował o ok. 125 tys. żołnierzy AK, a po akcji scaleniowej, a jeszcze przed aresztowaniem 30 czerwca 1943 r. – o ok. 380 tys. Miarodajny płk Janusz Bokszczanin (i nie tylko on) stwierdzał jednak celowe zawyżanie stanów osobowych jednostek przez lokalnych dowódców, a wywiad niemiecki sądził, że konspiracyjna armia liczy od 100 do 200 tys. członków. Zgromadzonej różnymi sposobami broni starczyło zaledwie dla kilkunastu procent żołnierzy AK.

Z bronią u nogi?

Celem stworzenia tej armii, jej wyszkolenia i uzbrojenia był udział w powstaniu, które miało wybuchnąć w momencie zbliżania się do przedwojennej granicy RP regularnych Polskich Sił Zbrojnych sformowanych na Zachodzie u boku sojuszników. Zarówno Rząd, jak i Delegatura Rządu oraz bezpośrednio dowództwo AK wykluczało akcje zbrojne na wielką skalę przed tym momentem. Powód był prosty: uchronienie organizacji oraz ludności przed morderczymi represjami Niemców. Represje takie – z rozstrzeliwaniem mieszkańców i paleniem całych wiosek – rzeczywiście nastąpiły zarówno po akcjach „Hubala" na przełomie lat 1939 i 1940, jak i „Ponurego" w roku 1943 (dlatego wysłano go w 1944 r. pod Nowogródek).

Zarzuty „stania z bronią u nogi" (a istotnie taki był sens strategii ZWZ-AK) nie są jednak całkiem bezpodstawne w odniesieniu do martyrologii Polaków w 1943 r. na Zamojszczyźnie i na Wołyniu czy bandyckich napadów partyzantki sowieckiej na Wileńszczyźnie. Jednak przedwczesne wywołanie ogólnego powstania zakończyłoby się przecież narodową masakrą. Terror, który rozszalał się w Warszawie, wymagał z kolei kontrakcji Kedywu punktowo wymierzonej w najgorszych hitlerowskich bandytów (akcja „Główki"). Po zlikwidowaniu Franza Kutschery (luty 1944 r.), a przedtem (w 1943 r.) najbardziej niebezpiecznych oprawców z Szucha, Pawiaka i Gęsiówki – terror zelżał. Tak więc sytuacja wymagała bieżących korekt strategicznych założeń. To było słuszne, celowe.

Kłopoty zaczęły się w 1941 r., gdy atak Hitlera na ZSRS automatycznie postawił Stalina po stronie aliantów, a dramatycznie zwiększyły się wraz ze zwycięstwami na froncie oraz zbliżaniem się Armii Czerwonej do naszej granicy i coraz pewniejszym jej przekroczeniem. Alianci zaczęli traktować Armię Krajową jako niechcianą siłę zbrojną coraz bardziej niewygodnego sojusznika.

Gdy tylko III Rzesza zaatakowała Związek Sowiecki, znaczenie Polskich Sił Zbrojnych – do niedawna spotykających się z uznaniem i wdzięcznością Brytyjczyków – zmalało w ich oczach dokładnie w takich proporcjach, jakie dzieliły potencjał PSZ od potencjału wielomilionowej Armii Czerwonej. W takich samych proporcjach zmniejszyło się polityczne znaczenie Rządu RP, wcześniej najbardziej liczącego się sojusznika. Pierwszym sojusznikiem stał się automatycznie Związek Sowiecki. Co więcej, fakt jego napaści we wrześniu 1939 r. na Polskę i zagrabienie połowy jej terytorium spowodował, że to nie Sowieci, ale właśnie Polacy stali się sojusznikiem niewygodnym.

Rząd, Polska, Polacy, polska wolność i niepodległość – to wszystko nasi wielcy alianci zachodni podporządkowali wyłącznie swym interesom. Nieważny stał się sojusz z Wielką Brytanią zawarty w sierpniu 1939 r., ściskanie dłoni gen. Sikorskiego przez prezydenta USA na tle mapy Polski w przedwojennych granicach oraz zapewnienie o przyjaźni i wsparciu (grudzień 1942 r.), a nawet wcześniejsza Karta atlantycka (sierpień 1941 r.), w której Brytyjczyk i Amerykanin gwaran-



Pistolet maszynowy Sten Mk II
FOT. GRZEGORZ PIETRZAK/WIKIMEDIA/CC BY-SA 3.0

eprasa.pl fe6332b98a

towali wszystkim podbitym narodom sprawiedliwe granice i wybór rządów wedle własnego uznania po wojnie. Ważne stawały się tylko miliony czerwonoarmistów na froncie, a poczynania Polaków miały służyć zwycięstwu „mordercy tylu naszych braci", jak pisał w „Czerwonej zarazie" Józef Szczepański „Ziutek", powstaniec warszawski, który zginął m.in. z powodu wydania przez Stalina zakazu realizacji planu wyzwolenia Warszawy marsz. Konstantego Rokossowskiego z 8 sierpnia 1944 r.

Po inwazji Niemców na Sowiety zgodnie z brytyjskimi oczekiwaniami wysłano na dalekie kresy około połowy naszych świetnie wyszkolonych w Wielkiej Brytanii cichociemnych, których w 1942 r. zrzucono do kraju. W ramach akcji „Wachlarz" organizowali dywersję i sabotaż na tyłach Wehrmachtu, atakując zwłaszcza linie kolejowe. Działali na odcinkach: I – od Lwowa do Dniepropietrowska; II – od Równego do Kijowa; III – od Brześcia do Homla; IV – od Baranowicz do Orszy; oraz V – od Wilna do Rygi. Nadmiernie uległy w stosunkach z sojusznikami gen. Sikorski przeznaczył na koszty tego przedsięwzięcia 4 mln dol., czyli połowę budżetu Armii Krajowej na tamten rok. Jednocześnie zakazał przygotowywania „Wachlarza" na wariant opóźniania ewentualnej inwazji Armii Czerwonej na nasze ziemie, uznając takie zamierzenia za „antysowieckie" i dlatego „niedopuszczalne".

Wsparcie niepożądane...

29 czerwca 1942 r. szef Głównego Sztabu Imperialnego wojsk brytyjskich poinformował gen. Sikorskiego, że wszelkie sprawy związane z Armią Krajową pozostają w kompetencji SOE (Specials Operacions Executive – zarządu operacji specjalnych). W tym też roku brytyjski Komitet Szefów Sztabów ocenił, że AK „jest przygotowana na rozgrywki wyłącznie z Sowietami [...]. Wsparcie AK w Polsce jest przedsięwzięciem nieopłacalnym i może spowodować tylko komplikacje, co jest absolutnie niepożądane". Toteż jeśli porównać całe wsparcie udzielone Polsce przez Brytyjczyków z ich dziennymi wydatkami na wojnę, to wyniosło ono... tylko dwie trzecie sum wydawanych jednego dnia.



Tak zwana Wielka Trójka podczas obrad w Teheranie, gdzie zdrady Polski dokonał się akt pierwszy FOT. DOMENA PUBLICZNA

Organizator przerzutów lotniczych do Polski mjr dypl. Jan Jaźwiński w ściśle tajnej notatce 14 października 1943 r. tak ocenia współpracę z SOE: „Na przestrzeni od sierpnia 1941 r. do chwili obecnej SOE przejawia tendencję, aby hamować przerzut do Kraju. [...] Trzyletnia prawie współpraca z SOE pozwala z całą pewnością stwierdzić, że SOE [...] nie jest poważnie traktowane przez Air Ministry [...] oraz jest narzędziem rozgrywek Foreign Office [...]. Stąd przerzut zaopatrzenia dla Armii Krajowej – operacja ściśle wojskowa, jest przedmiotem wpływów wszelkich rozgrywek politycznych. [...] Istota rzeczy tkwi w fakcie, że istnieje niewątpliwie dyrektywa dla SOE i Air Ministry, aby ograniczyć przerzut dla Armii Krajowej do minimum nieistotnego [...]".

Dowodzi tego również następujące porównanie: od 1941 do 1944 r. do Polski zrzucono 670 ton (do polskich rąk trafiły 443 tony) broni, amunicji i sprzętu. W tym czasie ruch oporu we Francji uzyskał 10 485 ton, partyzanci jugosłowiańscy – 76 171 ton, a greccy – 5796 ton zrzutów. A większość żołnierzy Armii Krajowej daremnie czekała na broń...

Wbrew przyjętym z Polakami ustaleniom Brytyjczycy ograniczali liczbę lotów do naszego kraju: z 30 zaplanowanych w sezonie operacyjnym 1941/1942 wykonano 11. Ze 100 zaplanowanych na sezon 1942/1943 wykonano 46. Z 300 zaplanowanych w sezonie 1943/1944 wykonano 172. Polskie załogi w operacjach specjalnych SOE latały na ogół nie do ojczyzny, lecz do innych krajów. Na przykład w 1944 r. wykonały 1282 loty, z czego tylko 339 do Polski.

Brytyjczykom i Amerykanom nadal zależało głównie na polskim wywiadzie, dostarczającym im połowy wszystkich meldunków, które do nich napływały z okupowanej Europy. Przypomnijmy, że poza dalszymi pracami naszych matematyków, którzy już przed wojną zdekodowali niemiecką maszynę szyfrującą Enigma, do zwycięstwa nad III Rzeszą przyczyniło się walnie odkrycie produkcji bomb latających V-1 i rakiet V-2 w Peenemünde na wyspie Uznam, a następnie w Bliznem pod Tarnowem oraz przesłanie części V-2 do Wielkiej Brytanii. Wymieńmy też zdobywanie niemieckich planów: bitwy na łuku kurskim, Grupy Armii „Środek", obrony Gdyni...

Po Teheranie

Podstawowymi formami działania zbrojnego ramienia Rządu RP nie miało być przygotowanie narodowowyzwoleńczego zrywu, ale takie formy działania, które – bez liczenia się z konsekwencjami dla ludności – służyłyby osłabieniu Niemców na froncie wschodnim. Chodziło nie tylko o sabotaż gospodarczy, wywiad i propagandę, lecz także ataki dywersyjne oraz rozwój partyzantki. AK starała się sprostać dyrektywom naszego rządu w Londynie, który rozpaczliwie próbował odzyskać straconą po roku 1941 pozycję polityczną. I tak w latach 1942–1945 Polska Walcząca dokonała 110 tys. akcji zbrojno-dywersyjnych, z czego ponad 6,2 tys. z udziałem większych oddziałów partyzanckich. 2,3 tys. razy atakowano transport, wykolejono ok. 1,3 tys. pociągów wiozących wojsko lub zaopatrzenie na front. Niemcy do walki z Polską

eprasa.pl fe6332b98a

Walczącą ściągnęli siły odpowiadające – w przeliczeniu – 850 batalionom.

Pierwszą większą akcję AK (kryptonim Wieniec) wymierzoną w transport niemiecki wykonało siedem patroli Związku Odwetu nocą z 7 na 8 października 1942 r., blokując na kilka godzin warszawski węzeł kolejowy po obu stronach Wisły, niszcząc tory oraz kilka parowozów i wagonów. W latach 1943–1944 oddziały Kedywu przeprowadziły wiele udanych akcji wyzwalania więźniów, których czekały śmierć lub obóz koncentracyjny – np. pod Celestynowem, w Wiśniczu, w Lidzie czy w samym sercu Warszawy, pod Arsenałem, kiedy 26 marca 1943 r. koledzy z Grup Szturmowych odbili Janka Bytnara „Rudego" oraz 20 innych Polaków. Operacja Kedywu „Taśma" przyniosła zaś likwidację 13 niemieckich posterunków na granicy Generalnego Gubernatorstwa z polskimi ziemiami przyłączonymi w 1939 r. do III Rzeszy.

Po zerwaniu przez Stalina stosunków dyplomatycznych z Polską (maj 1943 r.), a jeszcze bardziej po konferencji teherańskiej (listopad/grudzień 1943 r.) Rząd RP stał się sojusznikiem przez aliantów wprost niechcianym. Niechciana – a nawet niebezpieczna, bo wprost zagrażająca jej stosunkom z Sowietami – stała się też Armia Krajowa. Cele, plany oraz charakter jej użycia wcześniej nie były brane pod uwagę w strategii anglosaskich aliantów, a po 1943 r. zwyczajnie je ignorowano. Arogancja brytyjskiego sojusznika rosła i przejawiła się na przykład w wymuszeniu jesienią 1944 r. na polskim premierze Stanisławie Mikołajczyku decyzji o pozbawieniu gen. Kazimierza Sosnkowskiego – człowieka i dowódcę wielkiego formatu – stanowiska Naczelnego Wodza.

Nawet nieważne, czy Winston Churchill naprawdę wierzył w kłamstwa Sowietów o niemieckim sprawstwie zbrodni katyńskiej, czy o AK „jako faszystach współdziałających z Niemcami". Zapewne – w przeciwieństwie do z gruntu cynicznego, ale i naiwnego Franklina Delano Roosevelta – nie wierzył w ani jedno ze słów Stalina. Ważne, że nie protestował, publicznie ich nie dementował. Podobnie nie reagował na doniesienia o zbrodniczym zwalczaniu polskiej konspiracji i Armii Krajowej na Wileńszczyźnie przez partyzantkę sowiecką na rozkaz z Moskwy, a latem 1944 r. o uwięzieniu żołnierzy AK, którzy wcześniej współuczestniczyli z Armią Czerwoną w wyzwoleniu Wilna i Lwowa. Dbał po prostu o interes Zjednoczonego Królestwa. Największy Brytyjczyk w historii, jak ocenili niedawno jego rodacy.

Powstanie '44

Wreszcie Powstanie Warszawskie… Dla Rządu RP, Delegatury Rządu na Kraj i KG AK było ostatnią próbą spektakularnego zwycięstwa nad Niemcami „na oczach świata" i ocalenia w ten sposób Polski przed jarzmem Sowietów. Polityczne racje wzięły górę nad chłodną analizą sił i środków, dokładnego rozpoznania militarnego, dotychczasowych doświadczeń z bandyckim postępowaniem Hitlera i Stalina. Zarzuty – zasadne – można mnożyć, co w ostatnich latach stało się w Polsce bardzo modne. Tragedią Warszawy obarcza się przy tym dowództwo Armii Krajowej, któremu nie przeszkodzili ani Delegat Rządu, ani Rząd, ani Naczelny Wódz. Czyli: Polacy byli winni sami sobie…

Tego faktu, że zbrodni na jeńcach i ludności cywilnej oraz zniszczenia całego miasta dokonali Niemcy z rozkazu Hitlera, a pozwolili na to Sowieci Stalina – co można zakwalifikować jako współuczestnictwo w zbrodni – już się nie podkreśla. Nie podkreśla się też, że pomoc aliantów była nader mizerna. W ciągu paru poprzednich lat nie dozbroili podziemnej armii sojuszniczej Polski choćby w takim stopniu jak komunistycznej partyzantki Josifa Broza-Tito. Dostawy broni do Warszawy Brytyjczycy rozpoczęli dopiero w połowie sierpnia 1944 r. (Churchill musiał przełamywać opory własnych dowódców), a Amerykanie przylecieli (zresztą pierwszy i ostatni raz) miesiąc później, gdy Rosjanie wreszcie udostępnili im przyfrontowe lotniska przed drogą powrotną.

Roosevelt w ogóle nie zamierzał interweniować u Stalina z żądaniem odsieczy Armii Czerwonej dla ginącego miasta, a Churchill – bez jego wsparcia i bez wsparcia swojego rządu zresztą – był bezradny. W ich efekcie interwencja była nijaka i nie przyniosła skutku. Norman Davies („Powstanie '44) dokładnie to opisał, konkludując: „Wypada stwierdzić, że koalicja wykazała słabość i opieszałość. Ma się ochotę powiedzieć, że powstańcy z nawiązką spełnili swój obowiązek, natomiast politycy państw alianckich nie wypełnili swoich". Mikołaj Iwanow udowodnił („Powstanie Warszawskie widziane z Moskwy"), że Armia Czerwona na początku sierpnia była dostatecznie silna, by odbić Warszawę z rąk Niemców, i że marsz. Rokossowski przygotował 8 sierpnia stosowny plan. Ten plan, i po miesiącu kolejny, odrzucił Stalin.

O militarnych i politycznych błędach Polaków już wielokrotnie mówiono. Ale o tym, jak na polską przegraną w wygranej rzekomo wojnie wpłynęli nasi kochani sojusznicy, wspomina się nader rzadko. Davies to wyjaśnia i zamieszcza również dzisiaj aktualne memento: „Powstanie Warszawskie jest także ostrzeżeniem przeciwko koalicjom z rozsądku. Pokazało, że wielkie mocarstwa mogą dużo mówić o demokracji i jednocześnie nie przywiązywać do niej dużej wagi. Ktoś, kto się przyłącza do takiej koalicji, niekoniecznie musi oczekiwać, że się w niej znajdzie na prawach równego partnera ani że inni będą występować w obronie jego interesów. Koalicje rzadko powstają we wspólnym interesie i z korzyścią dla wszystkich członków".



Medal pamiątkowy wybity dla uczczenia pierwszego komendanta głównego AK

FOT. ARCHIWUM

Niemcy mordowali powstańców, którzy dostali się do niewoli, jako „bandytów", pod pozorem braku statusu kombatanckiego aliantów. Ci zwlekali jednak z tym uznaniem aż do 29 sierpnia (Brytyjczycy) i do 3 września (Amerykanie). Ujęci przez wroga AK-owcy tak długo ginęli przez tę zwłokę, co najcelniej ukazuje stosunek sojuszników i do ich losu, i w ogóle do losu Polski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fe6332b98a

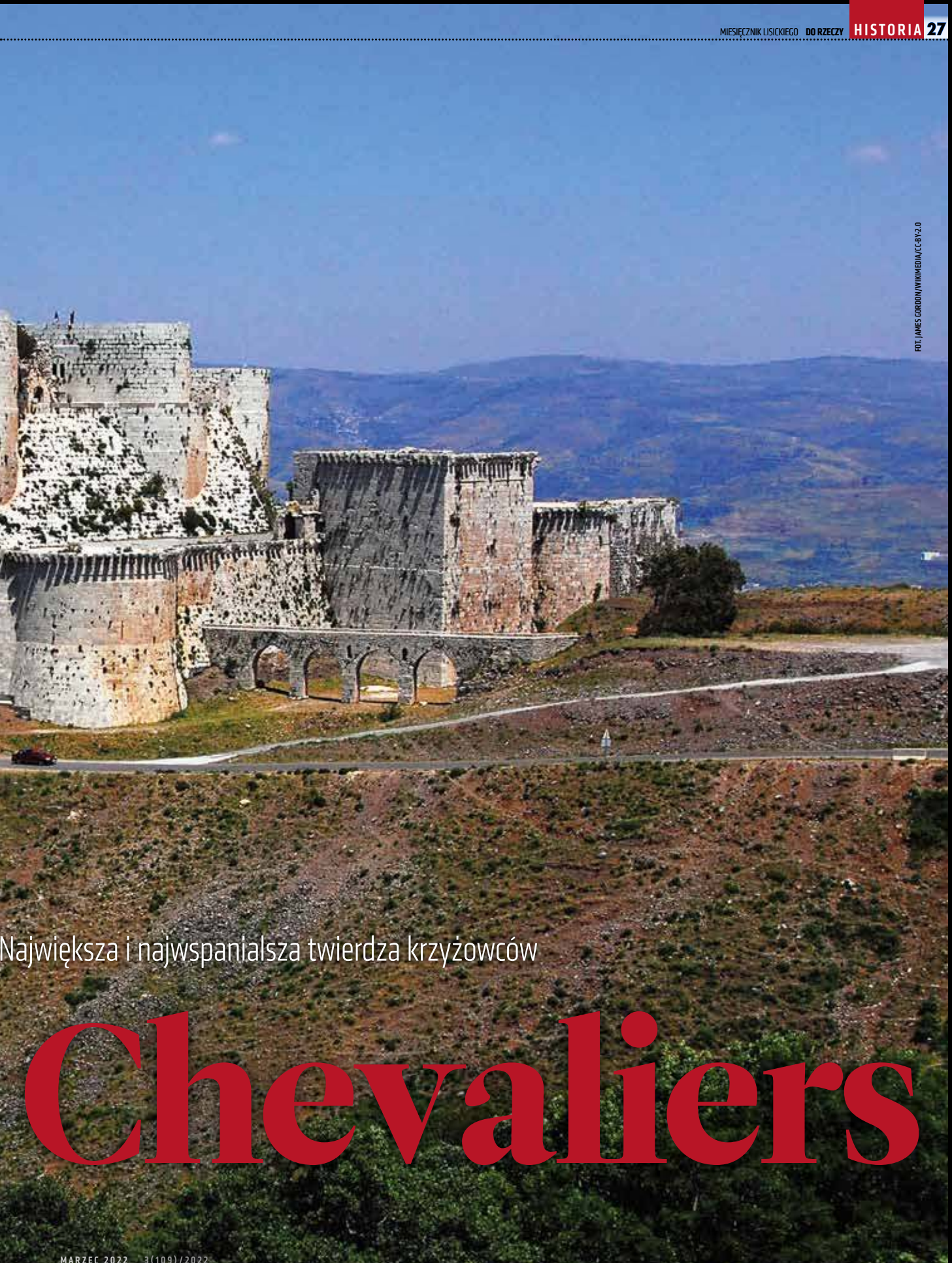


Jakub Ostromęcki

„Kość, która stanęła muzułmanom w gardle” – tak wojownicy półksiężyca określali twierdzę. „Klucz do ziemi chrześcijańskiej” – to z kolei określenie łacinników...

XII–XIII w.

Krak des



FOT. JAMES GORDON/WIKIMEDIA/CC-BY-2.0

Największa i najwspanialsza twierdza krzyżowców

Chevaliers

Zachwytów nad zamkiem nie krył Thomas Edward Lawrence – brytyjski oficer, przywódca arabskiego antyosmańskiego powstania z pierwszej wojny światowej, znawca Bliskiego Wschodu i archeolog. Philippe Contamine, autor wiekopomnej pozycji „Wojna w średniowieczu", stwierdził, że to właśnie wraz z powstaniem Krak des Chevaliers budowniczy zamków dorównali architektonicznym kunsztem twórcom romańskich katedr. Cyklopiczne mury i baszty zamku stały się jednym z symboli krucjat, kultury rycerskiej i ogólnie średniowiecza. Owa „twierdza rycerzy" należy do ważniejszych bliskowschodnich obiektów historycznych wpisanych na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO.

Krak des Chevaliers położony jest pomiędzy dwoma biegnącymi południkowo łańcuchami górskimi Libanu. W czasie krucjat z baszt zamku widać było każdą armię zmierzającą ze wschodu, z Homs czy Hamy na zachód, do Hrabstwa Trypolisu, ku bogatym nadmorskim miastom. W XII i XIII w. granica nie była tu wytyczona precyzyjnie, ale patrząc ze wschodnich baszt, przy dobrej widoczności można było dostrzec chłopów pracujących w dobrach muzułmańskich.

Mury nie do zdobycia

Zamek, niczym mityczny Fafnir, rozsiadł się na płaskim podłużnym wzgórzu, które od północy, wschodu i zachodu opada skarpami uniemożliwiającymi jakiekolwiek skryte podejście czy szturm, nie mówiąc już o podprowadzaniu machin oblężniczych. Łatwiejsza droga ku zamczysku wiedzie od południa, ale tu budowniczy wykopali głęboką fosę oraz postawili dodatkowy, trójkąty drewniany fort spowalniający ewentualne natarcie. Również od południa baszty i mury są najpotężniejsze.

Atakująca Krak des Chevaliers armia musiała zatem najpierw pokonać ów drewniany fort i fosę. Brama do zamku znajdowała się jednak nie po południowej, a po wschodniej stronie zamku. Oblegający musieli do niej iść gęsiego, mając po lewej mur, po prawej zaś opadającą stromo skarpę. Gdy już oćwiczeni ciskanymi z góry głazami dotarli do wrót w murze zewnętrznym, okazywało się, że są one dość wąskie jak na tak gigantycznych rozmiarów zamek. Jeśli udało im się je sforsować – a taran rozpędzić tu trudno, to czekało ich przejście przez korytarz. Nie wiedzie on jednak wprost ku murom wewnętrznym, ale równolegle do nich, zakręcając dwukrotnie. Zwykły podróżny, gość na zamku, zamiast kilka sekund musiał poświęcić na przebycie owego korytarza dobrych kilka minut. Co i rusz w suficie korytarza zieją otwory – to nie budowlana niedoróbka. Armia przebijająca się tym korytarzem wychodziłaby kilka razy z cienia w intensywne światło. Nim oczy napastników przystosowałyby się do nowych warunków, spadłby na nich grad strzał z przemyślnie zbudowanych strzelnic dla kuszników. Nawet jeśli pokonaliby korytarz, to do zdobycia pozostawałby im donżon – w Krak de Chevaliers jego funkcję pełniły trzy najpotężniejsze baszty znajdujące się w wewnętrznym pasie umocnień, po jego południowej stronie.

Od Kurdów do Joannitów

Krak de Chevaliers nie powstał na surowym korzeniu. W 1099 r. krzyżowcy zajęli tu fort zwany przez Arabów Twierdzą Kurdów, znacznie mniejszy od swojego chrześcijańskiego następcy. Nie było to spektakularne zwycięstwo. Saraceni, znając sytuację Europejczyków, wypuścili z zamku bydło. Wygłodniali krzyżowcy zamiast do walki rzucili się do chwytania cennej rogacizny. Gdy wrócili, zamek był już pusty – załoga umknęła. Potyczka ta nie była jednak łatwa dla jednego z wodzów krucjaty Rajmunda z Saint-Gilles. Hrabia omal nie zginął w czasie podejścia pod twierdzę, gdy w jednym ze skalnych jarów musiał stawać samotnie przeciw Saracenom. Krzyżowcy nie zadomowili się w twierdzy Kurdów – poszli bowiem zdobywać Jeruzalem. Saraceni zajęli więc zamek ponownie. Wkrótce jednak inny wódz krucjaty, Tankred, zdobył go i oddał świeżo upieczonym hrabiom Trypolisu, wywodzącym się od wspominanego już Rajmunda z Saint-Gilles. Ci, nie chcąc polegać na humorzastych i niepewnych świeckich wasalach, przekazali go w 1142 r. zakonowi szpitalników. Wojskowej wspólnocie, która, mówiąc współczesnym językiem wojskowych: „pozostawała przez cały czas w gotowości bojowej, mając rzadko spotykane na tym teatrze działań ukompletowanie etatów i sprzętu".



Rycerz Szpitala Jerozolimskiego św. Jana Chrzciciela (Joannita)
FOT. FINEARTAMERICA.COM/ANDREA MAZZOCCHETTI

Rycerze Szpitala Jerozolimskiego św. Jana Chrzciciela. Tak oficjalnie zwano rycerzy, świeckich braci, którzy w połowie XI w., jeszcze za fatymidzkich rządów, podlegali benedyktyńskiemu klasztorowi Matki Boskiej Łacińskiej, nieopodal bazyliki Grobu Pańskiego. Pierwotnie opiekowali się na miejscu ubogimi pielgrzymami. Gdy w 1099 r. w Jerozolimie na dobre stanęły chrześcijańskie hufce, bracia szpitalni, bo tak ich w skrócie zwano, podjęli się eskortowania pielgrzymów do miejsc świętych, które wciąż znajdowały się w rękach muzułmańskich lub po prostu były narażone na napady pospolitych rabusiów. Fundatorem owego zgromadzenia był brat Gerard, z pochodzenia najprawdopodobniej Włoch. Choć nie był rycerzem, tylko kupcem, to cieszył się sporym mirem pośród krzyżowców. Pamiętali, że w czasie oblężenia zamiast kamieni rzucał im bochenki chleba, dając w ten sposób znak, że za murami mogą liczyć na sprzymierzeńców. Teraz po zdobyciu Jerozolimy zaczął rekrutować herbowych rębajłów w szeregi bractwa. Znalazł wielu chętnych. Bractwo, potem zakon, wymagało co prawda wojskowej karności i nie dawało perspektyw na zdobycie bogatego lenna, ale gwarantowało dość przyzwoite bytowanie i bardzo ułatwiało drogę do zbawienia – w tych czasach sprawę tę traktowano poważnie.

eprasa.pl fe6332b98a



Krak des Chevaliers FOT. WIKIPEDIA

W Krak des Chevaliers częściej niż szczęk mieczy słychać było łupanie kilofów, dłut, siekier, a rycerze mnisi wdychali wapienny pył tak często jak kadziło. Zamek był cały czas ulepszany w myśl zasady, że „mur zawsze jest za niski i za chudy". Swój ostateczny, znany do dziś, kształt otrzymał w XIII w.

Życie budziło się w zamku wcześnie. Szpitalnicy wstawali między 2 a 3 w nocy, szli na jutrznię, potem na wspólne śniadanie. Przez resztę czasu pomagali przy budowie, obejmowali warty, eskortowali pielgrzymów lub wyruszali na patrole. Ćwiczono nieustannie, a najwięcej uwagi i czasu zajmowało układanie koni. Na murach i dziedzińcach można było spotkać nie tylko francuskich i włoskich rycerzy oraz sierżantów w czarnych bądź czerwonych płaszczach. Razem z nimi ćwiczył Bizantyjczyk w lamelkowym pancerzu, ormiański feudał, mający na sobie osobliwą mieszankę europejskiej heraldyki i bizantyjskiego rynsztunku, i smagłolicy łucznik nawrócony z islamu na chrześcijaństwo, ale noszący się wciąż jak Saracen, czyli w kolczudze, z kałkanem i łukiem.

Wśród robotników sporo było miejscowych chrześcijan semitów. Na mszy dominowała łacina, ale w codziennych rozmowach słychać było różne dialekty francuskiego i włoskiego, grekę, ormiański, arabski. Na co dzień ten gigantyczny zamek obsadzało raptem 60 braci rycerzy, tyleż sierżantów, turkopoli tworzących lekką jazdę i kilkuset operatorów machin oblężniczych. Podczas koncentracji wojsk liczba ta wzrastała do 2 tys. zbrojnych różnych formacji. Szpitalnicy, przynajmniej u zarania zakonu, nie byli tak dogmatycznie przywiązani do podziału na braci rycerzy i braci służebnych jak templariusze, toteż w Krak des Chevaliers możny brat rycerz biesiadował często z bratem pochodzącym z gminu. W XIII w. podział ten stał się wyraźniejszy, ale nie było oczywiście mowy, aby całe to mrowie ludzi umieścić w prywatnych celach czy komnatach. Do snu służyła wspólna sala, w której przez cały czas musiało palić się małe światło.

Krak des Chevaliers nie był też domem modlitwy i kultury rycerskiej. Kaplica, Wielka Sala oraz Mieszkanie Mistrza. To trzy pomieszczenia zamku, gdzie wciąż widać kunszt średniowiecznych architektów. Czas i późniejsi zdobywcy zamku brutalnie obeszli się ze zdobiącymi ściany freskami, ale architektoniczne kamienne detale, maswerki, pilastry, sklepienia, roślinne ornamenty wciąż są na swoim miejscu. Romańska (w większości) kaplica zamkowa jest dużo większa niż jej odpowiedniki w zamkach feudałów. Nie miała wszak służyć rodzinie rycerza i jego najbliższym wasalom, ale dużej liczbie braci rycerzy. Wystrój owych wojennych sanktuariów chwalił sam Bernard z Clairvaux. Nie przepadał on za zbyt dużą liczbą fresków czy zdobień, za to miły mu był wiszący na ścianach kaplic rynsztunek. Badacz zamku Paul Dechamps twierdzi, że w kaplicy Krak des Chevaliers musiały zatem na ścianach przeważać tarcze i sztandary.

Zaraz obok kaplicy znajduje się gotycka Wielka Sala, odpowiednik refektarza. To tutaj wspaniale goszczony był król Węgier Andrzej II, tutaj odbywały się wspólne posiłki i przyjęcia na cześć gości zakonu. Z owej sali na dziedziniec wychodzi się poprzez galerię tudzież logię przypominającą krużganek. Jest to konstrukcja niespotykana w zamkach mających przeznaczenie głównie wojskowe. Mieszczące się w jednej w najwyższych baszt gotyckie Mieszkanie Mistrza należałoby nazwać komnatą kasztelana, bo Krak, choć wielki, nie był kwaterą

eprasa.pl fe6332b98a



Krak des Chevaliers FOT. COMMONS WIKIMEDIA

główną szpitalników. Jest to jedyna komnata w zamku, którą można nazwać prywatną.

Kino przyzwyczaiło nas do widoku twierdz Outremer wzniesionych pośród pustyni. Krak des Chevaliers górował nad łąkami pełnymi plantacji figowców, drzew oliwnych, sadów, pastwisk, kanałów nawadniających i młynów wodnych do pozyskiwania cukru trzcinowego.

Woda pitna pochodziła ze studni, ale w razie potrzeby można ją było uzupełnić deszczówką ściekającą przez całą zimę przez system lejów i rur do podziemnych cystern. Woda płynęła również akweduktem ze źródła na grzbiecie powyżej zamku. W jego południowej części, pomiędzy murem zewnętrznym a gigantyczną kamienną skarpą muru wewnętrznego znajdował się otwarty zbiornik, tzw. berquila. Można tu było obmyć zwierzęta w upalne miesiące, podlać rosnące w obrębie zamku warzywa czy samemu zażyć kąpieli – pamiętajmy, że mówimy o czasach sprzed nadejścia nowożytnego panicznego strachu przed wodą. W owym – wydawałoby się – surowym zamczysku dbano o higienę bardziej niż w wykwintnym Wersalu. Kamienne latryny odprowadzające smrodliwy urobek poza mury twierdzy możemy oglądać do dziś.

Krak des Chevaliers miał również prasy do owoców, silosy na zboże, winiarnie, piece chlebowe, własny młyn wiatrowy, który wznosił się ponad jedną z północnych baszt. Obliczono, że zapasów starczyłoby na pięć lat oblężenia. U podnóża zamku zbierali plony chłopi, z dziada pradziada chrześcijanie. Szpitalnicy zwolnili ich z większości feudalnych obciążeń, z wyjątkiem tych niezbędnych dla funkcjonowania zamku, nadali im też swobodę handlu.

Reduta

Pomiędzy rokiem 1115 a 1271 Krak des Chevaliers był atakowany 14 razy, a 13 z tych oblężeń i nagłych szturmów zakończyło się klęską bądź rezygnacją atakujących muzułmanów. W 1163 r. w pobliżu Krak des Chevaliers doszło do bitwy z Nur ad-Dinem. Turecki emir Damaszku i Aleppo długo zapamiętał ten bój. Bardziej bolało go upokorzenie, którego doznał w czasie walki, niż samo widmo śmierci. Wojska muzułmańskie rozłożyły się na odpoczynek w środku dnia. Nagle, ku przerażeniu straży, na równinie od strony zamku pojawiły się liczne hufce dzierżące sztandary z krzyżami. Była to załoga z Krak des Chevaliers, jak chcą kronikarze arabscy, czy też siły świeżo przybyłe z Francji i Antiochii, jak chciał Wilhelm z Tyru. Los Saracenów był przesądzony. Nur ad-Din został zaskoczony w swoim namiocie kompletnie nagi, być może w czasie, gdy po trudach marszu zażywał przyjemności z jedną ze służebnych dziewek. Sułtan wystrzelił z namiotu jak opętany i wskoczył na konia po plecach służącego mu Kurda. W momencie, gdy zrywał już rumaka do ucieczki, Kurd ów został przebity chrześcijańską kopią.

Nur ad-Din uszedł i wziął odwet na krzyżowcach rok później, ale zamku nie udało mu się zdobyć – nawet mimo zdrady pewnego Turkmena służącego w załodze Krak des Chevaliers. W 1180 r. próbował zdobyć zamek sam wielki Saladyn. Splądrował jedynie okolicę, potężne mury okazały się zbyt silne nawet dla niego. Na równinie Bocquee doznawali klęsk i Frankowie, jak w 1203 r. albo w czasie nieudanej inwazji na Hamę czy w 1230 r., ale pokonani krzyżowcy zawsze znajdowali bezpieczne schronienie w potężnej twierdzy.

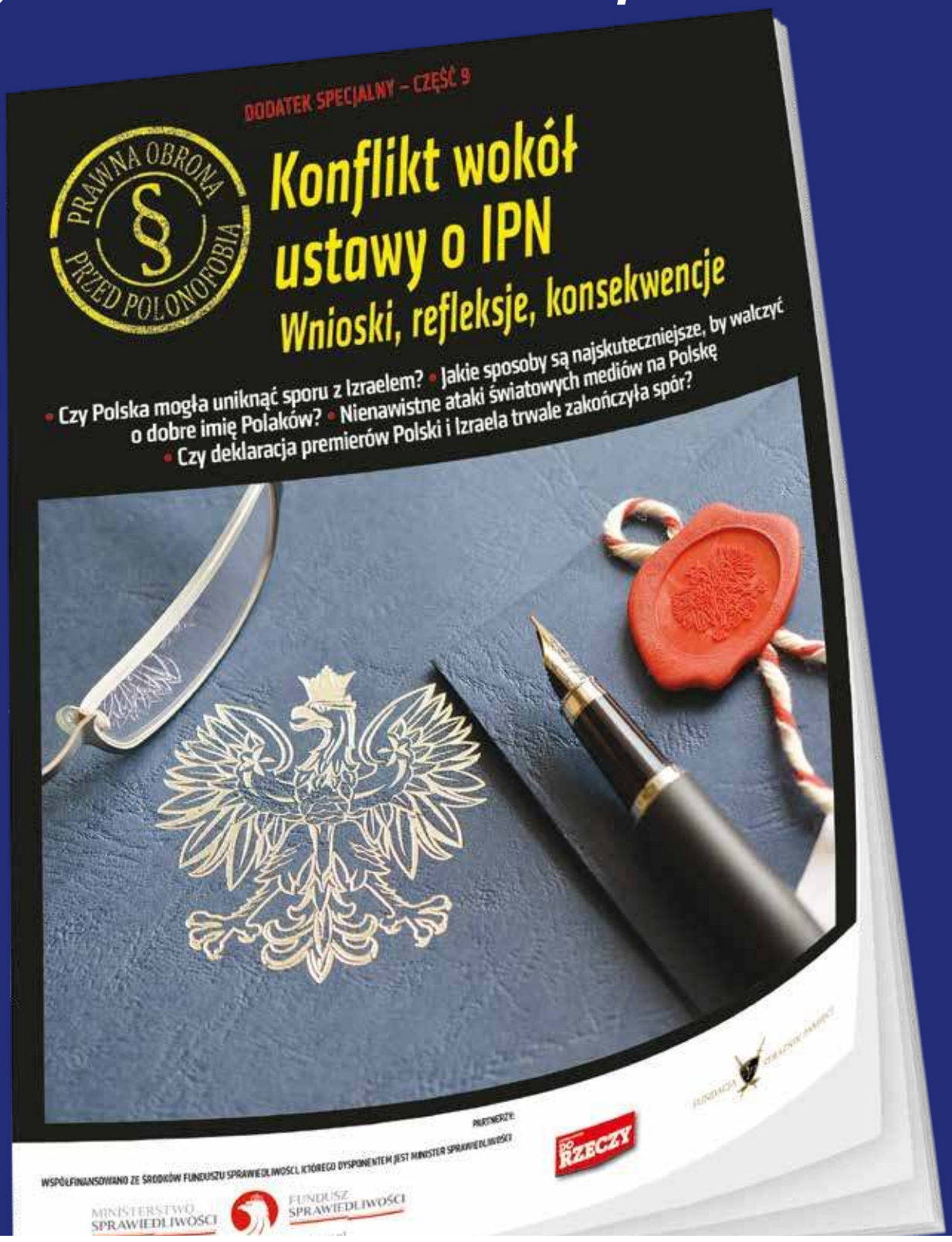
Baszty, wykusze i pułapki na nic, jeśli braknie ludzi do ich obsadzenia. W połowie XIII w. posiadłości krzyżowców w Outremer kurczyły się w zastraszającym tempie. Wielu joannitów poległo. Na zamku, który powinien w czasie wojny mieć obsadę 2 tys. zbrojnych, zostało ich raptem 200. Mamelucki sułtan Bajbars tylko na to czekał. Na początku marca 1271 r. pojawił się pod zamkiem wraz z trebuszami (machiny miotające). Dwa tygodnie zajęło mu sforsowanie bramy zamku, kolejne dwa przejście przez pełną pułapek rampę między murami – co świadczy, że i szczupła załoga mogła poważne opóźniać natarcie wrażej armii. Kolejne 10 dni dobywano donżon – czyli trzy główne baszty na południe od dziedzińca. Bajbars nie chciał jednak niszczyć fortyfikacyjnego cuda, które będzie mu potrzebne w przyszłości. Zmylił więc krzyżowców, wysyłając im gołębia z listem mówiącym, że hrabia Trypolisu rzekomo karze im się wycofać. Krzyżowcy połknęli haczyk, a Bajbars pozwolił ocalałym braciom odejść wolno. Taki był kres chrześcijan w Krak des Chevaliers.

Zamek przetrwał wojny między Mamelukami a Mongołami, podbój osmański i pierwszą wojnę światową. Nie oszczędziła go jednak syryjska wojna domowa. W 2012 r. zamek został zajęty przez dżihadystów przybyłych z pobliskiego Libanu oraz grupki Czeczenów pod dowództwem Chalida al-Mahmuda. Islamiści okupowali Krak des Chevaliers przez dwa lata, robiąc z niego magazyn, koszary i punkt dowodzenia. W 2014 r. zamek odbili żołnierze al-Asada. W czasie ostrzału artyleryjskiego i zniszczeń dokonanych przez wycofujących się dżihadystów poważnie ucierpiała galeria Wielkiej Sali, zniszczeniu uległy między innymi XIII-wieczne maswerki. Odbudowano je jednak z gruzów. Zamek jest udostępniony dla zwiedzających.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fe6332b98a

Już 14 marca w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

eprasa.pl fe6332b98a



FOT. RAFAŁ ZATOR-WARCZYŃSKI

1945 r. / Ostatnie zwycięstwo Cesarstwa Japonii

Horror na Pacyfiku



Piotr Zychowicz

Żarłoczne rekiny pożarły kilkuset rozbitków z amerykańskiego krążownika USS „Indianapolis”. Okręt zawiózł do Azji bombę atomową

Kolosalne śruby obracały się leniwie, gdy rufa znikała pod granatowoczarną powierzchnią oceanu. Po kilku sekundach ostatni fragment okrętu zamajaczył w blasku księżyca i pogrążył się w odmętach. Na tafli wody pojawiło się kilkanaście pęcherzy powietrza. I to był koniec. Ostatni rejs krążownika USS „Indianapolis” dobiegł końca.

Zatonięcie okrętu obserwowało 900 rozbitków. Amerykańskich marynarzy, którym udało się w porę opuścić tonącą jednostkę. Unosili się teraz na wodzie, czepiając się kurczowo dryfujących szczątków.

Ludzie ci mieli stać się uczestnikami jednego z największych dramatów, jaki rozegrał się na morzach i oceanach. Zdecydowana większość z nich miała stracić życie w ciągu najbliższych kilkudziesięciu godzin. Gehennę załogi w książce „Indianapolis” opisały dwie amerykańskie autorki – Lynn Vincent i Sara Vladic. Jest to lektura szokująca.

Atomowa misja

USS „Indianapolis” został zatopiony 30 lipca 1945 r. na Morzu Filipińskim w pobliżu Palau. Trafiły go dwie torpedy wystrzelone przez japoński okręt podwodny I-58. Jednostką dowodził oceaniczny samuraj kpt. Mochitsura Hashimoto. Jeden z najlepszych oficerów Cesarskiej Marynarki Wojennej.

USS „Indianapolis” nie miał szans. Torpedy typu 95 trafiły w burtę. Jedna blisko dziobu, druga w śródokręcie. Spustoszenia były kolosalne. Na pokładzie zaczęły szaleć gwałtowne pożary. Podziurawiony okręt nadal płynął przed siebie, ale nabierał wody i przechylał się na bok. W wyniku eksplozji zginęło ok. 300 spośród 1195 marynarzy znajdujących się na pokładzie.

USS „Indianapolis” był zgubiony. Na dno Pacyfiku poszła gigantyczna jednostka o wyporności 10 tys. ton i mierząca od dzioba do rufy 186 metrów. Okręt pokryty grubymi pancerzami, nafaszerowany działami, karabinami maszynowymi i najnowocześniejszym sprzętem elektronicznym. Duma Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Ukochana jednostka prezydenta Franklina D. Roosevelta.

eprasa.pl fe6332b98a



Zatonięcie „Indianapolis” było największą katastrofą w historii amerykańskiej marynarki wojennej. Dotkliwym ciosem dla prestiżu Stanów Zjednoczonych i ostatnim zwycięstwem Cesarskiej Marynarki Wojennej. Okazało się, że imperium cesarza Hirohito – nawet znajdując się w stanie agonii – potrafi boleśnie kąsać nieprzyjaciela.

Niezwykłe były również okoliczności zatopienia USS „Indianapolis”. Otóż amerykański okręt wracał ze ściśle tajnej misji na wyspę Tinian, gdzie znajdowała się baza amerykańskich bombowców. Na pokładzie krążownika – który przypłynął z San Francisco – przetransportowano na Tinian wzbogacony uran i inne komponenty niezbędne do budowy bomby atomowej.

Powstała z nich bomba „Little Boy”, która 6 sierpnia 1945 r. została zrzucona na Hiroszimę. Był to pierwszy w dziejach świata przypadek użycia broni atomowej przeciwko ludności cywilnej. W apokaliptycznym błysku zginęło 75 tys. niewinnych ludzi. Mężczyzn, kobiet i dzieci.

Walka o życie

W wodzie znalazło się 900 marynarzy „Indianapolis”. Ponieważ okręt po uderzeniu torped przez 12 minut znajdował się w ruchu – rozbitkowie byli rozrzuceni po dużej przestrzeni. Dryfowali wśród unoszących się na powierzchni resztek: drewnianych desek, skrzynek, fragmentów umundurowania, butów i masek przeciwgazowych.

Nieliczni zdołali wdrapać się na tratwy ratunkowe. Inni uczepili się specjalnych niezatapialnych sieci, stanowiących część sprzętu ratunkowego. Większość Amerykanów była jednak zdana na siłę swoich mięśni. Ci, którzy zdążyli założyć kamizelki ratunkowe, mieli szczęście. Ci, którzy nie zdążyli tego zrobić – byli w sytuacji tragicznej.

Ze zbiorników „Indianapolis” do wody wyciekły gigantyczne ilości ropy. Teraz powierzchnia oceanu była pokryta warstwą tłustej, śmierdzącej mazi. Marynarze byli nią oblepieni. Wdzierała się im do oczu, uszu i ust. Oślepiała ich i dusiła. Wielu rozbitków spazmatycznie wymiotowało ropą i słoną wodą morską, które dostały im się do żołądków.

Rozpoczęła się walka o życie. Walka toczona z żywiołem i zmęczeniem. Ale również z towarzyszami broni. Jedni marynarze w tragicznej sytuacji wykazali się bowiem człowieczeństwem. Z narażeniem własnego życia nieśli pomoc towarzyszom niedoli. Inni postanowili przetrwać za wszelką cenę. Nawet kosztem życia innych Amerykanów.

Młodziutki marynarz L.D. Cox wyłowił z wody swojego przyjaciela Clifforda Joseya. Ze zgrozą zauważył, że chłopak jest straszliwie poparzony. Jego twarz wyglądała, jakby się roztopiła. Zwisała z czaszki. Rozgotowane mięso odchodziło od kości. Cox podtrzymał młodego Teksańczyka na powierzchni wody, desperacko próbując ocalić go przed utonięciem. Niestety nieskutecznie.

Harpo Celaya miał zupełnie inną przygodę. Chłopak znalazł się w wodzie bez kamizelki i długo pływał między resztkami „Indianapolis”. Nagle zobaczył dwóch kolegów unoszących się na tratwie ratunkowej. Szansa na ocalenie życia! Szczęśliwy zaczął się gramolić na górę.

– O, kurczę – wysapał – ale się cieszę, że was widzę chłopaki!

Jeden z Amerykanów złapał go wówczas za rękę i brutalnie zepchnął do wody.

– Idź do diabła!

Zdumiony Celaya podpłynął z drugiej strony i znowu próbował dostać się na tratwę. Wtedy drugi marynarz chwycił go za ramiona i próbował go utopić! Celaya wyrwał się napastnikowi i uczepił ciągnącej się za tratwą liny. O dostaniu się na górę nie było mowy…



USS „Indianapolis” w Peal Harbor

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl fe6332b98a



Rozbitkowie z USS „Indianapolis" na wyspie Guam FOT. WIKIPEDIA

Wkrótce nadszedł ranek, który rozproszył ciemności. Na powierzchni wody unosiło się wiele trupów. Część marynarzy potopiła się bowiem już pierwszej nocy.

Tam, gdzie oficerowie i podoficerowie potrafili narzucić dyscyplinę, marynarze skupili się w duże grupy. Ludzie ci utworzyli ludzkie kręgi. Każdy mężczyzna trzymał się mocno kamizelek ratunkowych kolegów z lewej i prawej strony. Najsłabszym i rannym ustępowano miejsca na tratwach. Rozpoczęło się oczekiwanie na ratunek.

Tymczasem do dotychczasowych katuszy rozbitków doszła kolejna. Piekące, tropikalne słońce wspinało się coraz wyżej po niebie. Nie było przed nim ucieczki. Skóra marynarzy szybko pokryła się paskudnymi bąblami. Języki zamieniały się w suche wióry. Ci rozbitkowie, którzy pili wodę morską, szybko umierali w konwulsjach.

Niektórym marynarzom udało się wydobyć z wody skrzynki z jedzeniem. Inni znaleźli pojemniki z wodą na tratwach. I znowu – jedni zachowywali się przyzwoicie, dzieląc się z innymi rozbitkami. Inni zachowywali się egoistycznie i zachowywali wszystko dla siebie.

Atak bestii

Ocaleli z „Indianapolis" byli przekonani, że znaleźli się w ostatnim kręgu piekieł. I nic gorszego nie może im się już przydarzyć. I wtedy przydarzyło się najgorsze. Jeden z marynarzy wrzasnął przeraźliwie i po sekundzie zniknął – jakby pod powierzchnię wody wciągnęła go jakaś potworna siła. Woda się zakotłowała i pokryła krwawą pianą.

Po sekundzie ten sam los spotkał następnego marynarza. I jeszcze jednego. Minęło kilka sekund, zanim reszta marynarzy pojęła, co się stało. Rekiny! Rekiny, zwabione trupami i krwią, przypłynęły na żer. Amerykanie wkrótce zobaczyli charakterystyczne szare płetwy wynurzające się na powierzchnię. I olbrzymie, oślizgłe kształty wijące się w wodzie. Niektóre bestie miały po sześć metrów!

Marynarze wpadli w panikę. Wierzgali nogami, krzyczeli. Szarpali się nawzajem, próbowali wpełznąć na tratwy. To wywołało chaos i jeszcze bardziej zanęciło rekiny. Zaczęło się polowanie na ludzi. Kolejni Amerykanie byli wciągani pod wodę i rozszarpywani na strzępy. Ostre jak brzytwa zębiska cięły ludzkie ciało niczym żyletki.

Cozell Smith został zaatakowany przez rekina, który zacisnął szczęki na jego lewym ramieniu.

– Zostanę zjedzony żywcem! – pomyślał i włosy na głowie stanęły mu dęba z przerażenia.

Po chwili żarłacz wciągnął go pod wodę. W wirze pękających pęcherzyków powietrza i uderzeń potężnego cielska Smith toczył desperacką walkę o życie. Okładał rekina pięścią po nosie, wreszcie udało mu się wbić mu palec w oko. Bestia puściła rękę i marynarz wystrzelił na powierzchnię. Ze straszliwie poszarpanym ramieniem rzucił się ku najbliższej sieci ratunkowej.

Leżący na niej marynarze bali się, że krew wypływająca z ręki Smitha zwabi więcej rekinów.

– Nie! Spadaj! Spadaj! – krzyczeli do rannego.

Gdy Smith zbliżył się do sieci, posypał się na niego grad ciosów i kopniaków. Atak drapieżnika wyzwolił w nim jednak nadludzkie siły. Niczym buldożer przebił się przez innych marynarzy i jednym susem wylądował w samym środku sieci.

Wtedy zobaczył, że jeden z marynarzy wyszarpnął nóż i rzucił się na niego z żądzą mordu w oczach. Zrozumiał, że ze strony człowieka grozi mu nie mniejsze niebezpieczeństwo niż ze strony rekina. Smith błyskawicznie wskoczył z powrotem do wody i odpłynął.

Tymczasem na miejsce katastrofy przypływały kolejne rekiny. Były ich setki, tysiące. Jeden z marynarzy opowiadał później, że miał wrażenie, jakby chodził po plecach bestii. Rekiny kąsały unoszące się na wodzie trupy. Odgryzały ludziom ręce, nogi i genitalia. Przegryzały marynarzy na pół, wypruwając z nich wnętrzności i gruchocząc kości. Niektóre rekiny wystawiały łby z wody i patrzyły na swoje ofiary zimnymi, gadzimi oczami.

Wkrótce na powierzchni zaczęły unosić się kawałki straszliwie okaleczonych ludzkich ciał. Beznogie i bezrękie korpusy. Oderwane głowy i nogi. Barakudy i inne mniejsze ryby obgryzały kości zostawione przez rekiny. Ludzie odchodzili od zmysłów! Pozbawieni broni marynarze byli bezradni. Mogli tylko modlić się o jak najszybszą śmierć.

Tymczasem na tratwach i sieciach zaczęło dochodzić do sprzeczek, które przeradzały się w brutalne bójki. Marynarze bili się pięściami i dźgali nożami. Każdy przeciwko każdemu. Splątany tłum oszalałych, agresywnych mężczyzn. Krew sprowadzała zaś kolejne rekiny…

Czasami powodem bójek była rywalizacja o ostatni łyk słodkiej wody lub ostatniego suchara. Na ogół jednak marynarze popadali w odmęty szaleństwa. Mieli halucynacje, wydawało im się, że ich towarzysze są „Japońcami". Znane są przypadki, gdy ludzie rzucali najsłabszych i rannych rekinom. Chcieli „nakarmić" żarłacze i w ten sposób ocalić własną skórę…

eprasa.pl fe6332b98a

Horror trwał przez cztery dni. Każdego dnia liczba żyjących rozbitków topniała.

Sąd wojskowy

– Ludzie w wodzie! – krzyknął do interkomu por. Wilbur Gwinn.

Z kokpitu bombowca PV-1 Ventura dostrzegł na powierzchni oceanu plamy ropy i dryfujących marynarzy. Natychmiast nadał sygnał alarmowy do bazy w Palau i wszystkich jednostek alianckich w okolicy. Ruszyła akcja ratunkowa. Było południe 2 sierpnia 1945 r.



Bandera japońskiej marynarki wojennej i oficer przy persykopie FOT. DOMENA PUBLICZNA

Samoloty i okręty ratownicze wyłowiły z wody 316 żywych ludzi. A więc jedną trzecią. 600 marynarzy utonęło lub zostało pożartych. Był to największy atak rekinów na ludzi w dziejach. Wielu ocalałych było ciężko rannych, pogryzionych i poparzonych. Niemal wszyscy byli skrajnie wyczerpani i odwodnieni.

Gehenna rozbitków odbiła się szerokim echem w Stanach Zjednoczonych. Opinia publiczna szalała. Niemal w przededniu zakończenia działań wojennych doszło do tak straszliwej tragedii! Upokarzającej klęski. Choć Amerykanie wygrali wojnę – to ostatnie zwycięstwo morskie należało do marynarki wojennej Japonii.

Jak wynika z odtajnionych po latach dokumentów, sygnał radiowy wysłany z tonącego „Indianapolis" został przechwycony przez trzy alianckie radiostacje. Wszystkie trzy zignorowały jednak wiadomość. Jeden z dowódców był pijany, inny myślał, że to „japoński podstęp", jeszcze inny miał to w nosie. Gdyby choć jeden z tych trzech wszczął alarm – ratunek przyszedłby natychmiast.

Mało tego, dowództwo marynarki wojennej wiedziało o tym, że w pobliżu „Indianapolis" grasuje japoński okręt podwodny I-58. Amerykanom udało się bowiem złamać japońskie szyfry. Nie ostrzeżono jednak załogi „Indy" przed niebezpieczeństwem. Dlaczego?

„US Navy tłumaczyła, że złamanie japońskich szyfrów stanowiło ściśle strzeżoną tajemnicę – pisał historyk Iain Ballantyne. – Dlatego można było wykorzystać dane z tego źródła, tylko jeśli mogło to przynieść znaczną korzyść strategiczną dla wysiłku wojennego. Gdyby więc niebezpieczeństwo to zawisło nad USS »Indianapolis«, gdy krążownik płynął na Tinian z elementami bomby atomowej, powyższy warunek zostałby spełniony, lecz jego rejs powrotny nie miał już takiego statusu".

Aby zatuszować te kompromitujące informacje, dowództwo potrzebowało kozła ofiarnego, na którego można było zrzucić winę. Zdecydowano się więc postawić przed sądem polowym kapitana jednostki Charlesa B. McVaya, który znajdował się wśród uratowanych rozbitków. Oskarżono go o to, że w trakcie rejsu nie zygzakował. A co za tym idzie, ułatwił Japończykom trafienie w cel.

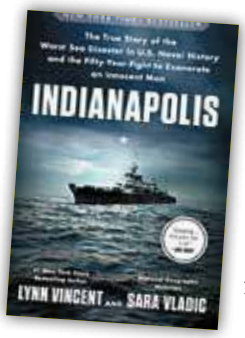
Proces McVaya był wielką sensacją. Mimo że Amerykanie stracili w trakcie wojny wiele okrętów, tylko w tym jednym przypadku kapitan jednostki stanął przed sądem. Mało tego – do Ameryki przywieziono kapitana I-58 Mochitsurę Hashimoto. Było to kolejne wydarzenie bez precedensu – oficer państw Osi zeznawał jako świadek na procesie oficera amerykańskiego.

Mimo że Mochitsura wziął w obronę kolegę po fachu i zapewnił, że zygzakowanie nie mogłoby uratować „Indianapolis" – McVay został zdegradowany. Nie mogąc sobie poradzić z ciężarem winy i splamionym honorem, oficer w 1968 r. strzelił sobie w głowę z pistoletu, który otrzymał od marynarki wojennej. Gdy znaleziono jego ciało, w jednej dłoni miał broń, a w drugiej – figurkę marynarza.

Mochitsura po wojnie został kapłanem w jednej z japońskich świątyń. Po wielu latach spotkał się z amerykańskimi marynarzami ocalałymi z „Indianapolis". Doszło do wzruszającego pojednania dawnych wrogów. „Przybyłem tu, by modlić się z wami za waszych kolegów, których śmierć spowodowałem" – powiedział.

Mochitsura i jego amerykańscy przyjaciele prowadzili kampanię na rzecz pośmiertnego oczyszczenia dobrego imienia McVaya. Zakończyło się to sukcesem dopiero w roku 2000 decyzją Kongresu. Odpowiednie rozporządzenie podpisał prezydent Bill Clinton.

Wrak „Indianapolis" został odnaleziony przez ekspedycję badawczą w 2017 r. Ponieważ osiadł bardzo głęboko – zachował się w doskonałym stanie. Największy rozgłos tragedii USS „Indianapolis" nadał jednak Steven Spielberg. Jeden z bohaterów jego kultowego filmu „Szczęki" pokryty bliznami wilk morski Quint był ocalałym z katastrofy „Indy".



Scena, w której Quint opowiada o piekle, jakie przeszedł w 1945 r., dryfując na Pacyfiku, należy do jednej z najbardziej wstrząsających. Mówił o czarnych, martwych oczach rekina, które wpatrywały się w ofiarę, gdy bestia ruszała do ataku. I o purpurowych wodach Oceanu Spokojnego. Purpurowych od krwi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fe6332b98a





Masakra Niemców w praskiej dzielnicy Bořislavka. Kadry z filmu FOT. YOUTUBE.COM/WATCH?V=POMYZCMPZF8





1945 r. / Pogrom Niemców w Czechach

Czeska zemsta



Arkadiusz Karbowiak

Do sierpnia 1945 r. z terytorium Czechosłowacji wypędzono od 660 tys. do 800 tys. Niemców. W tym czasie zmarło lub zostało zamordowanych ok. 25 tys. osób niemieckiego pochodzenia

Niemieckie rządy w Protektoracie Rzeszy dla Czech i Moraw z polskiej perspektywy oceniane są jako liberalne w porównaniu z tymi, których doświadczyli Polacy na terenach wcielonych do III Rzeszy czy Generalnego Gubernatorstwa. Funkcjonowanie czeskiego kolaboranckiego ośrodka władzy prezydenta Emila Háchy, popieranego początkowo przez dużą część społeczeństwa, oraz defensywna taktyka czeskiego podziemia, które do 1945 r. – poza zamachem na Reinharda Heydricha zorganizowanym zresztą przez spadochroniarzy z SOE na rozkaz prezydenta Edwarda Beneša – unikało akcji zbrojnych wymierzonych w niemieckie struktury okupacyjne, nie skłaniały Niemców do

eprasa.pl fe6332b98a



stosowania w Protektoracie polityki opartej na masowym terrorze.

Odstępstwa od tej zasadniczej linii postępowania w postaci fali egzekucji, która nadeszła wraz z pojawieniem się p.o. Reichsprotektora na Hradczanach SS-Obergruppenführera Reinharda Heydricha (zginęło ok. 500 osób, głównie członków podziemia), oraz bezwzględny odwet zaaplikowany po udanym na niego zamachu (prawie 5 tys. ofiar) wywołały u Czechów nastroje wrogości wobec niemieckich okupantów.

Dopiero jednak upadek III Rzeszy spowodował, że w czeskim społeczeństwie, ukrywającym się do tej pory pod maską pokory i uległości, zaczęły znajdować ujście nagromadzone przez lata pokłady nienawiści. Dlatego w dawnym Protektoracie doszło do erupcji niezwykle brutalnej przemocy, skierowanej przeciw jeńcom, a przede wszystkim niemieckim cywilom. Na nich właśnie skupiła się niczym nieograniczona orgia zemsty.

Praska wendeta

Pierwszym miejscem, gdzie doszło do mordów na masową skalę, była Praga. 5 maja 1945 r. w stolicy Protektoratu wybuchło powstanie. Niemal od początku powstania w rękach powstańców znaleźli się niemieccy cywile zamieszkujący miasto. Czescy rebelianci nie mieli wobec nich specjalnych względów. Niemców umieszczano w prowizorycznych więzieniach. Szczególnie dramatyczny był los kobiet, które bito, gwałcono, obcinano im włosy, malując na ogolonych głowach tudzież innych częściach ciała swastyki. Egzekucji dokonywano początkowo tylko na wziętych do niewoli żołnierzach Waffen-SS lub funkcjonariuszach policji, ale wkrótce ofiarami rozstrzeliwań zaczęli padać jeńcy z Wehrmachtu oraz zwykli cywile. Wpływ na takie zachowanie miały, co warto podkreślić, zbrodnie dokonywane przez żołnierzy niemieckich z jednostek tłumiących praskie powstanie.

Ślepa furia wendety na pełną skalę ujawniła się 9 maja 1945 r., a więc już po wycofaniu się oddziałów niemieckich z Pragi. Krwawe wydarzenia mające wówczas miejsce tak opisywał jeden z ewangelickich duchownych Přemysl Pitter: „Na Bramie Prochowej wisiał powieszony za nogi Niemiec, a pod jego głową rozpalono ogień i pomalutku go pieczono... Naprzeciwko gmachu YMCA Niemki, młode i stare, przechodziły z podniesionymi rękami przez kordon ludzi, którzy młócili je bykowcami. Zawołałem: »Ludzie, miejcie rozum!«. Wydostałem się tylko cudem. Na Florze dwie godziny znęcano się nad pewną Niemką, a później napastnicy polali ją benzyną i podpalili. Widziałem ludzi z Żiżkova ciągnących na plac Wacława, którzy krzyczeli: »Idziemy opiekać zające!«. To znaczy polować na Niemców".

Brutalność postępowania nie miała żadnych ograniczeń. Niemiecki pisarz Jürgen Thorwald, autor książki „Wielka ucieczka", retorycznie pytał: „Czy byli jeszcze ludźmi ci, którzy 9 maja, na placu Wacława, na placu Karola i na ulicy Rycerskiej, oblewali Niemców benzyną, wieszali za nogi na słupach i latarniach, podpalali ich i wrzeszcząc, przyglądali się tym płonącym pochodniom i ich cierpieniom? Czy byli jeszcze ludźmi ci, którzy drutem kolczastym wiązali niemieckich żołnierzy, a także cywilów, mężczyzn i kobiety i takie wiązki ludzi wrzucali do Wełtawy".

Najbardziej znaną zbrodnią popełnioną na Niemcach w czechosłowackiej stolicy była egzekucja dokonana 9 maja w praskiej dzielnicy Bořislavka. Rozstrzelano tam wówczas 41 osób (40 Niemców i jednego Czecha). Nie jest do końca jasne, kto ją przeprowadził. Niemieccy cywile zostali wyprowadzeni z kina, które zamieniono na rodzaj ośrodka internowania, przez członków jednej z paramilitarnych grup czeskich, do wykonywania jakichś prac porządkowych. Po dotarciu na ul. Kladeńską, gdzie znajdowali się sowieccy żołnierze, ustawiono ich tyłem do ulicy i zabito. Egzekutorami byli Sowieci lub Czesi. Finałem masakry było przejechanie po zwłokach, ale i po ciężko rannych, jeszcze żyjących, przez sowiecką ciężarówkę. Jedną z zidentyfikowanych z imienia i nazwiska ofiar egzekucji był prof. Willy Hüttl, filozof, wybitny znawca historii starożytnej, wykładowca akademicki pracujący na praskim Uniwersytecie Karola. Odtworzenie dużej część szczegółów tej zbrodni było możliwe dzięki uwiecznieniu jej na taśmie filmowej, czego dokonał wtedy



Wysiedlani prascy Niemcy FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl fe6332b98a

z ukrycia architekt Jiří Chmelíčka. Film przetrwał do dzisiejszych czasów i wyemitowała go nawet czeska telewizja.

Mordy poza stolicą

Wydarzenia w Pradze, jak się okazało, stanowiły jedynie preludium dalszej eskalacji przemocy wobec Niemców. Kolejnym miejscem, gdzie do niej doszło, była położna w północnych Czechach miejscowość Postoloprty. W połowie maja 1945 r. miasto wybrano na siedzibę sztabu czechosłowackiej 1. Dywizji Piechoty. Po podjęciu decyzji na miejsce przybyła grupa, która miała podjąć stosowne przygotowania i niejako przy okazji wysiedlić z tego obszaru przebywających tam Niemców. Utworzony został dla nich obóz, do którego skierowano niemieckich mieszkańców z Postoloprtów i okolic, m.in. Žateca. Umieszczono w nim ok. 5 tys. internowanych. Osobno zakwaterowano mężczyzn pomiędzy 12.–65. rokiem życia, a osobno kobiety i młodsze dzieci. Te ostanie trafiły do obiektu nazywanego bażanciarnią, gdzie mieścił się w czasie niemieckiej okupacji obóz szkoleniowy Hitlerjugend.

Spiritus movens zbrodni, których dopuścili się żołnierze czechosłowaccy, a także członkowie Gwardii Rewolucyjnej – kierowanej przez szewca z zawodu Bohuslava Marka paramilitarnej formacji, podporządkowanej początkowo Ministerstwu Obrony Narodowej, a potem Ministerstwu Spraw Wewnętrznych – był oficer w stopniu kapitana Vojtěch Černý, żołnierz stacjonującego w Polsce w 1939 r. Legionu Czechów i Słowaków oraz I Czechosłowackiego Korpusu Armijnego w ZSRS. Na jego rozkaz lub za jego przyzwoleniem zabito w zbiorowych egzekucjach w Postoloprtach co najmniej 763 osoby. Wśród zabitych było m.in. pięciu członków Hitlerjugend w wieku od 12 do 15 lat, którzy najprawdopodobniej wybrali się poza obóz, aby nazbierać owoców. Ujęci przez partol gwardzistów zostali najpierw dotkliwie pobici, a potem rozstrzelani.

Sprawa popełnionych w Postoloprtach zbrodni stała się na tyle głośna, że zajęła się nią specjalna komisja sejmowa, która wdrożyła śledztwo. W jego trakcie przeprowadzono ekshumację ciał ofiar (wśród zamordowanych 763 osób było pięć kobiet i jedno dziecko). Zeznający przed nią kpt. Vojtěch Černý nie wyrażał zbytniej skruchy w odniesieniu do popełnionych czynów, twierdząc: „Niemcy dokonali tyle zła, że nie zdołamy im się za to odpłacić, nawet jeślibym dokonywał egzekucji codziennie". W raporcie końcowym komisja sejmowa oszacowała liczbę ofiar na ok. 2,3 tys. osób. Obecnie historycy wskazują, że było ich ok. 1 tys.

Nieco mniejszą skalę miały wydarzenia, które rozegrały się w Ujściu nad Łabą. 31 lipca 1945 r. ok. godz. 15.30 doszło w dzielnicy Březno do wybuchu zgromadzonej w magazynach poniemieckiej amunicji. Śmierć poniosło 27 osób. O wywołanie eksplozji fałszywie oskarżono Niemców, co wywołało radykalną reakcję ze strony czeskiej ludności oraz żołnierzy stacjonującego tam 28. pułku piechoty. Na ulicach rozpoczął się lincz Niemców, których łatwo było rozpoznać, musieli bowiem nosić na ubraniu naszytą literę N. Zatrzymywanych bito, zrzucano z mostu, a następnie strzelano do nich lub rozstrzeliwano ich w pobliżu dworca kolejowego. Liczba zidentyfikowanych z imienia i nazwiska ofiar wyniosła 43, choć według historyków w rzeczywistości była ona większa i wahała się od 80 do 100 zamordowanych. Ustalenie ich personaliów okazało się niewykonalne z uwagi na to, że kilkadziesiąt ciał wyrzuconych po kilku dniach przez rzekę Łabę trudno było zidentyfikować.

18 czerwca 1945 r. na dworzec w Přerovie wtoczył się wojskowy transport żołnierzy z 17. pułku piechoty, wracających z praskiej defilady. Około południa pojawił się tam kolejny transport – Niemców karpackich i Węgrów próbujących wrócić na Słowację (znajdowało się w nim kilku Słowaków). Jeden z oficerów, Karol Pazúr, były członek Gwardii Hlinki i żołnierz Słowackiej Dywizji Szybkiej, walczącej na froncie wschodnim, zaczął wyciągać uchodźców z pociągu i ich przesłuchiwać. Następnie nakazał marsz w kierunku Horní Moštěnice. Tam na tzw. szwedzkich wzgórzach rozstrzelano 265 osób, w tym 120 kobiet i 74 dzieci. Przesłuchiwany potem w sprawie zbrodni główny jej sprawca, zapytany o to, dlaczego zamordowano dzieci, odpowiedział z rozbrajającą szczerością: „Co miałem z nimi zrobić, kiedy rozstrzelaliśmy ich rodziców".

Egzekucja miała przerażający charakter. Dzieci oddzielone od rodziców musiały obserwować ich egzekucje, czekając na własną kolej. Jedna z matek trzymająca na rękach dwoje malutkich swoich pociech, wpadła zabita do masowego grobu. Dzieci przeżyły, ale ich płacz usłyszał ppor. Karol Pazúr, po czym uśmiercił je strzałami z pistoletu. Karol Pazúr awansowany niedługo po masakrze do stopnia porucznika, w 1949 r. za udział w zbrodni został skazany na karę 20 lata pozbawienia wolności. Nie odbywał jej zbyt długo, ponieważ dzięki wstawiennictwu kilku komunistycznych dygnitarzy zwolniono go z więzienia na mocy amnestii w 1951 r. Po wyjściu na wolność został konfidentem StB, czyli czechosłowackiej służby bezpieczeństwa.

Akty przemocy wobec Niemców odnotowano także w wielu czechosłowackich miejscowościach: w Chomutowie – 140 ofiar, w Poboranach – 70 ofiar (jeńcy z Waffen-SS), w Domažlicach – 100 ofiar (wśród zamordowanych byli funkcjonariusze SA, NSDAP), w Rovensku – 365 ofiar (w tym 50 żołnierzy Wehrmachtu). W Ostrawie w obozie internowanych Hanke pomiędzy 10 maja a 13 czerwca zginęło lub zmarło 231 osób. Jego komendant – górnik Emil Martinek – kazał więźniom nie tylko uprawiać seks grupowy, lecz także wzajemnie się wieszać.

Inspiracja Beneša

Warto zwrócić uwagę, że wiele aktów terroru skierowanego wobec Niemców było nie tylko wynikiem samodzielnej inicjatywy własnej poszczególnych ludzi, lecz także konsekwencją oddziaływania propagandowego i rezultatem przeróżnych zachęt formułowanych ze strony osób pełniących kierownicze funkcje w państwie. Oldrich Španiel, szef kancelarii wojskowej prezydenta Edvarda Beneša, mówił do czechosłowackich oficerów: „Zazdroszczę wam, panowie, bo dostajecie wielką szansę. Pamiętajcie, że dobry Niemiec to martwy Niemiec. Im mniej ich tu zostanie, tym mniej będziemy mieć wrogów. Im mniej ich przejdzie za granicę, tym mniej wrogów będziemy mieć tam". Tego rodzaju sugestie w ówczesnej sytuacji nie mogły pozostać bez odzewu. Spontaniczna, a w niektórych przypadkach inspirowana radykalnymi wypowiedziami przywódców przemoc miała stać się wiosną i latem 1945 r.,

eprasa.pl fe6332b98a



Most w Ujściu nad Łabą, z którego zrzucano Niemców do rzeki
FOT. WIKIPEDIA

nieodłącznym elementem pejzażu nowej, tworzącej się powojennej rzeczywistości.

Naturalnie zasadniczym celem, który postawił przed sobą rząd Beneša, było nie wymordowanie Niemców, ale ich wysiedlenie z terytorium Czechosłowacji. Takie rozwiązanie problemu niemieckiego przedstawił on jeszcze we wrześniu 1938 r. władzom francuskim, kiedy ostatecznie uznał, że koncepcja wielonarodowej Czechosłowacji poniosła porażkę. Wedle jego propozycji Czechosłowacja miała odstąpić Niemcom część swojego terytorium i dokonać ekspulsji ludności pochodzenia niemieckiego na teren Rzeszy. Wtedy ów plan nie znalazł posłuchu u zachodnich aliantów. Beneš jednak przez cały okres pobytu na emigracji, choć wycofał się z konceptu cesji terytorialnej, konsekwentnie trwał przy rozwiązaniu dotyczącym relokacji niemieckiej ludności. Aby ją wcielić w życie, czechosłowacki rząd na uchodźctwie potrzebował uzyskać zgodę swych sojuszników – Wielkiej Brytanii, USA i ZSRS. Zabiegi, które podjął w tej sprawie, zakończyły się w 1943 r. sukcesem. Czechosłowacki prezydent otrzymał od aliantów swoiste carte blanche na przeprowadzenie wysiedleń.

29 listopada 1944 r. przedstawił on sojusznikom opracowane memorandum, w którym wyłuszczył przyczyny podjęcia decyzji o ekspulsji Niemców: „1. Po minionych doświadczeniach okresu międzywojennego, a szczególnie po bezprzykładnych aktach barbarzyństwa, którego dopuścili się Niemcy na narodzie czechosłowackim podczas obecnej wojny, jest rzeczą nie do pomyślenia, by pozostał nadal, jeśli chodzi o mniejszość niemiecką, taki sam stan rzeczy, jaki istniał w Czechosłowacji przed Monachium. 2. Jakiekolwiek pozytywne załatwienie kwestii niemieckiej (podobnie jak i węgierskiej) w Republice Czechosłowackiej może nastąpić wyłącznie w drodze radykalnego zmniejszenia stanu ilościowego Niemców w Republice Czechosłowackiej do takiej liczby, która by nie zagrażała bezpieczeństwu państwa czechosłowackiego i jego narodu i która w końcu mogłaby się zespolić z tym narodem. 3. W ten sposób Czechosłowacja będzie w stanie osiągnąć konieczną jednorodność, która leży w oczywistym interesie bezpieczeństwa, pokoju wewnętrznego i pomyślności każdego państwa. Jednocześnie zostanie zlikwidowana jedna z najpoważniejszych przyczyn konfliktów i sporów, co będzie tym samym sprzyjać sprawie pokoju międzynarodowego. 4. Cele te proponuje się osiągnąć w drodze transferu Niemców (oczywiście włącznie ze wszystkimi nielojalnymi wśród nich elementami) w ten sposób, by w Czechosłowacji nie pozostało ich więcej aniżeli 800 tys. (jeżeli chodzi o Węgrów, to problem ten może być załatwiony w znacznej mierze na zasadzie wymiany ludności)".

Im bliżej było końca wojny, tym bardziej poglądy Beneša w sprawie niemieckiej ulegały systematycznej radykalizacji. Prezydent i jego otoczenie zaczęli postrzegać Niemców sudeckich i czeskich jako en bloc odpowiedzialnych za politykę narodowych socjalistów w Protektoracie Rzeszy dla Czech i Moraw. Stąd pojawił się pomysł jak najszybszego ich wysiedlenia, by postawić aliantów zachodnich przed faktem dokonanym, gdyby jednak chcieli zmienić zdanie.

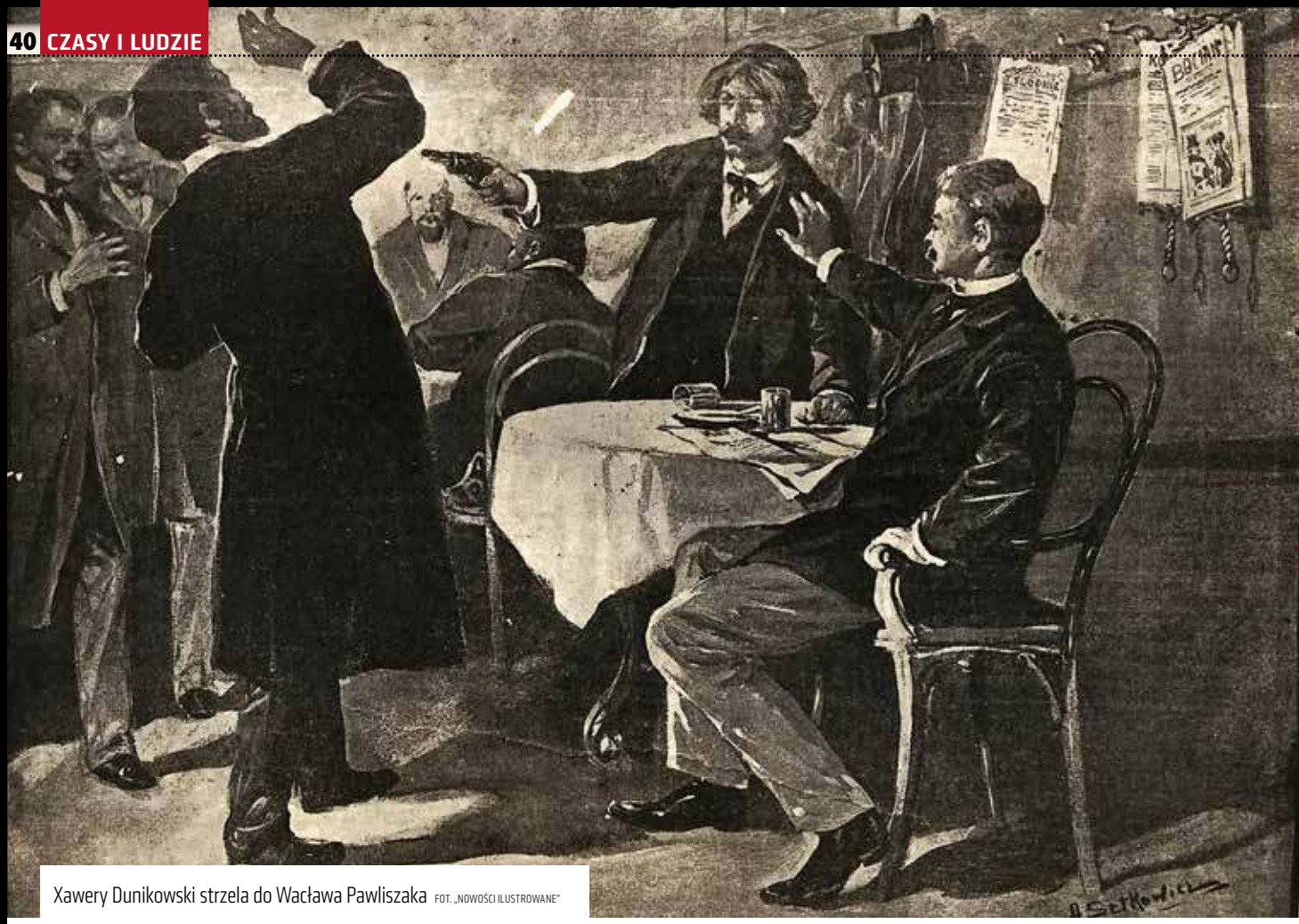
Kluczową rolę w tym procesie miały odegrać wojsko i formacje paramilitarne. I rzeczywiście, w maju 1945 r. rozpoczęła się akcja oczyszczenia Czechosłowacji z „niemieckiego elementu". Władze rządowe w publicznych wystąpieniach dawały wyraz swym oczekiwaniom w kwestii tzw. odsunu (wypędzenia). Minister sprawiedliwości Prokop Drtina wskazywał: „Musimy natychmiast zacząć wygnanie, wszelkimi sposobami, nie możemy się z tym wstrzymać ani wahać". Podobne opnie wygłaszał jeszcze w czasie wojny prezydent Beneš: „Niemiecki lud szedł krwawo mordować niczym ślepy i głuchy... Naród ten całkowicie zatracił już w tej wojnie swe ludzkie cechy, ludzkość nie może już go tolerować, wydaje się nam jednym wielkim monstrum. Za to wszystko naród ten musi doścignąć wielka i surowa kara".

Na terenie Czechosłowacji zaczęły się pojawiać obozy internowanych, w których umieszczono od 69 tys. do 90 tys. Niemców (i ok. 8 tys. Czechów). Śmierć zbierała w nich obfite żniwo. Więźniów tych obozów deportowano, głównie do sowieckiej strefy okupacyjnej. Jak owe deportacje przebiegały, obrazuje tzw. marsz brneński. W nocy z 30 na 31 maja 1945 r. z Brna wyruszyła kolumna licząca 25–30 tys. ludzi, którą pognano w stronę granicy austriackiej. Głód, choroby, bezwzględne postępowanie ze strony konwojentów pozbawiły życia według czeskich historyków 1691 osób, a 4140 według niemieckich. Jedna z uczestniczek marszu wspominała: „Szliśmy przez cały dzień. Straszne to było. W końcu dotarliśmy do jakiegoś drewnianego baraku, gdzie leżeliśmy na gołej ziemi. Pamiętam, że wiele dzieci tam zmarło".

Do sierpnia 1945 r. z terytorium Czechosłowacji wypędzono od 660 tys. do 800 tys. Niemców. W tym czasie zmarło lub zostało zamordowanych ok. 25 tys. osób niemieckiego pochodzenia. Konferencja poczdamska formalnie usankcjonowała czechosłowacki program transferu ludności. W jego ramach we w miarę humanitarnych warunkach do Niemiec pomiędzy styczniem a październikiem 1946 r. dyslokowano ok. 2 mln 256 tys. Niemców czechosłowackich. Ich majątek został skonfiskowany na mocy tzw. dekretów Beneša z czerwca 1945 r. i z października 1945 r. Pozbawiono ich także czechosłowackiego obywatelstwa.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fe6332b98a



Xawery Dunikowski strzela do Wacława Pawliszaka FOT. „NOWOŚCI ILUSTROWANE"

1905 r. / Dramat w dwóch aktach z malarzem i rzeźbiarzem

Śmiertelny strzał Dunikowskiego

Styczeń roku 1905, Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście, restauracja Jana Lijewskiego, godzina czwarta po południu. Osoby: Xawery Dunikowski – rzeźbiarz, Wacław Pawliszak – malarz.

Tego pierwszego szerzej przedstawiać nie trzeba. Bodaj najbardziej znany polski rzeźbiarz XX w., a także malarz.



Leszek Lubicki

Malarz Wacław Pawliszak miał powiedzieć tylko: „Panie Dunikowski" i spróbować go spoliczkować. Rzeźbiarz błyskawicznie wyciągnął rewolwer i strzelił mu w głowę...

eprasa.pl fe6332b98a



Wacław Pawliszak „Pochód huzarów"
FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Urodził się w 1875 r. w Krakowie, zmarł w 1964 r. w Warszawie. W czasie wydarzenia, o którym traktuje ten szkic, pełnił stanowisko profesora rzeźby w Szkole Sztuk Pięknych w Warszawie.

Drugi uczestnik dramatu jest powszechnie mniej znany. Urodzony w Warszawie w 1866 r. i tam też umiera tragicznie w 1905 r. O tym właśnie będzie nasza opowieść. Malarz artysta, związany z Warszawą, gdzie rozpoczął naukę malarstwa. Studiował także w Krakowie u samego Jana Matejki – uznawany tam za jednego z najzdolniejszych uczniów – a także w Paryżu i Rzymie. Uprawiał malarstwo historyczno-rodzajowe, ze szczególnym zamiłowaniem do scen batalistycznych. Uwielbiał dzieła Brandta, a koń stał się „większą zaletą jego obrazów". Podróżował po krajach arabskich Afryki oraz Bliskiego Wschodu, stąd wiele jego dzieł nawiązywało do tematyki orientalnej. Pracowity, bardzo dużo malował. Na jego wystawie pośmiertnej zaprezentowano 350 obrazów.

Akt pierwszy. Obraz odrzucony

Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie organizuje cykliczne wystawy polskiej sztuki. Żeby dzieło artystyczne zostało zakwalifikowane do pokazu, musi przejść weryfikację przez komitet tej szacownej instytucji. W jury zasiadają uznani i wybitni artyści. W tym przypadku zasiadał także m.in. Xawery Dunikowski. Artysta malarz Wacław Pawliszak przekazuje do wstępnej oceny swoje prace. Całą sprawę opisał publicysta warszawskiego „Kuriera Porannego" w artykule zatytułowanym „Krwawy dramat w świecie artystycznym" w dniu 19 stycznia 1905 r., a więc całkowicie na „świeżo". Oto fragment: „Znany od lat ze swej działalności artystycznej malarz Pawliszak, umysł wrażliwy, przeczulony nawet na punkcie samopoczucia artystycznego, uczuł się do żywego dotknięty, gdy przed kilku tygodniami Komitet T-wa Zachęty Sztuk Pięknych odmówił przyjęcia na wystawę jednego z najnowszych jego obrazów, gdyż artysta umieścił w nim w sposób uwłaczający artystę p. L., którego uważał za swojego wroga".

Tę sama wersję podają również krakowskie „Nowości Ilustrowane", gdzie umieszczono rysunek przedstawiający ów fatalny strzał, a prezentowany przez nas obok. W kilku natomiast współcześnie pisanych artykułach znajdujemy trochę inną przyczyną wzburzenia malarza. Marek Sołtysik, malarz i pisarz, na łamach „Palestry" (7–8/2003) w swoim artykule pt. „Fatum?" podaje, że „koledzy jurorzy wykorzystując objawy manii prześladowczej u Pawliszaka, najpierw nie przyjęli jego nowego obrazu na doroczny Salon Zachęty (jakiż to policzek!) – a płótno, na którym autorowi mniej zależało, powiesili obok obrazu malarza L., z którym był Pawliszak na noże!".

Czy było tak czy siak, to malarz okrutnie się zdenerwował tym odrzuceniem i zaraz zasiadł do napisania listu adresowanego do komitetu Zachęty. Ostre widać padły w nim słowa, gdyż poczuł się nimi obrażony nawet człowiek tak wysokiej kultury jak Ferdynand Ruszczyc. Z nim jednak sprawę zakończono pokojowo, wymianą listów. Natomiast prof. Dunikowski odpowiedział już nie tak delikatnie. Stwierdził, że uznaje Pawliszaka za człowieka niepoczytalnego. Wówczas malarz poczuł się obrażony tymi słowami i posłał do rzeźbiarza świadków, aby wezwać Dunikowskiego na pojedynek. Ten odmówił, podtrzymując, że nie będzie się pojedynkował z osobą niepoczytalną.

I zapewne sprawa by się na tym zakończyła, gdyby nie, jak pisze dalej korespondent „Kuriera Porannego", „podżegany przez chciwych sensacji i lubujących się w skandalu rzekomych przyjaciół poprzysiągł teraz wymierzyć sobie sam satysfakcję na całej grupie osób, […] a przede wszystkim na osobie Dunikowskiego".

Ci „przyjaciele" Pawliszaka dobrze wiedzieli, na co go stać. Miał już za sobą pojedynek z innym malarzem, poza tym ćwiczył wcześniej fechtunek i znał ponoć wschodnie sztuki walki. Jak można przeczytać w Polskim Słowniku Biograficznym (PSB): „Był człowiekiem oryginalnym, skłonnym do ekstrawagancji, porównywano go do Don Kichota czy też Cyrana de Bergerac […]. Jego wyczulenie na sprawy honoru przyczyniało mu wielu nieprzyjaciół". (Dodajmy w tym miejscu, za PSB, że odrzucony przez komitet obraz przedstawiał „kobietę bawiącą się z arlekinem").

Dunikowski zresztą lepszy w tych sprawach nie był. Cytowany wyżej Sołtysik tak oto scharakteryzował rzeźbiarza. „Dunikowski był człowiekiem gwałtownym – i to się nasilało, im bardziej chodził w glorii. Po tryumfach odniesionych w 1902 na XV wystawie Secesji Wiedeńskiej, gdzie go zaproszono z rekomendacji prestiżowego stowarzyszenia »Sztuka« – stawiał się starszym kolegom o nieporównanie większym dorobku niż jego". Dodajmy, że miał za sobą także udział w pojedynku.

Akt drugi. Strzał

Feralnego dnia Dunikowski przygotowywał wystawę swoich dzieł w prywatnym salonie Jana Krywulta. Dowiedział się o tym pan Wacław i przybył tam, aby spotkać swojego adwersarza. Krywult znał sprawę i wykorzystując swoją delikatność i kulturę, do spotkania nie dopuścił. Po południu właściciel salonu wystawowego i rzeźbiarz udali się na obiad do restauracji znajdującej

eprasa.pl fe6332b98a

się przy Krakowskim Przedmieściu. Zapewne Pawliszak ich śledził, skoro po chwili także się tam pojawił. Sprawy potoczyły się teraz już bardzo szybko. Malarz podszedł do ich stolika, miał powiedzieć tylko: „Panie Dunikowski" i zamachnąć się w jego kierunku ręką, mając zamiar go spoliczkować. Rzeźbiarz bardzo szybko wyciągnął zza pazuchy rewolwer i oddał strzał w jego kierunku. Postrzelony w głowę malarz padł na ziemię, rozlała się krew. Było w tym czasie w restauracji wielu ludzi, którzy rzucili się ratować poszkodowanego. Zauważano, że jest z nim bardzo źle. Przetransportowano na krześle ciężko rannego do pobliskiego szpitala św. Rocha.

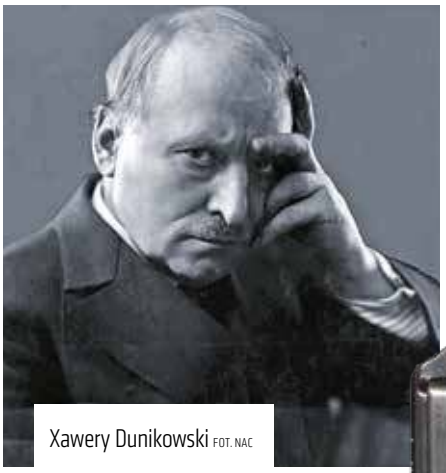
Natomiast Dunikowski polecił właścicielowi restauracji powiadomić policję i czekał na ich przybycie. Funkcjonariusze umieścili sprawcę w cyrkule zamkowym (areszcie), gdzie później sędzia wyznaczył kaucję w wysokości podobno zawrotnej – 2 tys. rubli. Dunikowski zapłacił i wyszedł na wolność. Po kilku miesiącach odbył się proces. Rosyjski zaborca miał jednak wówczas inne problemy. W Rosji i samym Królestwie Polskim rozpoczęła się rewolucja i raczej dlatego potraktowano Dunikowskiego – jako poddanego austriackiego – łagodnie. Za ten czyn mógł według prawa trafić nawet na Sybir. Dostał karę w zawieszeniu, gdyż uznano, że działał w afekcie i obronie własnej.

Co z Pawliszakiem? W szpitalu po oględzinach lekarza okazało się, że kula przebiła policzek i utkwiła w mózgu. Nie starano się jej nawet wyjmować. O godz. 2 w nocy Wacław Pawliszak skonał w obecności matki, którą powiadomiono o postrzale. Osierocił trzyletnią córkę. Jego żona zmarła rok wcześniej.

Wystawa prac Dunikowskiego się odbyła, jednak zanotowano niespotykanie niską frekwencję. Ludzie odgrażali się Dunikowskiemu. Krywult na wszelki wypadek najął ochroniarza.



Wacław Pawliszak
FOT. „TYGODNIK ILUSTROWANY"



Xawery Dunikowski FOT. NAC

Szkoda go

Spójrzmy na prezentowany tu portret Dunikowskiego, pędzla jego przyjaciela Leopolda Gottlieba. Powstaje on w czasie ich wspólnej podróży do Jerozolimy, rok po zabójstwie Pawliszaka. Niepokojący to okrutnie wizerunek. Znawcy sztuki uważają, że po tym zabójstwie prace rzeźbiarza nie były już tak dobre jak wcześniej. Ba, Dunikowski wstąpił dekadę później do Legii Cudzoziemskiej, służąc w niej przez kilka miesięcy. Przyznajmy, miejsce dla artysty raczej niecodzienne. Jednak po drugiej wojnie światowej (więziony od 1940 r. w Auschwitz) był bardzo wziętym i popularnym w Polsce twórcą.

Obecnie jego dzieła możemy oglądać w wielu naszych muzeach. Natomiast obrazy Wacława Pawliszaka zalegają raczej muzealne magazyny. Natomiast te, które pozostają w rękach prywatnych, często są wystawiane w domach aukcyjnych. Osiągają jednak niezbyt wygórowane ceny jak na obecne czasy, aczkolwiek od czasu do czasu zaskakują wysokością.

Jak całe to tragiczne zajście ocenić? Nie wiadomo. Może popularnym stwierdzeniem, że trafił swój na swego, ale młodszy był jednak szybszy. Dzisiaj byśmy powiedzieli raczej, że użyte dla obrony środki były niewspółmierne do zagrożenia.

Pistolet Mannlicher
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Pawliszak mawiał, że „będzie żył krótko i umrze śmiercią nagłą". I tak się stało. Jak powiadano, nie miał zbyt wielu przyjaciół, jego malarstwo nie szło z duchem czasu, pomału więc o nim zapominano. Starał się bardzo, ale jego malarstwo z lat ostatnich „grzeszyło brakiem siły". Jednak na pogrzeb przybyło kilka tysięcy osób. Część zapewne z potrzeby serca po takiej tragedii, ale byli zapewne i tacy, którzy maszerowali w kondukcie, spodziewając się kolejnej sensacji.

Artysta malarz, a także krytyk sztuki, autor książek o malarstwie, dobry znajomy ofiary, Henryk Piątkowski, który także w pogrzebie uczestniczył, tak zakończył swoje wspomnienia o Pawliszaku na łamach „Tygodnika Ilustrowanego": „Od pewnego czasu spostrzegać się dały pewne objawy, niepokojące licznych jego przyjaciół. Czy był to zaczątek choroby, czy chwilowy stan zdenerwowania i rozdrażnienia? Nad świeżą mogiłą artysty żal szczery przytłacza inne uczucia i nie znajdując odpowiedzi na wiele pytań, kończę westchnieniem: Szkoda go!".

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fe6332b98a



XIX w. / Izaak Lewitan i rosyjski antysemityzm

Żyd, który namalował Rosję

Izaak Lewitan „Nad wiecznym pokojem”
FOT. WIKIPEDIA



Piotr Semka

Zdaniem ucznia Lewitana „na swoich obrazach ożywił zakątki rodzimej przyrody w sposób, w jaki nikt wcześniej nie patrzył, nikt wcześniej tego nie odkrył”

Fenomen wielkiego rosyjskiego malarza Izaaka Lewitana nie przestaje fascynować historyków sztuki XIX-wiecznej Rosji. Żydzi w cesarstwie rosyjskim bardzo długo podlegali ograniczeniom wynikającym z racji odmiennej religii od dominującego prawosławia, a w XIX w. stali się dodatkowo obiektem podejrzeń o bycie siłą rewolucyjną, która zagraża tradycyjnemu porządkowi. Z pułapki społecznej, którą stanowiły zamknięte niebogate wspólnoty żydowskiej – sztetle – były dwie drogi wyjścia: poprzez uzyskanie sukcesu finansowego bądź za sprawą sztuki. Jak z goryczą mawiali rosyjski wyznawcy judaizmu: „Jak Żyd nie jest kimś, to ten Żyd jest nikim” (sentencja przypomniana potem w jednej z piosenek Jacka Kaczmarskiego). Izaak Lewitan został kimś, wybierając drogę artysty malarza. I pokazał na tym polu tak ogromny talent, że do dziś jest niedoścignionym wzorem rosyjskich malarzy pejzażystów.

Z litewskiej głuszy

Kibarty to niewielka miejscowość w dawnej guberni suwalskiej Królestwa Polskiego. Była to jedna z niezliczonych małych wsi zamieszkanych przez Żydów zajmujących się drobnym handlem i rzemiosłem – dziś leży już na terenie republiki Litwy. Właśnie w Kibartach koło Wierzbołowa 13 sierpnia (18 sierpnia według starego stylu) 1860 r. przyszedł na świat Izaak Ilicz Lewitan. Ta data była potem kwestionowana przez badaczy życia artysty, gdyż podejrzewano, że w późniejszym czasie chłopaka „odmłodzono”, aby oddalić groźbę powołania go do wojska. Brak archiwalnej metryki jego narodzin i – jak twierdzą niektórzy badacze – Izaak był synem adoptowanym. Ojciec Ilia Lewitan, niebogaty, ale przedsiębiorczy kupiec, stwierdził, że w celu zapewnienia dzieciom odpowiedniego wykształcenia trzeba mierzyć wysoko i przenieść się do Moskwy.

Rodzina przeprowadziła się tam na początku lat 70. XIX w. W 1871 r. starszy brak Izaaka Abel Leibl wstąpił do Moskiewskiej Szkoły Malarstwa, Rzeźby i Architektury. Dwa lata później, jesienią 1873 r., do szkoły zaczął uczęszczać 13-letni Izaak. Trafił na doskonały okres w rozwoju rosyjskiego malarstwa. Jego nauczycielami byli wybitni malarze, tacy jak Wasilij Pierow, Aleksiej Sawrasow i Wasilij Polenow. Jednak szczęście po

eprasa.pl fe6332b98a

paru latach odwróciło się od młodych braci Lewitanów. W 1875 r. ojciec poważnie zachorował i musiał opuścić dobrze płatną pracę na kolei. Matka zmarła w tymże roku i obaj chłopcy stanęli wobec groźby usunięcia ze szkoły z racji niezdolności do opłacania czesnego.

Jednak talent młodego Izaaka był na tyle widoczny, że cesarska szkoła najpierw zaczęła udzielać braciom pomocy finansowej, a w 1876 r. wręcz zwolniła ich z czesnego z powodu skrajnego ubóstwa. W 1877 r. ojciec umiera na tyfus i Lewitan wraz z bratem i siostrami zostają sierotami. Jak wspominał artysta, często zdarzało mu się, że musiał nocować na twardej ławce sali wykładowej szkoły. Ale szczęście znów się do niego uśmiechnęło. Aleksiej Sawrasow zachwycił się szybkimi postępami w nauce rysunku, które zauważył u żydowskiego ucznia, i przyjął go do swojej klasy krajobrazu. Z tak wspaniałym mistrzem Lewitan miał szanse na przyspieszony rozwój. W 1877 r. dwie prace Lewitana zostają przyjęte na wystawę i robią na tyle dobre wrażenie, by kandydata na malarza nagrodzono srebrnym medalem i stypendium 220 rubli na potrzeby kontynuowania studiów.

Ma w tym czasie szansę na chłonięcie atmosfery artystycznej Rosji, w której rozpoczyna się kult swojskości, przeciwstawiany bezmyślnemu kopiowaniu zachodnioeuropejskich wzorów. Po wielu dekadach niewolniczego kopiowania francuskich czy niemieckich mistrzów rosyjski świat artystyczny woła o narodową sztukę. Doskonale wpisuje się to w ówczesną atmosferę odwracania się plecami do „bezbożnego zachodu" i promowania specjalnej osobnej tożsamości słowiańskiej. Jego przyjaciel, późniejszy słynny malarz Michał Niestierow, wspominał: „Wszystko okazywało się łatwe dla Lewitana, niemniej ten ciężko pracował, narzucając sobie wielką powściągliwość.

W 1879 r. dochodzi do nieudanej próby zamachu na cara Aleksandra II. Zamachowcem był Aleksander Sołowiow, radykalny rewolucjonista, który nie miał nic wspólnego z Żydami. Niestety, skojarzenie wyznawców judaizmu z siłami rewolucyjnymi było tak silne, że wydano dekret cesarski nakazujący Żydom opuszczenie pierwszej rosyjskiej stolicy. Osiemnastoletni Lewitan wraz z młodszym rodzeństwem musi przenieść się z Moskwy do niewielkiego domku w Sałtykówce pod Moskwą. Lewitan daje sobie dobrze radę z przeciwnościami losu, choć musi udowadniać, że jest godny miana rosyjskiego malarza. Konstanty Paustowski podaje, że: „Utalentowany żydowski chłopiec irytował innych nauczycieli. Żyd, ich zdaniem, nie powinien zabierać się za rosyjski krajobraz. To było dzieło zarezerwowane dla rdzennych Rosjan". W wieku 24 lat w 1885 r. przybysz z Litwy otrzymuje dyplom nauczyciela kaligrafii. Jak się okazuje, tytuł artysty malarza znajduje się poza jego zasięgiem.

Mimo sukcesu jego pierwszych obrazów jest wciąż bez pieniędzy. W tej sytuacji lepiej jest żyć na wsi, gdzie koszty życia są nieporównywalnie niższe. Osiedla się w niewielkiej wsi Maksimowka i poznaje tutaj Antoniego Czechowa, słynnego później pisarza. Na szczęście dla obu powoli opadają emocje antyżydowskie i artysta coraz częściej bywa w Moskwie. Ale zapada na chorobę serca i musi wybrać się na odpoczynek na Krym. Po powrocie zbliża się do tzw. Towarzystwa Wędrowców, czyli artystów, którzy przemierzają tereny nad Wołgą w poszukiwaniu inspiracji w naturze. Rosyjskie rzeki są niezwykle ważnym punktem odniesienia w tamtejszym malarstwie krajobrazowym. Przez wieki były głównymi trasami komunikacyjnymi w kraju.

Wiosną 1888 r. Lewitan wraz z grupą innych artystów płynie parowcem rzeką Oką do Niżnego Nowogrodu i stamtąd w górę Wołgi. Malarze odkrywają prześliczne małe miasteczko Plos, które odegrało w dziejach rosyjskiego malarstwa podobną rolę jak u nas Kazimierz nad



Izaak Lewitan FOT. WIKIPEDIA



Wisłą. I tutaj właśnie w Plosie Lewitan zakłada warsztat malarski, jednocześnie uczestnicząc w życiu miejscowego środowiska artystycznego. Przez kolejne lata 1890–1995 Lewitan wykona tutaj ok. 300 prac, które będą bardzo wyrazistym rozdziałem w historii jego twórczości.

Złote lata

Obrazy Lewitana sprzedają się bardzo dobrze. Rosjanie zakochani w swoim kraju i przekonani o niepowtarzalności rosyjskiej duszy znajdują w jego dziełach tak długo wyczekiwaną sztukę narodową. Dzięki sprzedanym obrazom Lewitan może odwiedzić Francję i Włochy. Bardzo interesuje się szkołą z Barbizon, która zapoczątkowuje nowy nurt – impresjonizm. Dzięki staraniom wysoko postawionych miłośników jego obrazów otrzymuje prawo pozostania w Moskwie mimo żydowskich korzeni. W tym okresie rozkwita jego przyjaźń z Antonim Czechowem. Obaj artyści zostają serdecznymi przyjaciółmi, chodzą razem do teatru i nawzajem recenzują swoje dzieła. Gdy Czechow publikuje swoje opowiadanie „Step" – Lewitan zachwycony opisami przyrody w wykonaniu Czechowa z nieudawanym szacunkiem mówił: „Pobiłeś mnie na głowę w oddawaniu słowami krajobrazu stepowego".

eprasa.pl fe6332b98a



Izaak Lewitan „Sawińska Słoboda pod Zwienigrodem"
FOT. DOMENA PUBLICZNA

W 1894 r. dochodzi do skandalu. Lewitan wraz ze swoją uczennicą Sofią Kuwsinnikową przybywa do majątku Ostrowno. Malarz rozpoczyna romans z mężatką Anną Nikołajewną Turczaninową, żoną Iwana Turczaninowa, zastępcy burmistrza Petersburga. Kuwsinnikowa, związana z Lewitanem, oburzona wraca do Moskwy i nigdy już nie chce widzieć wiarołomnego narzeczonego. Na dodatek wybucha skandal. Najstarsza córka Turczaninowa zakochuje się w malarzu bez pamięci i między nią a matką toczy się żenująca walka o serce malarza. W 1895 r. artysta wyjeżdża do Austrii i Francji, aby uciszyć wiszący w powietrzu skandal. Cała sprawa na dodatek bardzo niepokoi żydowskich przyjaciół Lewitana, którzy obawiają się, że jeśli sprawa nabierze rozgłosu, to moskiewscy antysemici wykorzystają ją do postawienia tezy o Żydach wkradających się w łaski szacownych rosyjskich rodów szlacheckich po to, by posiąść matki i córki zasłużonych urzędników imperium.

Ku zatraceniu

Obrazy Lewitana wywoływały cały czas zachwyt rosyjskiej inteligencji. Jak trafnie wskazał jeden z krytyków: „O ile w muzyce zdarzają się wirtuozi obdarzeni słuchem absolutnym, o tyle w malarstwie Lewitana widać »wzrok absolutny«".

Rosyjskie malarstwo krajobrazowe przeżywa wtedy rozkwit, ale nawet na tle innych tuzów tego gatunku – jak np. Iwan Szyszkin – Lewitan góruje jakimś niezwykłym metafizycznym talentem do oddawania piękna centralnej nadwołżańskiej Rosji. Tyle że za te wspaniałe osiągnięcia sztuki pędzla artysta płaci niesłychanie silnym rozedrganiem emocjonalnym. Jak wspominał jeden z jego przyjaciół, „najsilniejsza melancholia doprowadziła go do najstraszniejszego stanu".
W czerwcu 1895 r. Lewitan sfingował próbę samobójczą, pozorując próbę zastrzelenia się.

Ten spektakl wstrząsnął wyobraźnią Czechowa. Rozmaite akcenty zawarte w sztukach „Dom z antresolą" i „Mewa" głęboko obraziły Lewitana, który dopatrywał się w nich aluzji do swojej postaci. W 1896 r. malarz przechodzi tyfus, którego konsekwencją jest tętniak serca. Czechow, który jest z wykształcenia lekarzem, w 1897 r. bada swego niełatwego przyjaciela i zapisuje złowróżbne słowa: „Słuchałem Lewitana. Sprawy nie stoją dobrze. Jego serce nie bije, ale jakby wiało. Zamiast dźwięku »puk, puk« słychać nierówny dźwięk, coś jakby »tfpuk«".
Próbą ratowania zdrowia był wyjazd do Włoch w 1897 r. Gdy wydaje się, że choroba nieco się cofa, Lewitan otrzymuje tytuł akademika w kategorii pejzażu.

Prestiżowym przywilejem jest zaproszenie do pracy dydaktycznej przez jego macierzystą szkołę malarską w Moskwie. Artysta chce stworzyć „Dom krajobrazów" – spory warsztat malarski, który wychowałby kolejne generacje rosyjskich pejzażystów. Jeden z jego uczniów wspominał potem: „Lewitan wiedział, jak podejść do każdego z nas twórczo jak artysta [...]. Za każdym razem w nowy sposób ożywił zakątki rodzimej przyrody na swoich obrazach w sposób, w który nikt wcześniej nie patrzył, nikt wcześniej tego nie odkrył. Zimą 1899 r. choroba wraca z pełną mocą. Nie pomaga wyjazd do Jałty. Spotyka go tam przypadkiem Czechow i jest przerażony. Przyjaciel ledwie chodzi, opierając się ciężko na lasce, krztusząc się i opowiadając o nieuchronności śmierci. Wiosną 1900 r. Lewitan wraca do Moskwy i już nie opuszcza swego domu przy ul. Triochswiatikielskiej. W tym czasie jego obrazy wystawiane są w rosyjskim pawilonie Wystawy światowej w Paryżu. 22 lipca (4 sierpnia starego stylu) 1900 r. artysta umiera. Jego pogrzeb na starym cmentarzu żydowskim w Moskwie gromadzi tuzy rosyjskiego malarstwa – Walentyna Sierowa, Apolinarego Wazniecowa, Konstantego Korowina i Leonida Pasternaka.

Lewitan był przykładem tragicznej sytuacji artystów żydowskich w Rosji carskiej na przełomie wieków XIX i XX. Gdy rosyjscy Żydzi trzymali się długo z dala od kultury rosyjskiej, zarzucano im obojętność na kulturę kraju, w którym przyszło im żyć. Gdy tak jak w przypadku Lewitana osiągali wysoki artyzm i demonstrowali umiejętność uchwycenia rosyjskiej specyfiki – traktowano ich nieufnie, jako obcy element, który jest na tyle sprytny by dostosować się do obcej kultury. Dla bardzo wielu Żydów, którzy czuli się Rosjanami i chcieli być uważani za rosyjskich patriotów, losy malarza z Kibartów były dowodem na szczerość ich uczuć wobec rosyjskiej ojczyzny. Gdy atakowano Żydów jako wrogów Rosji, kontrargumentem było pytanie: „Czy Lewitan też był wrogiem Rosji?". Ta odpowiedź zazwyczaj zamykała usta oszczercom i nienawistnikom. A mistrz malowania brzozowych lasków uzyskał w zbiorowej świadomości Rosjan podobny status, jakim wśród Polaków cieszy się Jan Matejko.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fe6332b98a



Wojciech Ejsmond i Marzena Ożarek-Szilke

FOT. A. LEYDO/WARSAW MUMMY PROJECT

Wywiad / Z Marzeną Ożarek-Szilke i dr. Wojciechem Ejsmondem, egiptologami z Warsaw Mummy Project



rozmawia Piotr Włoczyk

Tajemnica ciężarnej mumii z Warszawy

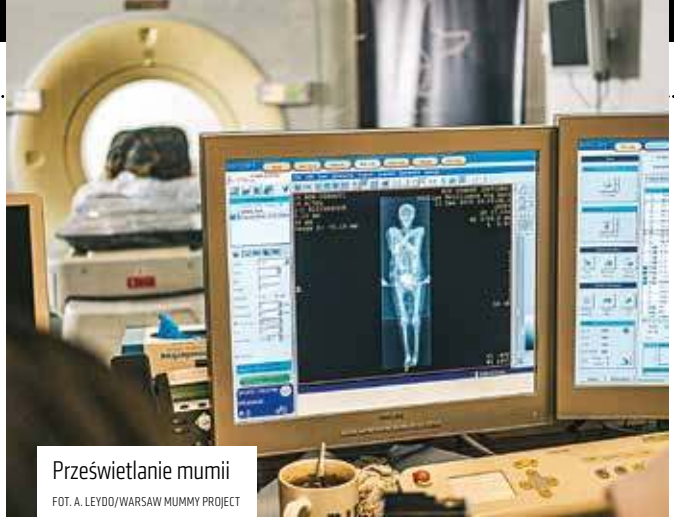
PIOTR WŁOCZYK: Najpierw w kwietniu zeszłego roku ogłosili państwo, że w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie znajduje się jedyna znana na świecie egipska mumia w ciąży, a ostatnio wyjaśnili państwo, jak to się stało, że jej dziecko zachowało się w tak dobrym stanie. Jaka tajemnica stoi za tym odkryciem?

MARZENA OŻAREK-SZILKE: Badany przez nas płód faktycznie zachował się w niezłym stanie. Odpowiada za to przede wszystkim sama mumifikacja matki. Jednak w tym wypadku doszło jeszcze do jednego procesu, który nie był intencjonalny. Okazało się bowiem, że na tomografii komputerowej nie widać praktycznie kości dziecka, a był to już późny okres ciąży – siódmy miesiąc – natomiast zachowały się jego tkanki. To, co wcześniej uważałam za wypełnienie brzucha mumii tkaninami, okazało się w istocie szczątkami płodu. Odkryłam to niemal zupełnie przypadkowo, kiedy właściwie skończyliśmy już badanie „naszej" mumii.

Na chłopski rozum powinno być odwrotnie – tkanki ulegają rozkładowi, a zachowują się kości.

M.O.SZ.: Okazało się jednak, że nie można patrzeć na mumie w schematyczny sposób.

eprasa.pl fe6332b98a



Prześwietlanie mumii
FOT. A. LEYDO/WARSAW MUMMY PROJECT



Płód obrazowany przez tomografię komputerową
FOT. M. OŻAREK-SZILKE/WARSAW MUMMY PROJECT



Obraz renderowany płodu
FOT. A. ANDRZEJEWSKA/GENERAL ELECTIC HEALTHCARE & WARSAW MUMMY PROJECT

Zajmuję się mumiami z całego świata i po odkryciu, że „nasza" mumia jest w ciąży, zaczęłam przeglądać literaturę fachową, a przede wszystkim obrazy tomografii komputerowej i zdjęcia RTG w poszukiwaniu innych mumii, gdzie nie zachowały się do naszych czasów kości, lecz tkanki. I faktycznie są takie przypadki. Są to mumie odnajdowane na terenach bagiennych.

Badania tomograficzne takich mumii nie pokazują kości. Kwaśne środowisko w bagnach i torfowiskach powoduje bowiem, że kości się demineralizują, natomiast rewelacyjnie zachowują się organiczne części ciała, np. mięśnie i skóra. Czyli mamy tu do czynienia z procesem odwrotnym do egipskiej mumifikacji intencjonalnej.

Dzięki medycynie sądowej wiemy, że pH krwi człowieka po śmierci bardzo spada i robi się kwaśne. Macica tej kobiety pełna była kwaśniejącej krwi, zresztą wody płodowe również robią się po śmierci kwaśne. W ten sposób dziecko dosłownie się „ukisiło" w macicy.

Ale wspomniała też pani, że na stan płodu wpłynęła również mumifikacja matki.

M.O.SZ.: Jak zwykle w takich przypadkach po usunięciu wnętrzności mumię wypychano natronem (sodą naturalną), by jej brzuch nie opadł, zwłaszcza że później umieszczono w niej organy wewnętrzne. Mumia pokryta była natronem przez ok. 40 dni. W ten sposób dziecko zostało zamknięte w swego rodzaju hermetycznej, kwaśnej kapsule. Natron bardzo skutecznie wysusza i proces ten objął w końcu płód. Doszło więc do dwóch typów mumifikacji. Nasze odkrycie to wskazówka dla innych badaczy: nie należy podchodzić do tomografii mumii w sposób oczywisty. Brak kości o niczym jeszcze nie musi świadczyć. Niewykluczone, że niedługo usłyszymy o innych ciężarnych mumiach.

WOJCIECH EJSMOND: Zaczęli się z nami kontaktować inni badacze mumii. Pewna badaczka z Hiszpanii miała podejrzenia odnośnie do jednej z mumii, ale usłyszała od radiologów, że skoro nie widać na obrazach kości, to na pewno mumia nie była w ciąży. Teraz jednak ta badaczka skontaktowała się z nami i zapowiedziała, że wróci do badań nad „swoją" mumią.

Jak państwo tłumaczą to, że balsamiści nie wyjęli płodu? Każdy fan hollywoodzkich produkcji na temat starożytnego Egiptu wie, że zwłoki były przed mumifikacją pozbawiane wnętrzności.

W.E.: To prawda, że egipscy balsamiści wyjmowali większość organów. Starożytni Egipcjanie wiedzieli, że ich obecność przyspiesza rozkład. Organy więc wyjmowano, mumifikowano oddzielnie, a następnie – w zależności od okresu – albo wkładano je z powrotem do mumii, albo składane były one do specjalnych urn.

Żelazną zasadą było jednak pozostawienie serca na miejscu?

M.O.SZ.: Tak. Serca w ogóle nie dotykano. Jeżeli jednak przez przypadek również ono zostało usunięte, to potem specjalnie je przyszywano. Nasza mumia w ciąży ma pięknie zachowane serce. Widać na nim nawet naczynia wieńcowe.

W.E.: Można by podejrzewać, że płód będzie potraktowany jak organy wewnętrzne. Dlaczego jednak w przypadku naszej mumii nie wyjęto dziecka? Pierwszy powód może być natury praktycznej. Na tym etapie ciąży, około siódmego miesiąca, macica jest bardzo twarda. Próba dostania się do środka bardzo poważnie naruszyłaby ciało matki. Tymczasem ciało mumifikowanego zmarłego było traktowane jako coś świętego. Coś, czego nie można naruszać.

Jeżeli można było wyjmować narządy takie jak żołądek czy wątroba, to dlaczego nie można było dokonać większego cięcia i wyjąć macicy?

M.O.SZ: Wspomniane przez pana organy są miękkie i można je wyjąć przez nacięcie o długości zaledwie 12 cm. Macica z płodem w tym okresie ciąży jest tymczasem wielkości arbuza. Doktor Katarzyna Jaroszewska, nasza konsultantka ginekolog-położnik, powiedziała, że zabiegi w takim okresie są trudne, bo macica jest niemal tak twarda jak kamień. Wyjęcie płodu wymagałoby więc zrobienia bardzo dużego nacięcia.

eprasa.pl fe6332b98a



Trumna, kartonaż, mumia i szkielet FOT. WARSAW MUMMY PROJECT, MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Czyli kapłani odpowiedzialni za mumifikację nie zgodziliby się na tak duże nacięcie?

W.E.: To jedna z hipotez. Wyjmowaniu organów towarzyszył rytuał potępiający. Balsamista, który wyjmował organy, był potem symbolicznie obrzucany kamieniami i wypędzany za naruszenie ciała. Rytuał ten pokazywał, że kaleczenie ciał było czymś niedopuszczalnym. Traktowano to jako zło konieczne. Po wszystkim bliznę zaszywano i kładziono na niej amulety, by zamaskować i chronić to miejsce. Dlatego ktoś mógł uznać, że zbyt okaleczone zwłoki matki mogłyby negatywnie wpłynąć na pośmiertną egzystencję.

Próba wyjęcia macicy mogła też jednak doprowadzić do zniszczenia płodu. Z punktu widzenia wierzeń na temat życia pośmiertnego oznaczałoby to kres marzeń o życiu pośmiertnym dla dziecka. Kiedy w starożytnym Egipcie rodziło się dziecko, to w momencie zaczerpnięcia pierwszego haustu powietrza budziła się w nim dusza Ka. Była to jedna z kilku dusz, które – jak wierzyli Egipcjanie – składały się na ludzką duchowość. Nienarodzone dziecko nie miało tych wszystkich niezbędnych elementów, więc nie można było wykonać nad nim rytuałów ochronnych, mających zabezpieczyć je w zaświatach. Niewykluczone więc, że uznano, iż dziecko musi udać się tam z matką, w jej łonie.

Zacznijmy od początku. W jaki sposób ta niezwykła mumia trafiła do zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie?

W.E.: To dłuższa historia. Jan Wężyk-Rudzki, który był urzędnikiem państwowym w Królestwie Polskim w latach 20. XIX w., wyjechał do Egiptu, nie wiemy, czy z misją przywiezienia zabytków dla Uniwersytetu Warszawskiego czy czysto prywatnie. Na pewno wyjazd wiązał się z jego starożytniczymi zainteresowaniami. Wrócił stamtąd pod koniec 1826 r. wraz z „naszą" mumią. Została ona następnie podarowana Uniwersytetowi Warszawskiemu, ale od 1917 r. znajduje się w depozycie Muzeum Narodowego w Warszawie. Jest to pierwsza niewątpliwie autentyczna mumia egipska w kolekcji UW.

Czy była to pierwsza mumia egipska przywieziona do Polski?

W.E.: Nie. Pierwsza mumia, o której mówią źródła, znajdowała się w kolekcji Zygmunta III Wazy już ok. 1588 r. Musimy pamiętać, że w tamtych czasach, właściwie aż do początku XX w., mumii używano jako składników leków. Uchodziły one za panaceum – od gojenia ran aż do bólu głowy. Dlatego nie dziwmy się, że nowożytni Egipcjanie postanowili… podrabiać mumie. Król Nawarry, późniejszy francuski Henryk IV, słyszał o tym, że mumie bywają podrabiane, wysłał więc do Egiptu swojego nadwornego medyka – Guya de la Fontaine'a. W Aleksandrii oprowadzał go po swoim składzie handlarz mumiami. Francuski lekarz zachwycał się liczbą interesującego go towaru. Słysząc te komplementy, handlarz z dumą stwierdził: „Nie dość, że mamy ich dużo, to jeszcze żadna nie jest starsza niż kilka lat!".

Co bardziej przedsiębiorczy Egipcjanie korzystali z ciał skazańców czy osób, po które nikt się nie zgłaszał, zakopywali je w gorącym piasku, aby je osuszyć, następnie smarowali asfaltem i owijali tekstyliami. W ten sposób podrabiane mumie trafiały na rynek europejski. Proceder ten trwał całymi wiekami, skoro jeden z XIX-wiecznych polskich profesorów farmacji na UW narzekał: „Mumia przychodząca rzadko cała, ale raczej w kawałkach, […] ma smak gorzki, zapach mocny; zdaje się, że teraz sprowadzana, najczęściej tylko jest naśladownictwem".

Może już zostawmy za sobą ten mało chwalebny rozdział medycyny i wróćmy do…

W.E: … jeszcze tylko wspomnę, że Jan III Sobieski miał własną mumię, którą najprawdopodobniej podjadał, i jest ona zachowana do dziś. W jednym z jego listów do Marysieńki możemy też przeczytać, że kiedy dostał mu się pod Wiedniem namiot wezyra, to „mi się w iednym sepecie dostała cała apteka Wezyrska; oleyki, kompozycyje różne, gumy, balsamy, mumie i innych rzeczy cudownie drogich y rzadkich".

… wróćmy do ciężarnej mumii. Jak to się stało, że jej zwłoki spoczywały w sarkofagu, na którym wyryto imię kapłana Hor-Dżehutiego?

W.E. Co ciekawe, na samym początku, jeszcze zanim odczytano tę inskrypcję, podejrzewano, że jest to ciało niewiasty. Mumia była złożona w bardzo kolorowej trumnie i jeszcze bardziej kolorowym kartonażu (powłoce wykonanej z tekstyliów, papirusów, kleju i podkładu malarskiego, na którym malowano dekoracje i inskrypcje). Jej twarz miała delikatne, kobiece, rysy, co więcej – na szyi namalowany był naszyjnik.

Dopiero w latach 20. XX w. odczytano inskrypcję hieroglificzną na wieku trumny i sarkofagu. Okazało się, że mowa była o kapłanie. Ale dopiero w latach 60. profesjonalnie odczytano jego imię: Hor-Dżehuti. Był to kapłan Horusa i Thota w Tebach Zachodnich. Trumny w starożytności były bardzo drogie, przeciętna kosztowała

eprasa.pl fe6332b98a

tyle, ile stado 40 kóz. Był to więc towar, który już w starożytności cieszył się dużym zainteresowaniem złodziei. Z kolei w czasach nam bliższych mumie nierzadko były wkładane przez handlarzy do pierwszej lepszej trumny, jaką mieli oni pod ręką. Nawiasem mówiąc, podejrzewa się, że nawet 10 proc. mumii w kolekcjach muzealnych nie pasuje do swoich trumien.

M.O.SZ: Nie da się też wykluczyć i takiej możliwości, że „nasza" mumia była złożona w tym samym grobowcu co kapłan Hor-Dżehuti. Być może w czasie rabunku obie mumie zostały wyjęte ze swoich trumien i ktoś je potem włożył do nieswoich sarkofagów. Rabunek jest w przypadku „naszej" mumii w ciąży pewny, ponieważ brakuje jej skarabeusza, który zwyczajowo umieszczano nad sercem.

Co wiadomo o tej kobiecie?

W.E.: Niewiele. Nie znamy nawet jej imienia, ale musiała ona być z bogatej rodziny, ponieważ technika użyta do jej balsamowania była bardzo zaawansowana. Domniemywać możemy, że ta osoba żyła w rodzinie mającej głęboką świadomość tradycji egipskich. Balsamowanie było wykonane dokładnie tak, jak wymagały tego rytuały przygotowujące do życia w zaświatach. Co ważne, Marzena Ożarek-Szilke, znakomita znawczyni tematyki mumii, zauważyła, że o ile sarkofag i trumna pochodzą z I w. p.n.e., o tyle technika mumifikacji tych zwłok jest podejrzanie dobra, więc albo jest celowo archaizowana, albo kobieta ta mogła umrzeć o wiele wcześniej.

O jakim okresie tu mówimy?

M.O.SZ: Najlepsze mumie wykonywano w XI–IX w. p.n.e. Na „naszej" mumii w ciąży widać ślady właśnie takich technik. Z biegiem czasu balsamowanie uległo „zepsuciu". Zaczęto używać tańszych materiałów, przez co – paradoksalnie – „młodsze" mumie są często w dużo gorszym stanie niż mumie starsze od nich nawet o ponad tysiąc lat. W I w. p.n.e. używano podczas balsamowania dużo bituminu, czyli smoły ziemnej. Substancja ta, choć tańsza, uszkadzała ciało. We wcześniejszych epokach używano więcej żywic, które pozwalały na lepsze zakonserwowanie zwłok. Nawiasem mówiąc, niekoniecznie mumie faraonów są najlepiej zachowanymi mumiami. Wbrew pozorom to właśnie mumie najbiedniejszych dominują wśród najlepiej zakonserwowanych ludzkich szczątków. Doktor Ejsmond jest kierownikiem badań w Gebelein, największej polskiej koncesji, gdzie na przełomie XIX i XX w. znaleziono jedną z najsłynniejszych mumii świata – człowieka z Gebelein.

W.E.: Jego ciało zachowało się w naturalny sposób – zakopano go w suchym, gorącym piasku, który odciągnął wodę. Jest dużo lepiej zachowany niż najlepiej zabalsamowany faraon. Do naszych czasów przetrwała nawet treść jego żołądka, a także tatuaże. Człowiek z Gebelein to najstarsza mumia egipska. Powstała ok. 3 tys. lat p.n.e. Czyli ma już ponad 5 tys. lat!

Celem Warsaw Mummy Project jest wszechstronne zbadanie ludzkich i zwierzęcych mumii egipskich w Muzeum Narodowym w Warszawie. Która z nich budzi państwa największe zainteresowanie?

M.O.SZ: Na naszej liście widnieją 43 obiekty. Wszystkie one są nad wyraz ciekawe. Jednym z nich jest słoik z mumią. Nie wiemy jeszcze, czy w środku jest zwierzę czy człowiek... Nie będę jednak ukrywała, że mumia w ciąży to szczególny przypadek, mamy do niej bardzo emocjonalny stosunek, ponieważ badamy ją już bardzo długo.

Przyznam się, że na mnie największe wrażenie zrobiła mumia, której niestety nie zobaczymy w Warszawie – fenomenalnie zachowana mumia faraona Setiego I, zmarłego w XIII w. p.n.e.

W.E.: Zgadzam się, że Seti I jest niezwykły. To bez wątpienia najlepiej zachowana mumia królewska.

M.O.SZ: Seti I to zdecydowanie jeden z moich faworytów, ale mimo wszystko jestem zbyt przywiązana do mumii w ciąży, żeby wskazać go jako numer jeden.

W.E.: Jako ciekawostkę dodałbym jeszcze „dwugłową" mumię z muzeum w Minneapolis. Początkowo wydawało się, że na wysokości miednicy widać u niej brzuch ciążowy. Po prześwietleniu okazało się jednak, że jest to dodatkowa głowa... Do dziś nie wiadomo, do kogo ona należała i w jakim celu ją tam położono.

Na koniec pytanie, które może zainteresować przyszłych studentów archeologii. Czy możemy jeszcze liczyć na odkrycie na miarę grobowca Tutanchamona czy może jednak Dolina Królów jest już tak dokładnie przekopana i przeskanowana, że jest to mało prawdopodobne?

W.E.: W każdej chwili możemy się spodziewać ogłoszenia spektakularnego odkrycia. Mamy bowiem całą długą listę władców, których grobowce nie zostały jeszcze odkryte. Przypomnę tylko, że Egiptem rządziło 30 dynastii... Znamy głównie mumie i grobowce władców Nowego Państwa, ale gorzej jest z okresami przejściowymi. Ponad połowa egipskich władców wciąż czeka na odkrycie, ale nie wiemy, czy ich mumie się zachowały.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Fundacja Dorastaj z Nami

Przekaż dzieciom Bohaterów 1%



KRS: 0000 361265

Fundacja Dorastaj z Nami opiekuje się dziećmi, których rodzice poświęcili się dla nas.

Masz szansę by odmienić ich los.

www.dorastajznami.org

eprasa.pl fe6332b98a

Lata 40. / Anna Braude-Heller i Anna Czuperska-Śliwicka

Bohaterskie lekarki



Marek Gałęzowski

W warszawskim getcie i na Pawiaku wspaniałe lekarki dały przykład męstwa zasługującego na Virtuti Militari

Pytani o przykłady męstwa odpowiemy najpewniej przywołaniem postaci żołnierza, odwracającego swoim bohaterstwem losy boju, porywającego przykładem upadających na duchu, tego, który do końca będzie bronił straconej reduty, aby osłonić odwrót kolegów, czy też tych, którzy biją się do końca na reducie, z której nie ma już odwrotu. Oprócz jednak form czynnego przeciwstawienia się najeźdźcy w naznaczonym totalitaryzmem XX w. odnajdziemy także inne przykłady męstwa, okazywanego w dłuższej perspektywie niż czas boju. Losy dwóch kobiet, warszawskich lekarek, które poza zawodem łączyło jeszcze imię – Anny Braude-Heller i Anny Czuperskiej-Śliwickiej – wydają się dobrze uzasadniać przedstawioną opinię – o innych niż militarny wymiarach bohaterstwa.

„Całkowicie oddana pracy szpitalnej"

Młodość pierwszej z bohaterek tej opowieści przypadła na czasy zaboru rosyjskiego. Anna Braude pochodziła z rodziny warszawskich Żydów, ale jak inni dość liczni mieszkańcy Królestwa Polskiego egzamin maturalny zdała w Kijowie, a studia medyczne odbywała na uniwersytetach w Zurychu i Berlinie. Po uzyskaniu dyplomu, który nostryfikowała na początku 1912 r. w Petersburgu, zaczęła pracować jako lekarz w ziemstwie guberni moskiewskiej, ale już w następnym roku wróciła do Warszawy. Prowadziła praktykę lekarską w Szpitalu Starozakonnych na Czystem, a od 1914 r. do wyjścia za mąż w 1916 r. (odtąd używała nazwiska Braude-Heller) – w Szpitalu dla Dzieci im. Bersohnów i Baumanów przy ul. Śliskiej.

W czasie studiów wstąpiła do żydowskiej partii socjalistycznej Bund, do której należała jeszcze przez pewien czas podczas pracy zawodowej, a w chwili wybuchu pierwszej wojny światowej została nawet na krótko aresztowana przez policję carską w czasie nielegalnego zebrania tej partii i oskarżona o przynależność do Międzypartyjnego Komitetu Robotniczo-Gospodarczego. Ale działalność w żydowskim



RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

eprasa.pl fe6332b98a





Anna Braude-Heller badała skutki głodu w getcie warszawskim FOT. WIKIPEDIA

ruchu socjalistycznym była jedynie epizodem w jej życiu. Jak bowiem pisała Halina Grubowska, Braude-Heller „była całkowicie oddana pracy szpitalnej" i nawet praktyce prywatnej poświęcała mało czasu.

W niepodległej Polsce należała do wybitnych przedstawicielek warszawskiego środowiska lekarskiego. Była inicjatorką i założycielką Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, a następnie naczelnym lekarzem w związanym z TPD Domu Wychowawczym dla Małych Dzieci, a także lekarzem ordynującym w Stacjach Opieki nad Matką i Dzieckiem. W 1919 r. zorganizowała przy TPD szkołę pielęgniarek, którą kierowała przez następne cztery lata. Uczestniczyła w tworzeniu sanatorium dla dzieci chorych na gruźlicę w podwarszawskim Miedzeszynie (obecnie znajdującym się w granicach stolicy). W 1926 r. wspólnie z mężem ufundowała Stację Opieki nad Matką i Dzieckiem przy ul. Bonifraterskiej 31, którą kierowała i gdzie pracowała społecznie kilka godzin dziennie. W 1924 r. z grupą lekarzy żydowskich podjęła starania o ponowne otwarcie Szpitala dla Dzieci im. Bersohnów i Baumanów i przewodniczyła komitetowi modernizacji i przebudowy szpitala.

Po długoletnich wysiłkach szpital otwarto sześć lat później, z przeznaczeniem dla chorych niezależnie od ich wyznania, a Braude-Heller zwyciężyła w konkursie na jego dyrektora. Była jedyną kobietą na takim stanowisku w Warszawie. „Pracowała około 16–18 godzin na dobę. […] Szpital miał doskonałą opinię wśród ludności, która starała się o kierowanie tam swych chorych dzieci. Uchodził za szpital wzorcowy i władze miejskie z dumą demonstrowały go wizytatorom i przyjezdnym cudzoziemcom" (Grubowska). Poza pracą zawodową pisała na temat pediatrii m.in. w czasopismach: „Gastrologia Polska", „Pediatria Polska" oraz do „Warszawskiego Czasopisma Lekarskiego". W dowód swoich zasług została wybrana do Komisji Etyki Zawodowej Zrzeszenia Lekarzy Rzeczypospolitej Polskiej.

Lekarka w getcie

W czasie obrony Warszawy we wrześniu 1939 r. Braude-Heller nadal kierowała szpitalem, pozostając na swoim stanowisku także w okresie okupacji niemieckiej. Z czasem, kiedy szpital znalazł się na obszarze utworzonego przez Niemców getta, objęła tam funkcję przewodniczącej komisji zdrowia Żydowskiej Izby Lekarskiej. Z powodu masowych zachorowań dzieci, głównie na tyfus i chorobę głodową, spowodowanych warunkami stworzonymi przez Niemców w getcie, staraniem Braude-Heller w lipcu 1941 r. utworzono filię szpitala przy ul. Leszno 80 (róg Żelaznej). Odtąd jednak musiała również zdobywać fundusze umożliwiające funkcjonowanie podległych sobie placówek, co sprowadzało się zwykle do interwencji u prezesa Gminy Żydowskiej Adama Czerniakowa.

Doktor Braude-Heller uczestniczyła w tajnym nauczaniu w getcie, wykładając medycynę. Jednak jej rola w przeciwstawieniu się nazistowskiemu totalitaryzmowi miała polegać na czymś innym. W listopadzie 1941 r. weszła w skład komisji organizacyjnej zespołu lekarzy, mającego przygotować wstępny projekt badawczy na temat głodu w getcie. W lutym 1942 r. została członkinią tajnego zespołu lekarzy żydowskich

eprasa.pl fe6332b98a



Anna Czuperska-Śliwicka
FOT. MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

(Organizacyjnego Komitetu Badawczego) w getcie – tajnego, ponieważ Niemcy zakazali Żydom jakiejkolwiek pracy naukowej. Zespół prowadził badania nad chorobą głodową, dokumentując zbrodniczą politykę w stosunku do obywateli polskich pochodzenia żydowskiego. Na podstawie obserwacji przeprowadzonych w swoim szpitalu Braude-Heller zebrała materiały do rozdziału przedstawiającego wpływ głodu na dzieci. Swoje badania prowadziła do pierwszej akcji wywożenia ludności żydowskiej do obozów zagłady 22 lipca 1942 r., a później, w ograniczonym zakresie i w mniejszym zespole lekarzy, którzy przetrwali deportacje z lipca i sierpnia – w ostatnim kwartale 1942 r.

Materiały do tej pracy, w tym również fotografie, opracowane przez Braude-Heller pod tytułem „Obraz kliniczny głodu u dzieci" zostały przekazane poza mury getta prof. Witoldowi Orłowskiemu razem z wynikami badań innych lekarzy żydowskich z tego zespołu, którzy w środku Europy, niemal u połowy XX w., byli zmuszeni do prowadzenia badań nad skutkami głodu, będącego zamierzonym skutkiem polityki niemieckiej w okupowanej Polsce w stosunku do Żydów.

12 sierpnia 1942 r. Niemcy wydali rozkaz likwidacji szpitala. Większość pacjentów wywieziono do obozu zagłady w Treblince. Pozostałych umieszczono w prowizorycznym szpitaliku przy Umschlagplatzu, obecnie ul. Stawki. Później przeniesiono chorych i personel do budynku przy ul. Gęsiej 6/8 – dziś jest to ul. Anielewicza. Był to już ostatni szpital istniejący w warszawskim getcie. Braude-Heller objęła w nim funkcję wicedyrektora. Było pewne, że zagłada czeka i tych ostatnich. Doktor miała możliwość ratunku, ukrycia się wśród polskich przyjaciół. Stanowczo odmówiła pozostawienia znajdujących się pod jej opieką pacjentów, wśród których przeważały dzieci. Jak inny wielki polski Żyd, dr Janusz Korczak, była zdecydowana chronić je do końca.

Wobec spodziewanej całkowitej likwidacji getta, na przełomie lat 1942 i 1943, szpital przeniesiono do zbudowanego pod budynkiem przy ul. Gęsiej bunkra (tzw. bunkra lekarzy). Tam też funkcjonował on w następnych tygodniach, także po wybuchu powstania w getcie w kwietniu 1943 r.

Jakie były dalsze losy dr Anny Braude-Heller? Przez wiele lat pozostawały nieznane, taka też informacja znajduje się na stronie Muzeum Getta Warszawskiego. Jednak w literaturze przedmiotu od dawna można spotkać informację, że zginęła wraz ze swoimi podopiecznymi i personelem szpitala, po wysadzeniu przez Niemców budynku przy ul. Gęsiej, co nastąpiło w końcu kwietnia lub na początku maja 1943 r. Ta informacja okazała się jednak błędna.

W rzeczywistości przebywała w szpitalu jeszcze 13 maja 1943 r. Jak podał Leon Najberg w swoich wspomnieniach pt. „Ostatni powstańcy getta", bunkier został wysadzony przez Niemców w końcu maja 1943 r., jednak znaczna część przebywających tam osób przedostała się do kolejnego, zbudowanego pod ul. Gęsią 1 i 3. 30 czerwca 1943 r. również ten bunkier został wykryty, a jego mieszkańcy po wpuszczeniu przez Niemców gazu do wewnątrz zmuszeni do wyjścia. Najprawdopodobniej była w tej grupie Braude-Heller, gdyż – jak pisał Jan B. Gliński – została wywieziona następnie do niemieckiego obozu koncentracyjnego na Majdanku. Tę jednak datację zakwestionował w liście do mnie Krzysztof Tarkowski z Muzeum na Majdanku, podając, że w omawianym okresie transporty z getta przybywały do obozu jedynie na przełomie kwietnia i maja 1943 r. Niemniej pewne jest, że Anna Braude-Heller znalazła się w obozie na Majdanku, była lekarzem w rewirze kobiecym obozu i 3 listopada 1943 r. została tam zamordowana, razem z dziewięcioma innymi lekarkami – Polkami pochodzenia żydowskiego.

Lecz praca, którą dokumentowała zbrodnicze preludium zagłady, przetrwała okupację niemiecką i ukazała się rok po zakończeniu wojny pt. „Choroba głodowa. Badania kliniczne nad głodem wykonane w getcie warszawskim z roku 1942".

Lekarka z Pawiaka

Drugą bohaterkę naszej opowieści Władysław Bartoszewski uznał za jedną z najbardziej zasłużonych Polek w akcji ratowania ludzi w więzieniach niemieckich. Anna Krawecka, po wyjściu za mąż – Czuperska, była 20 lat młodsza od swojej imienniczki. Przyszło jej kontynuować tradycję rodzinną – lekarzem byli jej ojciec Paweł, kapitan WP, i bracia – Jan i Władysław. Urodzona w Busku, po służbowym przeniesieniu ojca do Warszawy, od 1922 r. uczyła się w Gimnazjach Państwowych im. Emilii Plater oraz im. Marii Konopnickiej, gdzie zdała egzamin maturalny. Następnie studiowała medycynę na Uniwersytecie Warszawskim, po uzyskaniu dyplomu pracowała jako lekarz wolontariusz w Szpitalu Dzieciątka Jezus, a następnie – św. Rocha. Jesienią 1937 r. została lekarzem w IV Obwodzie Ubezpieczeń Społecznych w Zielonce pod Warszawą.

Po wybuchu wojny, jeszcze w 1939 r., wstąpiła do Służby Zwycięstwu Polski. Współpracowała z mjr. Józefem Ratajczakiem ps. Karolczak, wkrótce mianowanym dowódcą Okręgu Pomorskiego

eprasa.pl fe6332b98a

SZP-ZWZ. Mieszkanie Anny i jej męża Henryka przy ul. Nowogrodzkiej 31 m. 19 było przez blisko rok głównym punktem kontaktowym Komendy Okręgu Pomorskiego SZP-ZWZ. Ich działalność została przerwana w nocy z 23 na 24 listopada 1940 r., kiedy w wyniku denuncjacji członka ZWZ „Józefa Olszewskiego" Anna, wraz z mężem i mjr. Ratajczakiem, została aresztowana przez gestapo.

Obaj zostali wkrótce zamordowani, ona zaś przeszła ciężkie śledztwo, była bita, doznała urazów głowy. Po jego zakończeniu, 24 grudnia 1940 r., jako więzień została lekarzem szpitala na Pawiaku, na oddziale kobiecym nazywanym Serbią. Natychmiast po zatrudnieniu na stanowisku lekarza więziennego włączyła się do działalności konspiracyjnej ZWZ na Pawiaku. Należała do grona organizatorek siatki współpracowników kobiecej komórki wywiadu więziennego 998/W Oddziału II KG ZWZ-AK i kierowała nią w szpitalu na Pawiaku. Jej głównym zadaniem było doręczanie grypsów spoza więzienia, których uczyła się na pamięć. Ta komunikacja ze światem zewnętrznym miała umożliwić przede wszystkim ustalenie wersji zeznań aresztowanych przez Niemców oraz ostrzegać osoby zagrożone. Przekazywała także wywiadowi AK informacje dotyczące „ruchu" więźniów na Pawiaku – aresztowanych, wywożonych do niemieckich obozów koncentracyjnych oraz rozstrzeliwanych w podwarszawskich lasach. W czasie rozmów, które musiały odbywać się w obecności Niemców, w celu przekazywania zakonspirowanych wiadomości posługiwała się łaciną. Do największych zasług Czuperskiej należały interwencje u władz niemieckich podejmowane na rzecz więźniów przeznaczonych do wywiezienia do obozów koncentracyjnych. Jak wspominała Janina Dunin-Wąsowiczowa, „gdy gestapo wzywało na powtórne badania bardzo zbitą, okaleczałą kobietę, dr Hania staczała o nią prawdziwą walkę i często udawało się jej zwyciężać. A ileż razy trzeba było ratować kobiety przed wyjazdem do obozu! Umiejętnie wykazywano wtedy wysoką temperaturę chorej. Widziałam to sama na swojej »karcie gorączki«, jak skakały kreski przed wizytacją lekarza niemieckiego". W ten sposób przyczyniła się m.in. do uratowania życia znanej pisarki Poli Gojawiczyńskiej. Służba dr Czuperskiej na Pawiaku została uznana za równą męstwu w boju i rozkazem dowódcy AK odznaczono ją Krzyżem Virtuti Militari.

Interwencje Anny Czuperskiej odbywały się pod stałą groźbą śmierci z rąk Niemców. We wrześniu 1943 r. znalazła się w grupie więźniów Pawiaka skazanych na rozstrzelanie, ocalała jednak dzięki interwencji dr. Zygmunta Śliwickiego u lekarza gestapo przy al. Szucha. Po likwidacji Pawiaka, 31 lipca 1944 r., została zwolniona. Już dwa dni później założyła powstańczą opaskę i przez cały okres walk w Warszawie opatrywała rannych w Śródmieściu, m.in. w szpitalu Zgrupowania „Gurt".



Korytarz więzienia Pawiak

FOT. ADRIAN GRYCUK/WIKIPEDIA/CC-BY-3.0

Po kapitulacji wyszła z miasta z ludnością cywilną. Została kierowniczką szpitala zakaźnego w Brwinowie, następnie lekarzem szpitala PCK w Milanówku, a wkrótce po zakończeniu wojny zaczęła pracować jako lekarz we Wrocławiu. Była również lekarzem konsultantem wojewódzkim do spraw balneologii, a później lekarzem zakładowym Domu Pracy Kobiet i Szkoły Pielęgniarskiej. W 1946 r. poślubiła Zygmunta Śliwickiego, tego samego lekarza z Pawiaka, który uratował jej życie, a równocześnie członka wywiadu więziennego AK, po wojnie autora wspomnień „Meldunek z Pawiaka".

Po przejściu na rentę inwalidy wojennego, w 1959 r., dr Czuperska zamieszkała w Warszawie. Uczestniczyła w działalności upamiętniającej więźniów Pawiaka. Opublikowała wspomnienia „Cztery lata ostrego dyżuru", jedno z wybitnych świadectw terroru niemieckich władz okupacyjnych w Polsce w latach wojny. Zmarła w 1988 r.

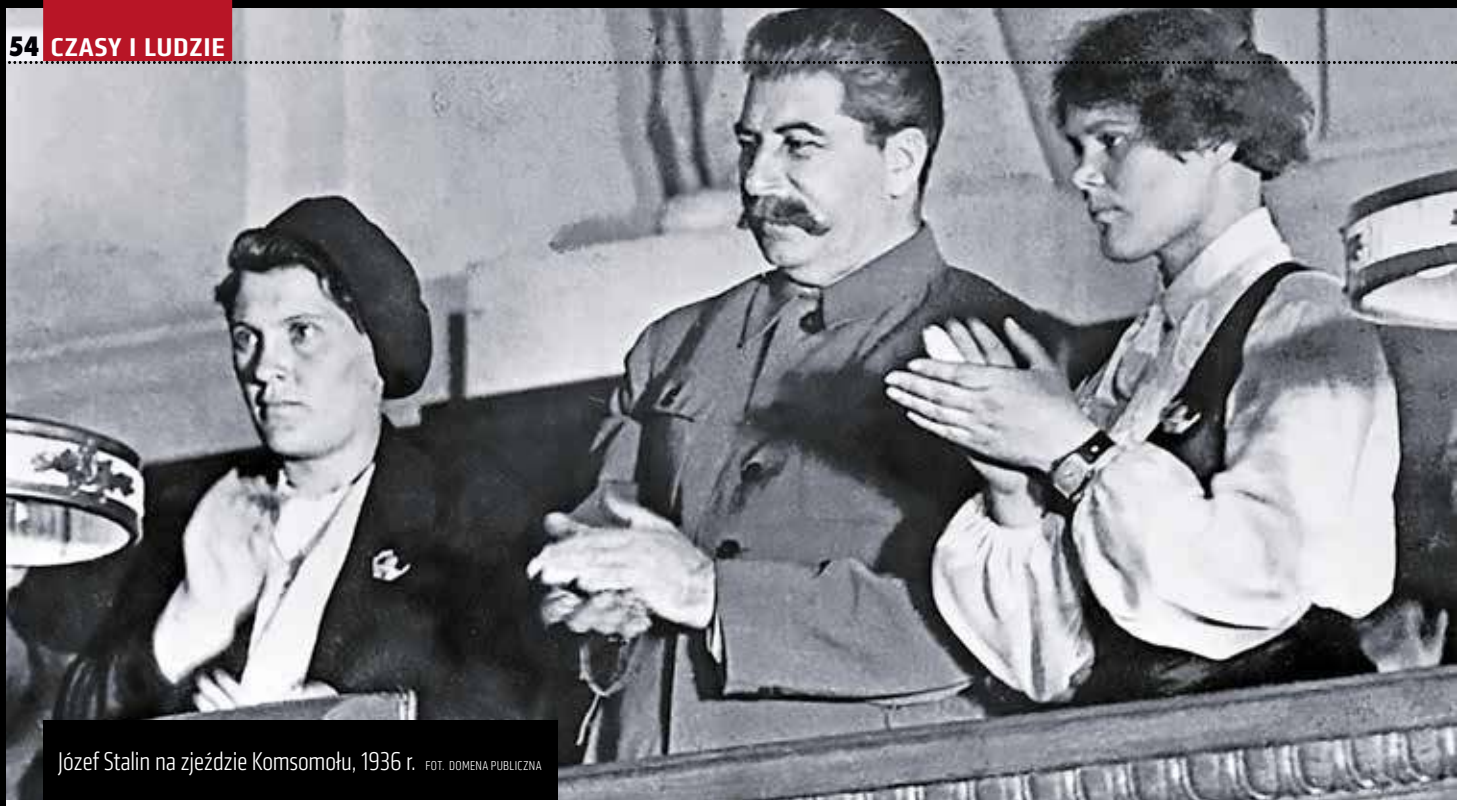
Ona sama doświadczyła piekła totalitaryzmu nazistowskiego. Jej dwaj bracia – sowieckiego. Jan, lekarz, porucznik WP, został zamordowany w Katyniu, w wieku 37 lat. Władysław, kapitan. WP, we wrześniu 1939 r. lekarz batalionu Korpusu Ochrony Pogranicza „Skałat" i uczestnik walk z Armią Czerwoną, w czasie okupacji niemieckiej był szefem sanitarnym Obwodu AK Krosno. Aresztowany przez NKWD w 1944 r. został zesłany do łagru w Riazaniu.

Dokumentacja zbrodni w getcie warszawskim w przededniu zagłady i ratowanie ludzi w największym z niemieckich więzień politycznych w okupowanej Polsce to był inny wymiar mężnej postawy sprzeciwu wobec zła, nie mniejszy niż bohaterstwo okazane w boju, które zwykle najbardziej utrwala się w pamięci historycznej – potomnych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.

eprasa.pl fe6332b98a



Józef Stalin na zjeździe Komsomołu, 1936 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Lata 20. XX w. / Jak komuniści uwiedli białoruskich patriotów

Sowiecka Białoruś



Mikołaj Iwanow

Byli premierzy emigracyjnego rządu Białorusi wraz z gromadą zwolenników zjechali w połowie lat 20. do Mińska, aby budować „wspólny białoruski dom". Po 10 latach trafili przed lufy NKWD...

Rok 1921. W Moskwie odbywa się X zjazd Rosyjskiej Komunistycznej Partii (bolszewików) [RKP(b)]. Na temat polityki narodowościowej partii bolszewickiej z referatem wystąpił ówczesny ludowy komisarz do spraw narodowościowych Józef Stalin, zadano kilka pytań, w tym również bardzo krytycznych. Jedno z nich brzmiało: „Dlaczego nasza partia komunistyczna popiera wrogą komunizmowi ideę stworzenia odrębnego narodu białoruskiego? Taki naród nigdy nie istniał".

Stalin zupełnie spokojnie odpowiedział: „Podobny pogląd jest błędem. Białoruski naród istnieje, ma on swój własny język, odróżniający się od rosyjskiego. Odbudować kulturę narodu białoruskiego można jedynie w oparciu o jego język... za pięć lat miasta Białorusi będą mówić po białorusku, chociaż obecnie tam przeważają nie-Białorusini". Podkreślał, że bolszewicy muszą pokazać narodowi białoruskiemu przewagę państwa sowieckiego nad Polską, która zupełnie nie reaguje na słuszne postulaty narodowościowe narodu białoruskiego.

Padały również głosy, że budzenie świadomości narodowościowej Białorusinów będzie najlepszą bronią ideologiczną państwa bolszewickiego przeciwko II Rzeczypospolitej. Czy rzeczywiście jedną z głównych przyczyn tworzenia narodu białoruskiego była polsko-sowiecka rywalizacja? Dalszy tok wydarzeń historycznych w latach 20. ubiegłego stulecia tę tezę potwierdza.

X Zjazd RKP(b)

Po 1920 r. wydawało się, że bolszewicy stracili zainteresowanie kwestią białoruską. Do istniejącej w tym okresie Białoruskiej Sowieckiej Republiki Socjalistycznej włączono jedynie sześć powiatów przedrewolucyjnej guberni mińskiej. Z ponad 300 tys. km kw., których domagali się niepodległościowcy białoruscy, do minipaństwa białoruskiego włączono jedynie 55 tys. km kw. Poza jej granicami pozostały – znajdujące się jeszcze dwa lata wcześniej

eprasa.pl fe6332b98a

w składzie proklamowanej przez samych bolszewików sowieckiej Białorusi – Homel, Witebsk, Mohylew i jej pierwsza stolica – Smoleńsk. Wielu czołowych komunistów w Mińsku (Alaksandr Miasnikow, Wilhelm Knorin, Moisej Kalmanowicz i inni) rozpatrywało istnienie BSRS jako niechcianego przeżytku po wojnie domowej. Komunistyczni przywódcy Białorusi Sowieckiej byli początkowo tak pewni, że niedługo ten dziwny – z ich punktu widzenia – twór (BSRS) zniknie z mapy państwa proletariackiego, że KC KP(b)B 13 grudnia 1920 r. postanowił wymagać od wszystkich członków partii, aby „nie poruszać w kołach partyjnych żadnych rozmów na temat niezależności Białorusi i nie dopuszczać do dyskusji na ten temat".

Wszystko się zmieniło w wyniku X zjazdu Rosyjskiej Komunistycznej Partii (bolszewików) (marzec 1921 r.), na którym proklamowano tzw. leninowską politykę narodowościową. Przewidywała ona bezprecedensowe poszerzenie praw wszystkich bez wyjątku mniejszości narodowych byłego Imperium Rosyjskiego. Lenin jeszcze wcześniej, zabierając głos na II Kongresie Międzynarodówki Komunistycznej w lipcu 1920 r., podkreślał, że komunistyczna ideologia do każdego narodu powinna przyjść w jego języku ojczystym. Był to dla niego warunek sukcesu wychowania komunistycznego.

Rezolucja X zjazdu na ten temat brzmi jednoznacznie: „Pomoc narodom nierosyjskim trzeba nieść w rozwijaniu i umacnianiu u siebie sowieckiej państwowości w formie, która odpowiadałaby warunkom życia tych narodów, w rozwijaniu i umacnianiu działających w języku ojczystym sądów, administracji, organów gospodarczych, organów władzy składających się z ludzi miejscowych, znających warunki życia i psychologię miejscowej ludności, w rozwijaniu u siebie druku, szkolnictwa, teatru, klubów i placówek kulturalno-oświatowych w języku ojczystym".

Uchwały zjazdu odnosiły się do wszystkich bez wyjątku narodowości Związku Sowieckiego. Tak zwana korenizacja przewidywała wysunięcie na odpowiedzialne stanowiska w rejonach mniejszości narodowych ich przedstawicieli. Na Białorusi zadanie „korenizacji" otrzymało nazwę „białorutenizacja". Było niezwykle trudne. Brakowało zakorzenionego w zbiorowej świadomości „poczucia bycia odrębnym narodem". Świadomość bycia Białorusinem rozpowszechniała się jedynie w wąskiej grupie inteligencji, przeważnie o katolickim rodowodzie. Większość tej grupy należała do obozu przeciwników rewolucji bolszewickiej i po zakończeniu wojny domowej kontynuowała walkę o niepodległą Białoruś zarówno w kraju, w II Rzeczypospolitej, na Łotwie, Litwie, jak i na emigracji.



Zwolennicy komunistycznej orientacji wśród odrodzeniowców białoruskich byli nieliczni. Alaksandr Czerwiakou, niekwestionowany lider białoruskich narodowych komunistów, w 1921 r. stał na czele Centralnego Komitetu Wykonawczego (CKW) BSRS, Usiewaład Ihnatouski był ludowym komisarzem (ministrem) rolnictwa, Zmicer Żyłunowicz (Ciszka Hartny) stał na czele redakcji gazety „Sawieckaja Biełaruś", Aleś Burbis był zastępcą ludowego komisarza do spraw zagranicznych. Byli i inni znani przedrewolucyjni działacze białoruscy w obozie bolszewickim.

Zapowiadaną przez Stalina „białorutenizację" przeprowadzano jako szeroką kampanię społeczną z udziałem tysięcy aktywistów partyjnych i ochotników. Stworzono już w latach 1924–1925 gęstą siatkę dziennych i wieczorowych kursów studiowania języka białoruskiego, w tym języku poczynają pracować teatry, szkolnictwo, środki masowego przekazu. Język białoruski zabrzmiał na partyjnych zebraniach, robotniczych mityngach, spotkaniach inteligencji. Najważniejsze jednak, że zmienił się społeczny stosunek do języka białoruskiego, który poprzednio w okresie przedrewolucyjnym był odbierany jako język pogardzanej i zacofanej wiejskiej ludności. Z partyjnego nadania język ten został językiem państwowym „de jure suwerennej" republiki związkowej ZSRS.

Na lep Sowietów

Z początkiem białorutenizacji poczucie wielkiego odrodzenia narodowego ogarnęło wielu przedrewolucyjnych białoruskich działaczy niepodległościowych. Powoli przechodzą oni na pozycję zwolenników władzy sowieckiej. Jazep Losik jako pierwszy przekłada na język białoruski „Manifest komunistyczny" Karola Marksa i Fryderyka Engelsa. Janka Kupała pisze wiersz „Na śmierć Ściapana Bułata" i „Dzwie siastry", w których wychwala partię komunistyczną i wyraża nadzieję, że przy jej poparciu może zrealizować się odwieczne marzenie Białorusinów o niepodległej, bogatej i szczęśliwej ojczyźnie. Jakub Kołas, aktywnie działający w latach wojny domowej po stronie Białoruskiej Republiki Ludowej (BRL), pisze wiersze „Bratam Zachodniaj Biełarusi" i „Woragam" świadczące o jego szczerym poparciu władz sowieckich.

Białorutenizacja i inne podobne działania władz sowieckich zwróciły uwagę licznej białoruskiej emigracji politycznej, a także elit politycznych białoruskiej mniejszości narodowej w II Rzeczypospolitej, na Łotwie i Litwie, w której stolicy – Kownie – osiadł rząd emigracyjny BNL. Tu w listopadzie 1920 r. premierowi Wacławowi Lastouskiemu udało się podpisać z władzami Litwy Kowieńskiej porozumienie o finansowym i innym poparciu jego rządu. Strategia rządu Lastouskiego polegała na przygotowaniu powstania narodowego jednocześnie w dwóch częściach okupowanej Białorusi: polskiej i sowieckiej. W tym celu na początku 1921 r. w Kownie tworzy się centralny sztab powstania na czele z Uładimiram Prakulewiczam. W rzeczywistości powszechne powstanie szykowano jedynie na terytorium Białorusi Zachodniej.

Na wschodzie prace te uniemożliwiały dwie najważniejsze przyczyny: po pierwsze – skuteczne działania represyjne sowieckich służb bezpieczeństwa

eprasa.pl fe6332b98a

przeciwko podziemiu niepodległościowemu, a po drugie – pierwsze sukcesy białorutenizacji. Na dodatek w 1924 r. Moskwa zgodziła się na znaczne powiększenie terytorium Białoruskiej Sowieckiej Republiki Socjalistycznej. Ze składu Federacji Rosyjskiej przekazano BSRS dwa obwody: witebski i mohylewski, co ponaddwukrotnie powiększyło jej terytorium i liczbę ludności.

Podstawowym zadaniem białorutenizacji było przeprowadzenie jak najmniej bolesnej sowietyzacji ludności białoruskiej. Neutralizacja opozycji niepodległościowej stała się zadaniem towarzyszącym. Na zachód w celach propagandowych wysłano jednego z czołowych białoruskich narodowych komunistów Zmicera Żyłunowicza, jednego z redaktorów pierwszej białoruskiej gazety „Nasza Niwa". Trasa jego pierwszej oficjalnej podróży zagranicznej była nieprzypadkowa: Kowno – Wilno – Berlin. Były to czołowe centra emigracji białoruskiej. Najbardziej zadziwiające były jego kontakty w Kownie i rozmowy z premierem rządu BRL, jego kolegą z „Naszej Niwy", Wacławem Lastouskim, oraz podpisanie między sowieckim rządem BSRS a kontrolowanym przez rząd BRL wydawnictwem Wyzwolenie umowy w sprawie wydania podręczników dla szkół białoruskich. Wydano wkrótce podręczniki języka białoruskiego „Biełaruski lementar" Ściapana Niekraszewicza, „Biełaruskaja mowa: Prawapis" Jazepa Losika i inne.

W Wilnie Żyłunowicz zwrócił się do innego odrodzeniowca białoruskiego, autora „Naszej Niwy", Maksima Hareckaha, który wkrótce został oficjalnym przedstawicielem rządu BSRS, w sprawie druku podręczników dla szkół białoruskich w BSRS. Część nakładu planowano zostawić dla białoruskich szkół w II RP. Rząd sowiecki zamówił książki zarówno autorów z Białorusi Sowieckiej, jak i obywateli II RP. Drukowano m.in. „Białoruską gramatykę dla szkół" Bronisława Taraszkiewicza, „Historyje biełaruskaje litaratury" Maksima Hareckaha i „Chemię" Wacława Iwanouskaha. Jednak największą liczbę książek białoruskich w latach 1922–1923 wydrukowano w Berlinie, gdzie dość aktywną działalność prowadziła ambasada BRL, zorganizowana jeszcze w 1919 r. Do pomocy Hareckiemu i w agitacji na rzecz BSRS przyjechał Iwan Ćwikiewicz, rodzony brat Alaksandra Ćwikiewicza, przyszłego premiera, a wtedy jeszcze ministra spraw zagranicznych rządu BRL. O czym rozmawiali bracia, nietrudno się domyślić. W Berlinie zostały wydane podręczniki dla szkół białoruskich, m.in. do nauki języka Ściapana Niekraszewicza, a także do fizyki, historii najnowszej, matematyki, biologii…

Kampania polityczna partii komunistycznej sprzyjała ukształtowaniu się w środowisku emigrantów iluzji politycznego przeobrażenia się władzy sowieckiej, odejścia bolszewików od polityki dyktatury proletariatu i liberalizację ustroju komunistycznego. Najwyraźniej ta iluzja przejawiła się w poglądach niekwestionowanego lidera białoruskiej emigracji Alaksandra Ćwikiewicza.



Alaksandr Ćwikiewicz po aresztowaniu przez NKWD FOT. DOMENA PUBLICZNA

„Sprawa Białorusi – pisał on w styczniu 1922 r. – może być rozwiązana albo drogą stworzenia buforowego demokratycznego państwa, albo drogą demokratyzacji istniejącej dziś Białorusi Sowieckiej… Demokratyzacja istniejącej Białorusi Sowieckiej jest bardzo ważnym i jednocześnie znacznie lżejszym zadaniem. W przypadku, kiedy ententa nie będzie w stanie demokratyzować całej Rosji Sowieckiej, to prawdopodobnie prościej to zrobić częściami".

20 kwietnia 1923 r. Alaksandr Ćwikiewicz został wybrany na premiera rządu emigracyjnego BRL. Decyzja powrotu do Mińska i wzięcia aktywnego udziału w białorutenizacji prawdopodobnie przychodziła powoli, ale podjął ją zapewne w połowie 1924 r. Jednak na prośbę władz sowieckich musiał jeszcze jakiś czas pozostać na Zachodzie, werbować dla nich nowych zwolenników. Świadczą o tym liczne spotkania Ćwikiewicza z sowieckim ambasadorem na Litwie Aleksandrowskim, podczas których omawiano detale przeprowadzenia się premiera rządu BRL do Związku Sowieckiego, a także kilku innych członków jego gabinetu. Aleksandrowicz podczas tych rozmów zgadzał się na bardzo daleko idące kompromisy. Zapewnił Ćwikiewicza, że nikt w Mińsku nie ma zamiaru prześladować ani jego, ani jego towarzyszy za poglądy polityczne. Nalegał przy tym, aby przyjazd do Mińska wyglądał jak zespołowe działanie całej emigracji białoruskiej.

Ćwikiewicz ze swej strony rozpatrywał ową akcję jako narodziny równoprawnego sojuszu między władzami komunistycznymi BSRS i białoruskimi niepodległościowcami z Zachodu. W styczniu 1925 r. zwrócił się do Krajowego Centrum (Krajowy Centr) z memorandum specjalnym. „Moja zaplanowana przeprowadzka – pisał – to wynik porozumienia między zachodnim i wschodnim frontem białoruskim. Powinniście dać polityczne poparcie dla tej akcji. Jadę jako przewodniczący rządu BRL przy zachowaniu wszystkich moich związków na Zachodzie w celu osiągnięcia jak największych korzyści w sprawie narodowej, jakie tylko możemy otrzymać od Moskwy. Każdy z nas wie, że prawdziwy Mińsk jest jeszcze bardzo daleki od bycia białoruskim… Jednocześnie oświadczam, że moje idee polityczne nie robią ze mnie wroga władzy sowieckiej na Białorusi, ale nie ukrywam, że nie ze wszystkiego, co mamy w Mińsku, jestem zadowolony… W każdym razie pojadę do Mińska tylko wtedy, gdy zaaprobujecie moją podróż i poinformujecie mnie o swych opiniach i ewentualnych działaniach".

Mimo euforii emigracji białoruskiej w reakcji na białorutenizację nie wszyscy liderzy niepodległościowców podzielali poglądy Ćwikiewicza. Najostrzej zaatakowała jego poglądy grupa liderów partii białoruskich eserowców w Pradze. Ich nieformalnym liderem był Tomasz Hryb. Początkowo w skład tej grupy wchodzili także Jazep Mamońka i Pałuta Badunowa, ale w końcu oni też ulegli wpływom bolszewickim i pojechali do Mińska.

W odróżnieniu od Pragi wśród liderów białoruskich w II RP prawie nikt nie odważył się otwarcie protestować przeciwko działaniom Ćwikiewicza. Nawet lider

eprasa.pl fe6332b98a

białoruskich chrześcijańskich demokratów ks. Adam Stankiewicz wysoko ocenił osiągnięcia białorutenizacji i politykę partii komunistycznej. Na lamach „Biełaruskaj Krynicy" pisał: „W wielu kwestiach nie popieram polityki sowieckiej i mam do niej stosunek raczej krytyczny, jednak z odpowiednią wstrzemięźliwością muszę przyznać, że w kwestii białoruskiej kultury ludowej tam są wielkie sukcesy… Niezaprzeczalne jest, że życie narodu białoruskiego ruszyło z miejsca, że otwarto tysiące nowych szkół białoruskich".

Dziwne oczarowanie białorutenizacją u białoruskich chadeków sięgnęło tak dalece, że Adam Stankiewicz wysunął postulat założenia oddzielnego autokefalicznego Kościoła katolickiego dla Białorusi. „Obecnie – pisała »Biełaruskaja Krynica« – gdy ruch białoruski szeroko się rozpowszechnił, gdy już istnieje liczny białoruski kler katolicki, gdy na wschodzie Białorusi pojawił się zarodek państwowości białoruskiej, w celu kierowania Kościołem katolickim na Białorusi Sowieckiej może i powinno być utworzone biskupstwo białoruskie na czele z biskupem, obowiązkowo świadomym Białorusinem. Jest to jedyny sposób przeciwdziałania polskiemu katolicyzmowi na ziemiach białoruskich, który stanowi zagrożenie zarówno dla Kościoła katolickiego, jak i dla białoruskości. Trzeba jak najprędzej rozpocząć rozmowy na ten temat z Rzymem. Nadszedł czas, aby Rzym to zrozumiał".

Pod lufy NKWD

Przeprowadzka rządu emigracyjnego do Mińska miała w intencji inicjatorów być uznaniem przez niepodległościowców emigracyjnych swojej ostatecznej porażki w rywalizacji z komunistami o względy narodu białoruskiego, ostatecznie położyć kres ich zorganizowanej działalności oraz uznać Mińsk za jedyne centrum białoruskiego odrodzenia narodowego. Miał stać się on ośrodkiem koordynacyjnym organizacji białoruskich w Polsce, na Litwie, Łotwie i w innych państwach europejskich. Inaczej na tę akcję patrzyli Alaksandr Ćwikiewicz i grupujące się wokół niego niepodległościowcy. Nie planowali oni złożenia mandatów premiera i ministrów, planowali przekazać je rządowi BSRS, która miała zostać spadkobierczynią BRL, a oni mieli być przyjęci w Mińsku jako zasłużeni pionierzy niepodległości białoruskiej.

Pod koniec września Alaksandr Ćwikiewicz spotkał się w Pradze z delegacją rządu białoruskiego, do której nieprzypadkowo włączono czołowych przedrewolucyjnych odrodzeniowców: Zmicera Żyłunowicza i Jankę Kupałę, a także poetę młodego pokolenia Michasia Czarota. Oni właśnie przekazali mu oficjalną zgodę KC KP(b)B na przyjazd do Mińska, a także dostarczyli środki na przeprowadzenie zjazdu białoruskiego. Kierownictwo KP(b)B wcześniej (14 sierpnia 1925 r.) przyjęło w tej sprawie rezolucję, która określiła warunki przyjazdu Ćwikiewicza i jego zwolenników do Mińska.

W dniach 12–16 października 1925 r. w Berlinie odbyła się druga białoruska narada narodowa, organizowana przez rząd BRL na emigracji. Udział w niej wzięło m.in. dziewięciu ministrów rządu BRL oraz liczni przedstawiciele środowisk białoruskich z Litwy, Czechosłowacji, Niemiec, Polski i Łotwy. Sowiecką stronę reprezentowali Zmicer Żyłunowicz i Alaksandr Uljanau. Przewodniczącym narady obrano byłego ministra spraw wojskowych w pierwszym rządzie BRL, utworzonym 25 marca 1918 r., Kanstacina Jezawitaua. W referacie sprawozdawczym Ćwikiewicz próbował połączyć idee białoruskiego nacjonalizmu z komunizmem. „Przyszłość Białorusi – podkreślał – nierozerwalnie jest związana z losem Związku Sowieckiego i dalszym losem rewolucji socjalistycznej".

Jednocześnie następował proces komunizacji białoruskiej elity politycznej w II Rzeczypospolitej. Branisłau Taraszkiewicz, Maksim Bursewicz, Anton Łuckiewicz, Radasłau Astrouski i inni niepodległościowcy zakładają słynne ugrupowanie Hromada, prawie wszyscy potajemnie wstępują do Komunistycznej Partii Białorusi Zachodniej. Przeciwników współpracy z komunistami zepchnięto całkiem na margines, choć próbowali nie składać broni. Przewodniczący Rady BNR (nominalny przywódca państwa białoruskiego na emigracji) Piotra Kraczeuski, który w 1923 r. osobiście mianował Alaksandra Ćwikiewicza na stanowisko premiera rządu BRL, ostro zwalczał na łamach prasy emigracyjnej swego byłego kolegę: „Awanturnictwo Ćwikiewicza można rozpatrywać jedynie jako zdradę narodową. Nie spełnił on woli narodu i poszedł do obozu jego wrogów w celu wzmocnienia jarzma okupantów nad zamęczoną ojczyzną". Tomasz Hryb nazwał swego byłego szefa „białoruskim Cziczikowem, który sprzedaje bolszewikom martwe dusze członków swego rządu".

I tak idea „wspólnego domu białoruskiego w Mińsku" zwyciężyła. Dwóch z trzech byłych premierów BRL (Ćwikiewicz i Łastouski) z wielką grupą swych zwolenników przyjechało do BSRS, a trzeci (Łuckiewicz) zaangażował się w stworzenie w II RP masowej chłopskiej organizacji Hromada. Dla działaczy białoruskich ta przeprowadzka do BSRS już wkrótce przekształci się w tragedię osobistą. Jedni prawie od razu po przekroczeniu granicy zostaną aresztowani i skazani (Jazep Mamońka), inni zdążą jeszcze trochę nacieszyć się udziałem w białorutenizacji i pracą na wysokich posadach państwowych. Zmiotła ich pierwsza jeszcze łagodna fala represji antybiałoruskich w latach 1930–1931. Prawie nikt z nich nie przeżył jednak wielkiego terroru lat 1937–1938. Zginęli przed plutonem egzekucyjnym NKWD jako „polscy szpiedzy". Zapłacili najwyższą cenę za swą naiwność, a także za ofiarność i wierność ideałom białoruskości.



Kuropaty, uroczysko na obrzeżach Mińska z masowymi grobami ofiar NKWD FOT. ZALA/WIKIMEDIA/CC-BY-4.0

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fe6332b98a



Sławomir Koper

ZSRS na Łotwie / Seminarium duchowne w Rydze

Reduta w państwie ateizmu

Łotewskie seminarium duchowne było jednym z dwóch, które przetrwały na terenie ZSRS. Bolszewicy dobrze zdawali sobie sprawę z tego, że katolicyzm nie przetrwa bez dopływu nowych kapłanów

Podróżując po dawnych Kresach Rzeczypospolitej, wielokrotnie trafiałem do polskich parafii i rozmawiałem z miejscowymi proboszczami. Część z nich była absolwentami seminarium w Rydze, księża unikali jednak rozmów o latach studiów. Co więcej, gdy z uporem powracałem do tematu, dawano mi wręcz do zrozumienia, że zaraz stanę się persona non grata. Tematu unikali również księża, którzy na Kresy przyjechali z kraju, inna sprawa, że miałem wrażenie, że nie zawsze mieli dobre stosunki z kapłanami wywodzącymi się z grona miejscowych Polaków. W tym przypadku decydować mogła jednak znaczna różnica wieku, nie mówiąc już o doświadczeniu życiowym i zawodowym.

Jednym z filarów ideologii bolszewickiej był nieprzejednany ateizm, a szczególną nienawiścią darzono Kościół katolicki. Duchowieństwo uważano za obcą agenturę, natomiast wiernych traktowano jako wrogów państwa i ustroju. Uczciwie jednak trzeba przyznać, że prześladowania katolików na Inflantach nigdy nie przybrały tak tragicznego charakteru jak na Ukrainie czy Białorusi. Zadecydowały o tym założenia sowieckiej geopolityki.

Nie rezygnowano jednak z programowej ateizacji, tym bardziej że katolicyzm był ważnym elementem świadomości narodowej. Skierowano ją jednak głównie na młode pokolenie i podobnie jak w innych republikach związkowych edukacja szkolna została zdominowana



Archikatedra św. Jakuba w Rydze i herb obecnego arcybiskupa Zbigniewa Stankiewicza

FOT. WOJSYL/WIKIPEDIA/CC BY-3.0

eprasa.pl fe6332b98a

przez treści antyreligijne. Kościół miał być symbolem ciemnoty i zacofania, a praktykujących uczniów traktowano jak zwolenników średniowiecznych zabobonów. Normalnym zwyczajem stało się wywieszanie ich zdjęć w gazetkach szkolnych, katechizacja została zakazana, a młodzieży wmawiano, że hierarchia katolicka (z papieżem i jezuitami na czele) zawsze była największym wrogiem ludzkości i postępu.

Wprawdzie nad Bałtykiem nie mordowano masowo księży, ale represje spadały na kapłanów zbyt popularnych wśród wiernych. Nie bez powodu hierarchowie katoliccy zalecali duchownym, by zajmowali się wyłącznie posługą religijną i unikali szerszej ewangelizacji, gdyż to prowokowało władze. Tym bardziej że poważnym problemem stał się brak zgody na obsadzanie wakatów w parafiach i normalnym zjawiskiem stał się duchowny katolicki obsługujący kilka wspólnot wiernych.

Ostatnie seminaria

Wielokrotnie przekonałem się o wielkiej roli duchowieństwa w podtrzymywaniu polskiej tradycji. Z tego powodu coraz bardziej intrygowała mnie sprawa seminarium w Rydze, a swoista zmowa milczenia tylko wzmagała moją ciekawość. Tym bardziej że sięgała ona nawet Internetu, gdzie trudno wyszukać jakiekolwiek informacje na ten temat. Nie ma nawet takiego hasła w polskiej Wikipedii, chociaż można znaleźć duży artykuł o seminarium prawosławnym w Rydze! W sieci oraz w publikacjach prasowych i książkowych znajdowałem tylko strzępy informacji zawierające same ogólniki. Było to tym bardziej dziwne, że po upadku komunizmu można było już normalnie pisać na ten temat, a katolickie seminarium duchowne na terenie „imperium zła" wydawało się fascynującym zagadnieniem. Niestety, było jednak inaczej.

Faktycznie na terenie ZSRS działały wyłącznie seminaria w Kownie i Rydze. Sowieci zakładali, że będą miały one znaczenie lokalne,gvb65,77tyg i pierwsze z nich miało kształcić księży dla Litwy, natomiast drugie dla Łotwy. Z czasem jednak na ryską uczelnię dopuszczono kandydatów z innych republik związkowych, jednak od samego początku



SŁAWOMIR KOPER, TOMASZ STAŃCZYK „KRESY PÓŁNOCY. WYPRAWA DO POLSKICH INFLANT"
FRONDA

przeważali wśród nich Polacy. Językiem wykładowym był polski i to właśnie nasi rodacy z czasem mieli obsadzać katolickie parafie nie tylko na dawnych Kresach, lecz także w Rosji i Kazachstanie.

Brak wiadomości czasami bywa jednak cenną wskazówką. Zmowa milczenia nie mogła być zatem dziełem przypadku, skoro bowiem władze na Kremlu tolerowały działalność seminariów, to placówki musiały być dokładnie infiltrowane przez KGB. To wyjaśniałoby niechęć absolwentów do rozmów o uczelni, podobnie zresztą jak brak publikacji jej poświęconych.

Trudno się zatem zgodzić z opinią historyka Kościoła katolickiego w ZSRS, ks. prof. Romana Dzwonkowskiego, który twierdził, że przypadki współpracy z sowieckimi służbami notowano wyłącznie w seminarium kowieńskim. Zwłaszcza że duchowny przyznawał, że w ryskiej szkole „ściany miały uszy i trzeba było uważać na każde słowo". Wydaje się, że nie tylko ze względu na podsłuch, lecz także na obecność innych kleryków. Być może zresztą nie tylko kleryków.

Oczywiście poza głęboką infiltracją istniały „normalne" sowieckie szykany obrzydzające życie kadrze profesorskiej i studentom. Placówka straciła swoją przedwojenną siedzibę i zmagała się z problemami lokalowymi, a do tego też czasowo zawieszano jej działalność. Listę przyjętych kleryków zatwierdzali funkcjonariusze KGB i bez ich zgody żaden kandydat nie mógł rozpocząć nauki.

Oczywiście KGB mogło znaleźć dziesiątki powodów, by nie dopuścić kandydata do seminarium. Zdawano sobie jednak sprawę z faktu, że na terenie państwa istniało „podziemne" kształcenie kapłanów i wygodniej było mieć je pod kontrolą. Nawet jeżeli przyszli księża podobno solidarnie odmawiali współpracy. „Zgłaszającemu się młodemu człowiekowi często stawiano – jako warunek otrzymania pozwolenia na wstąpienie do seminarium – ukrytą współpracę z KGB. Kandydaci z reguły mieli za sobą odbytą służbę wojskową. Ponieważ warunek ten był z zasady odrzucany, zgody nierzadko odmawiano" (prof. Dzwonkowski).

Co jednak kryło się pod określeniami: „z zasady" czy „nierzadko"? Gdyby bowiem przyjąć wyjaśnienia ks. Dzwonkowskiego dosłownie, oznaczałoby to, że nikt nie mógłby wstąpić do placówki w Rydze. A tak przecież nie było.

Wprawdzie brakuje twardych dowodów na współpracę kleryków i profesorów z KGB (rosyjskie archiwa są niedostępne), ale trudno sobie wyobrazić, by było inaczej. Sowieci nie mogli pozwolić, by na ich terenie działało katolickie seminarium, nad którym nie mieliby kontroli. Należy podejrzewać, że wiele zależało od ludzi po obu stronach barykady, zarówno kleryków, jak i funkcjonariuszy. Można się tylko zastanawiać, czy na okresowe wzmaganie szykan wobec szkoły wpływ miała większa liczba „niezłomnych" w poszczególnych rocznikach? Czy też były to fakty niezwiązane ze sobą? Sowiecka polityka bywała bowiem czasami mało zrozumiała i logiczna.

Dole i niedole

Początki szkoły sięgają 1920 r. i sanktuarium w Agłonie w Łatgalii. Cztery lata później seminarium zostało przeniesione do Rygi. Pierwsze problemy zaczęły się po aneksji Łotwy w 1940 r., gdy Sowieci rozpoczęli prześladowania katolicyzmu. Natomiast czas okupacji niemieckiej minął względnie spokojnie, okupanci przywrócili prawo przyjmowania nowych kandydatów i płacili nawet pensje kadrze naukowej.

Ponowne wkroczenie Sowietów oznaczało zamknięcie placówki, która jednak odrodziła się już w 1946 r. Podobno zgodę na jej działalność wydał osobiście Wiaczesław Mołotow, wszechwładny członek Biura Politycznego KPZS i minister spraw zagranicznych ZSRS. Nie zwrócono jednak uczelni jej przedwojennego budynku i naukę rozpoczęto w starym drewnianym domu należącym przed laty do jezuitów.

Kilka lat później szkołę ponownie zamknięto, a gdy wreszcie wyrażono zgodę na jej działalność, to przyjęła ona charakter uczelni zaocznej. „Mogli klerycy – wspominał jezuita Wacław Treibšo – zjeżdżać się dwa razy w roku: wiosną i jesienią na dwa miesiące, słuchać wykładów. Wykładano w ten sposób główne przedmioty. Innych rzeczy musieli uczyć się sami. […] Dawną naszą kaplicę zamieniliśmy na

eprasa.pl fe6332b98a



Dom Bractwa Czarnogłowych i kościół św. Piotra w Rydze

FOT. DILIFF/WIKIPEDIA/CC BY-3.0

sypialnię i salę wykładową, a salę parafialną – na jadalnię. Trzeba było wszystko pomieścić w budynku plebanii, bo przecież ten domek drewniany zabrali".

W seminarium studiowało niewielu kleryków, z reguły było ich ok. 20. Sytuacja poprawiła się na początku lat 60., gdy władze określiły, że łączna liczba słuchaczy może wynosić 30 osób. Inna sprawa, że dla większej grupy nie było miejsca ani środków na ich utrzymanie.

Pomimo tego zaczęli pojawiać się kandydaci spoza Łotwy. Wprawdzie oficjalnie było to zakazane, ale stosowano różne wybiegi. Przeprowadzano się do Rygi, podejmując pracę w charakterze robotników, dzięki czemu uzyskiwano status mieszkańca republiki. Można jednak powątpiewać, by tego rodzaju działania mogły wprowadzić w błąd KGB. Sowieckie służby zapewne doskonale orientowały się w sytuacji i dzięki temu dysponowały kolejnym argumentem nacisku na przyszłych księży. Zresztą nauka na uczelni infiltrowanej przez służby musiała pozostawić ślady na psychice alumnów.

„Zasadniczą cechą seminariów kontrolowanych przez policję – podsumowywał publicysta Vitalis Karov – bywa brak szczerości zarówno między klerykami, jak i profesorami. Tematyka rozmów i kontaktów międzyludzkich banalizuje się. Co więc mogłoby tu rozwijać kandydata do kapłaństwa? Co rozbudzi i rozwinie jego osobowość, kiedy największą troską bywa ukrycie swojego prawdziwego oblicza? Każdy bywa tu zmuszany do wdziewania maski zasłaniającej prawdziwą twarz, a po wielu latach chodzenia z taką maską można już zapomnieć o swojej własnej twarzy".

W 1970 r. seminarium uzyskało oficjalny status uczelni międzyrepublikańskiej, co jednak niewiele w praktyce zmieniło. O naborze wciąż decydowały sowieckie władze, a kandydaci musieli spełnić wiele formalnych wymogów. Należały do nich uregulowany stosunek do służby wojskowej i pozytywna opinia pełnomocnika ds. religii republiki, z której pochodzili. Do tego dochodził jeszcze gąszcz formularzy oraz inne typowo biurokratyczne wymysły. „Pamiętam te wszystkie bumagi – opowiadał proboszcz z Nowogródka, Antoni Dziemanko – które musiałem wtedy wypisać, te wszystkie formalności. Eh, nie rozbierzesz się w tych czekistach. Bo oni przez tyle lat dobrze sobie wszystko obmyślili".

Niektórzy czekali nawet 10 lat na przyjęcie, natomiast inni decydowali się na konspiracyjną naukę i święcenia. Zdarzył się też wypadek, że jeden ze zdesperowanych kandydatów wstąpił do prawosławnego seminarium, a dopiero w Polsce otrzymał potajemne święcenia.

Pod koniec lat 70. osłabła polityka ateizacyjna władz ZSRS, co przełożyło się na zwiększenie liczby kleryków w Rydze. Większość z nich pochodziła spoza Łotwy (zdarzali się nawet alumni z Kaukazu) i koniecznością stało się prowadzenie wykładów w języku rosyjskim. Pracowano jednak głównie na podręcznikach przemycanych z Polski, co zmuszało kleryków do opanowania minimum trzech języków. Miało to jednak przynieść pozytywne skutki w późniejszych latach.

W 1990 r. zniesiono ograniczenia w liczbie przyjęć, a wraz z upadkiem Związku Sowieckiego zaczęły się odradzać seminaria na terenie dawnych republik. Obecnie w Rydze studiują już niemal wyłącznie Łotysze oraz miejscowi Polacy, a językiem wykładowym jest łotewski. Pewnym problemem stała się malejąca liczba powołań, co jednak można uznać za znak czasu. Nie zmienia to jednak sytuacji, że blisko jedna piąta ludności Łotwy deklaruje katolicyzm, chociaż nie brakuje „wierzących i niepraktykujących", katolicy są jednak bardziej widoczni od znacznie liczniejszych luteran. Na terenie republiki, w Łagdalii, znajduje się również jedno z największych sanktuariów maryjnych na dawnych Kresach Rzeczypospolitej.

Agłona

Początki miejscowego sanktuarium sięgają przełomu wieków XVII i XVIII, gdy osiedli tutaj dominikanie. Wzniesiono drewniany kościół, a gdy ten spłonął, rozpoczęto wznoszenie barokowej świątyni. Powstał wówczas klasztor, a do zakonników należało 20 wsi i dwa folwarki. Dominikanie przetrwali w Agłonie do schyłku XIX stulecia. Władze carskie, które zawsze z dużą podejrzliwością traktowały wspólnoty katolickie, zakazały przyjmowania nowych zakonników i miejscowi braciszkowie dosłownie wymarli. Wówczas zabudowania klasztorne przeznaczono na więzienie dla księży i funkcję tę pełniły do wybuchu pierwszej wojny światowej. Trafił tam również ks. Zygmunt Łoziński, przyszły biskup miński i piński, bardzo zasłużony dla sprawy polskości Kresów.

Największym skarbem bazyliki Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny jest cudowny obraz Matki Boskiej Agłońskiej. Nazywany bywa Przewodniczką z Kwiatem, gdyż przedstawia Marię z trzema różami w ręku. Obraz wykazuje duże podobieństwo do obrazu Matki Boskiej Trockiej w Trokach koło Wilna, jednak nie ustalono nigdy, które malowidło jest oryginałem, a które naśladownictwem.

Właściwie przez cały okres po drugiej wojnie światowej komuniści nie potrafili ograniczyć ruchu pielgrzymkowego do Agłony. Szczególnie na święto patronki kościoła przybywały tutaj tysiące ludzi, chociaż pod różnymi pozorami próbowano zatrzymywać i zawracać zorganizowane grupy wiernych. Przynosiło to odwrotny skutek, a ruch pielgrzymkowy nasilał się wraz z osłabieniem sowieckiego państwa. W 1986 r. w połowie sierpnia przybyło do Agłony aż 150 tys. osób, podczas gdy miejscowa parafia liczyła poniżej 3 tys. Obecnie liczba sierpniowych pielgrzymów oscyluje w okolicach 50 tys., natomiast sześć razy więcej osób przybywa do sanktuarium podczas pozostałych miesięcy roku. Nie brakuje wśród nich wiernych innych wyznań, a także zwykłych turystów, takich jak ja, który nie mógł sobie odmówić przyjemności obejrzenia łotewskiej Jasnej Góry.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

A. Hlebowicz, „Katolicyzm w państwie sowieckim 1944–1992", Gdańsk 1993.

K. Renik, „Podpolnicy. Rozmowy z ludźmi Kościoła na Litwie, Łotwie, Białorusi i Ukrainie 1990–1991", Warszawa 1991.

„Za wschodnią granicą. 1917–1993. O Polakach i Kościele w dawnym ZSRR z Romanem Dzwonkowski rozmawia Jan Pałyga", Warszawa 1995.

eprasa.pl fe6332b98a

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY | HISTORIA DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2022



JUBILEUSZOWA X EDYCJA WYJĄTKOWYCH NAGRÓD W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

ORLEN

PARTNER STRATEGICZNY

eprasa.pl fe6332b98a



Żołnierze 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki wzięci do niewoli podczas Powstania Warszawskiego FOT. BUNDESARCHIV BILD/WIKIPEDIA

Książka miesiąca / Jatka pod Lenino

Żołnierze tragiczni

W 1943 r. III Rzesza poniosła dwie druzgocące klęski na froncie wschodnim. Pod Stalingradem i na Łuku Kurskim. Wehrmacht przeszedł do defensywy, a Armia Czerwona rozpoczęła swój „marsz wyzwoleńczy" na Europę. Niczym kolosalny walec zaczęła się toczyć na Zachód.

Był to moment, w którym stało się jasne, że po wojnie nie odrodzi się niepodległa Polska. Nasz kraj miał bowiem zostać zajęty przez Sowietów. A bolszewicy nie ukrywali swoich planów wobec Polski. Na początku 1943 r. zorganizowali Związek Patriotów Polskich na czele z Wandą Wasilewską. Na bazie tej organizacji miał powstać marionetkowy rząd przyszłej czerwonej Polski.

Trudno jednak mówić o państwie bez armii. Podobnie jak w 1920 r. – gdy na Warszawę u boku wojsk Trockiego szły czerwone polskie oddziały – Sowieci przystąpili do organizowania polskich komunistycznych sił zbrojnych. Mowa o wojsku gen. Zygmunta Berlinga.

Formacja ta walczyła u boku Armii Czerwonej o cele sprzeczne z polskimi interesami. Była stworzona na obraz i podobieństwo „bratniej" Armii Czerwonej. Olbrzymia część jej żołnierzy nie identyfikowała się jednak z polityką Stalina. Byli to polscy zesłańcy, którzy nie zdążyli do Andersa. Albo Polacy, którzy – po wkroczeniu Sowietów na ziemie polskie – zostali przymusowo wcieleni do armii. Byli to więc ludzie, którzy znaleźli się w sytuacji tragicznej.

Pasjonująca książka „Berlingowcy" przedstawia wspomnienia dziewięciu z nich. W grupie tej znaleźli się ludzie o różnych biografiach i przekonaniach. Wystarczy napisać, że jeden z nich był byłym AK-owcem. A inny politrukiem. Różne było ich nastawienie wobec Sowietów i służby. Sprawia to, że książka jest jeszcze ciekawsza.

Jeden z żołnierzy, Roman Marchwicki, opisuje sowieckie porządki panujące w armii. Młody, zdezorientowany i przestraszony żołnierz – niejaki Jakubowicz – aby uniknąć walki na froncie, posunął się do samookaleczenia. Dowództwo zorganizowało mu publiczny proces wzorowany na procesach moskiewskich. Wyrok: śmierć przez rozstrzelanie. Berling nie skorzystał z prawa łaski.

Marchwicki w październiku 1943 r. walczył pod Lenino. Bitwa – przez propagandę PRL przedstawiana jako wielkie zwycięstwo – była klęską. I straszliwą jatką. Straty kościuszkowców wyniosły 23,7 proc. Część żołnierzy przeszła na stronę Niemców. Nie chcieli bowiem walczyć za znienawidzoną władzę sowiecką.

„Dowództwo dywizji – pisał Marchwicki – nie panowało nad sytuacją. Dosłownie i w przenośni mieliśmy być wprowadzeni do walki w ciemno. Po zapadnięciu zmroku i bez dostatecznego rozpoznania sytuacji bojowej".

To się nie mogło skończyć dobrze. Marchwicki porównuje bitwę do „piekła na ziemi". Niemcy ostrzeliwali Polaków z ziemi i z powietrza. Bombowce Luftwaffe bezkarnie bombardowały polskie pozycje. Lotnictwa sowieckiego na niebie nie było widać.

Wycofując się, oddział Marchwickiego natknął się na ruiny murowanej budowli. Polacy postanowili w niej odpocząć. „Budynek – wspominał żołnierz – okazał się miejscem, w którym gromadzono zwłoki zabitych. Ta polowa zbiornica ludzkich ciał robiła przygnębiające wrażenie. Stos niedbale ułożonych trupów dawał makabryczny widok. Nie było mowy, żeby się tutaj na dłużej zatrzymać".

Pasjonująca, ale również bezbrzeżnie smutna książka. Berlingowcy byli fatalnie zaopatrzeni i jeszcze gorzej dowodzeni. Tysiące z nich zapłaciło za to życiem.

©℗ ***Piotr Zychowicz***



DOMINIK CZAPIGO (RED.)
„BERLINGOWCY. ŻOŁNIERZE TRAGICZNI"
RM

eprasa.pl fe6332b98a

Nasz przyjaciel Szwed

Książka ta zaskakuje wyjątkowym u Szweda zainteresowaniem Polską i Polakami oraz życzliwością, z jaką o nas pisze. Można przypuszczać, że poznał dobrze nasz kraj, pracując przez lata jako korespondent prasowy – w przeciwieństwie do wielu swoich rodaków, dla których Polska jest położona na krańcu świata. A historii nie znają – nie tylko zresztą naszej, lecz także swojej. „Natomiast – pisze autor – w Polsce historia jest niezwykle żywa i wszechobecna". Cytuje też z aprobatą Józefa Piłsudskiego: „Naród, który nie szanuje swej przeszłości, nie zasługuje na szacunek teraźniejszości i nie ma prawa do przyszłości".

Lindqvist starał się spenetrować nasze dzieje z różnym skutkiem, ale o ojczystych potrafi opowiadać z bardzo zajmującymi szczegółami. Zawiera je już pierwsza opowieść o córce Mieszka I Świętosławie – Sygrydzie, półlegendarnej władczyni wikińskiej. Radzę też przeczytać historię lubianej i szanowanej Anny Wazówny, protestanckiej siostry Zygmunta III, o której nuncjusz papieski pisał do Rzymu: „Król polski ma przy sobie siostrę, której rozsądek przewyższa jego". Niekiedy dzieje splatają się w wojnach – zwłaszcza od początku XVII w. do pierwszej dekady XVIII w. – niebywale dla nas niszczących. Autor z dezaprobatą pisze o rabunku tych wszystkich skarbów i dóbr kultury, które wywieźli od nas Szwedzi i wyposażyli w nie swoje zamki, uczelnie i biblioteki. Wspomina też z niesmakiem oburzenie rodaków na premiera Palmego za to, że w latach 70. XX w. wywiózł do Polski w prezencie sponiewieraną „rolkę sztokholmską" (trzy lata zajęło polskim konserwatorom jej odnowienie).

Można mu wybaczyć, gdy nieco zaniża stan armii Karola IX pod Kircholmem, a zawyża do „kilku tysięcy koni" liczbę husarzy hetmana Chodkiewicza (nie przekraczała ona 2 tys.). Docenia jednak w pełni znaczenie tej batalii – zwłaszcza dla reform militarnych Gustawa Adolfa. Cytuje też wspomnienie tego króla o bitwie pod Trzcianą (niewymienioną z nazwy), który „nigdy nie brał tak gorącej kąpieli". Pod koniec publikuje zaś rozdział hejt o dzisiejszych czasach rządu wspierającego „nacjonalistów", „antysemitów" i „faszystów", gdy na ulicach – rzecz jasna – „nie widzi się już uśmiechów". Jakby pisał dla „Gazety Wyborczej". Co ciekawe, na sam koniec znów pisze o kwitnącym kraju cudu gospodarczego zamieszkałego przez szczęśliwych ludzi. Cóż, niepotrzebne odrzucić… ©℗

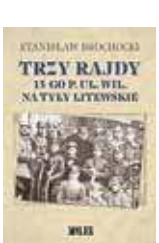
Maciej Rosalak



HERMAN LINDQVIST
„PRZEZ BAŁTYK. 1000 LAT POLSKO-SZWEDZKICH WOJEN I MIŁOŚCI"
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Ułani i Litwini

Warto przeczytać te wspomnienia z niewypowiedzianej, a faktycznie toczącej się i mało pamiętanej wojny polsko-litewskiej w latach 1919–1920. Autor, oficer Wileńskiej Brygady Jazdy Litwy Środkowej, brał udział w trzech kawaleryjskich zagonach jesienią 1920 r., a podczas jednego z nich ułani zapędzili się aż pod Kiejdany, w głąb etnograficznej Litwy. Opowiada o wielkim sukcesie 13. Pułku Ułanów, którym było schwytanie we wsi Jodele sztabu litewskiej dywizji, z jej dowódcą gen. Nastopką na czele. Działania tej brygady przyczyniły się znacznie do tego, że Litwini nie byli w stanie zdobyć Wilna. ©℗ ***(t.s.)***



STANISŁAW BROCHOCKI
„TRZY RAJDY 13-GO P. UŁ. WIL. NA TYŁY LITEWSKIE"
MILES



PIOTR DĄBROWSKI
„TUŁACZKA PO OBCEJ ZIEMI"
IPN

POLAK W ŁAGRZE

Gdy w czerwcu 1940 r. Sowieci zajęli państwa bałtyckie, w ich łapska wpadło wielu polskich oficerów i ludzi elit. Część z nich została aresztowana. Mieli jednak szczęście w nieszczęściu: do zbrodni katyńskiej doszło bowiem w kwietniu 1940 r. Nie zostali więc zamordowani, ale trafili do łagrów. IPN wydał właśnie wspomnienia jednego z nich – Piotra Dąbrowskiego. Wstrząsająca książka. ©℗ ***(p.z.)***



PAWEŁ RZEWUSKI
„SYN BAGIEN"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

POLESKIE JĄDRO CIEMNOŚCI

To pierwsza powieść młodego historyka (rocznik 1990), napisana w formie, po którą sięgają coraz liczniejsi autorzy – kryminału. W „Synu bagien" mamy II RP u kresu, zapadły rejon Polesia, ludzi ginących w zagadkowych okolicznościach, żywioły z tego i nie z tego świata. Poleskim Kurtzem jest demoniczny wojewoda Wacław Kostek Biernacki. Fabuła wciąga. No po prostu „jądro ciemności" w zagubionym wśród bagien Dawidgródku. ©℗ ***(m.r.)***



„ZA KRATAMI WIĘZIEŃ I DRUTAMI OBOZÓW. WSPOMNIENIA I NOTATKI WIĘŹNIÓW IDEOWYCH Z LAT 1914–1921" T. 1 I 2
IPN

NIEPODLEGŁOŚĆ I KRATY

Oto – dzięki IPN – reedycja przedwojennych wspomnień z lat walki o niepodległość. Uwięzienia wspominają m.in. Józef Piłsudski, Walery Sławek, a także Wanda Bielańska („Dziesięć dni w moskiewskiej czerezwyczajce na Łubiance"). Są też wspomnienia żołnierzy Legionów i Polskiego Korpusu Posiłkowego z obozów w Beniaminowie, Szczypiornie, Marmaros-Sziget. ©℗ ***(t.s.)***

eprasa.pl fe6332b98a

Sławny brat Marszałka

Omówienie biografii Bronisława Piłsudskiego można zatytułować: „Brat sławnego Marszałka", jednak prowadzone od ponad czterech dziesięcioleci w Polsce i Japonii badania nad jego dziełem sprawiły, że nie da się go już tylko w ten sposób określić.

Przełom w zainteresowaniu postacią Bronisława Piłsudskiego nastąpił, gdy w latach 70. minionego wieku prof. Alfred Majewicz poinformował japońskich naukowców o przechowywanych na uniwersytecie w Poznaniu woskowych wałkach, na których Piłsudski zapisał pieśni i opowieści Ajnów. Kilka lat później w Instytucie Elektroniki Stosowanej Uniwersytetu Hokkaido odczytano z uszkodzonych wałków dźwięk sprzed ośmiu dekad. Plonem datujących się od tego czasu wzmożonych studiów nad życiem i dziełem Piłsudskiego jest – oprócz edycji jego dzieł – biografia autorstwa japońskiego profesora Kazuhiko Sawady.

Bronisław Piłsudski zaplątał się w 1887 r. w spisek na życie cara jako nieświadomy (albo niechcący niczego wiedzieć) pomocnik zamachowców. Mimo to otrzymał surowy wyrok: 15 lat zesłania na Sachalin. Miał wówczas 21 lat, a po przybyciu na miejsce był załamany i zrozpaczony. Sens życiu na zesłaniu dały mu badania kultury tubylców: Gilaków i Ajnów. Zaprzyjaźnił się z nimi do tego stopnia, że dopuszczali go nawet do rytuałów ukrywanych przed oczami obcych. Utrwalał pieśni i opowiadania, korzystając z fonografu Edisona, robił zdjęcia. Kazuhiko Sawada stwierdzał, że „rezultaty badań Piłsudskiego to ostanie zrealizowane dzieła, które pozwoliły ocalić tradycyjną kulturę rdzennych plemion sachalińskich". Piłsudski wraz z Wacławem Sieroszewskim badał kulturę Ajnów także na Hokkaido. Otrzymał za swe prace srebrny medal Rosyjskiego Towarzystwa Etnograficznego.

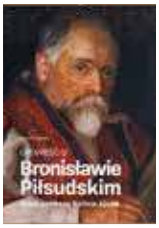
Profesor Sawada podkreśla, że Piłsudski nie był beznamiętnym badaczem etnografem. Przejmował go bowiem nędzny los tubylczych plemion, organizował szkółki elementarne dla dzieci, jako samouk udzielał porad lekarskich, pomagał nieznającym w dostatecznym stopniu języka rosyjskiego w kontaktach z władzami. „Jako człowiek należący do narodu, który cierpi – pisał Piłsudski – postawiłem sobie jako obowiązek moralny ściągnięcie na los ras pierwotnych uwagi ludzi nauki". Nazwano go „królem Ajnów", jego potomkowie ze związku z Ciusammą, krewną wodza plemienia, żyją do dziś w Japonii. ©℗

Tomasz Stańczyk



Bronisław Piłsudski

FOT. WIKIPEDIA



KAZUHIKO SAWADA
„OPOWIEŚĆ O BRONISŁAWIE PIŁSUDSKIM. POLAK NAZWANY KRÓLEM AJNÓW"
MUZEUM JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W SULEJÓWKU

Czy Polska była skazana na klęskę?

To jeden z tematów historycznych, który wywołuje największe emocje opinii publicznej. Czy II RP była skazana na klęskę i niemiecko-sowiecki rozbiór? Na Katyń i na Auschwitz? A może należało prowadzić politykę realną i próbować ocalić państwo przed unicestwieniem? Przyjąć niemiecką ofertę sojuszu i razem uderzyć na ZSRS?

Ciekawa dyskusja w tej sprawie toczy się od lat. Kolejny głos należy do Bartosza Borkowskiego, autora ciekawej książki „Ku wojnie". Borkowski – twórca popularnego youtube'owego kanału Oblicza XX Wieku – przedstawia dyplomatyczną grę, która poprzedziła wybuch największej i najbardziej krwawej wojny w dziejach ludzkości.

Pisze o polityce III Rzeszy i aliantów zachodnich. Przedstawia koncepcje Władysława Studnickiego i zagadkę samobójczej śmierci Walerego Sławka. A na koniec zastanawia się, jak rozwijałaby się Polska, gdyby nie wojenne zniszczenia i hekatomba naszego narodu. ©℗

Piotr Zychowicz



BARTOSZ BORKOWSKI
„KU WOJNIE"
BELLONA

eprasa.pl fe6332b98a

Niemieckie listy śmierci

Wiosną 1939 r., a dokładnie 22 maja 1939 r., w ramach II SDHA Sicherheitsdienst Hauptamt (Główny Urząd Służby Bezpieczeństwa) powołana została nowa placówka o nazwie Zentralstelle II P (Polen), której wyznaczono zadanie opracowania centralnej kartoteki polskich obywateli wrogo ustosunkowanych do Niemiec. Oprócz SD do prac nad jej powstaniem włączyło się wiele instytucji, m.in. Ost-Institut w Berlinie, AA (Auswärtiges Amt – MSZ) i Abwehra. Krótki termin nadsyłania danych (do 8 czerwca 1939 r.) okazał się nierealny, a co więcej – spowodował, że przesłane informacje tworzone w pośpiechu, były przypadkowe, chaotyczne i mało precyzyjne. Sporządzone materiały nieposiadające zbiorczej nazwy przekazano w ręce grup operacyjnych policji bezpieczeństwa i służby bezpieczeństwa, których pododdziały pojawiły się w Polsce po wybuchu wojny polsko-niemieckiej 1 września 1939 r.

Zadaniem Einsatzgruppen było zwalczanie wszelkich wrogich Rzeszy elementów w Polsce działających na tyłach walczących oddziałów. Wbrew rozpowszechnionej opinii EG nie wydano żadnych rozkazów nakazujących eksterminację. W żadnej z notatek z narad – ani tej z 7 września 1939 r. bez udziału SS-Obergruppenführera R. Heydricha, ani tej z jego udziałem z 21 września 1939 r. – nie ma o tym mowy. Osoby znajdujące się na listach miały być zatrzymane, a decyzje co do ich dalszych losów pozostawiono dowódcom i funkcjonariuszom poszczególnych Grup Operacyjnych Sipo i SD. W notatce z 27 września 1939 r. (dotyczącej narady z 21 września) znalazły się natomiast następujące słowa: „Z politycznej elity na okupowanych terenach istnieje jeszcze najwyżej 3 proc. Te 3 proc. należy również unieszkodliwić i pójdą do obozów koncentracyjnych". W trakcie narady kierownictwa RSHA (Reichssicherheitshauptamt – Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy) z 14 października 1939 r. likwidacja polskiej warstwy przywódczej miała nastąpić drogą aresztowań do 1 listopada 1939 r.

Oczywiście te sformułowania nie oznaczają, że Einsatzgruppen nie dokonywały egzekucji. Funkcjonariusze tych jednostek, otrzymawszy „wolną rękę", nierzadko posługiwali się metodami eksterminacyjnymi. Znacząco w większym stopniu do fizycznej eliminacji polskich elit na Pomorzu i w Wielkopolsce przyczyniły się formacje Selbstschutzu, złożone z polskich obywateli niemieckiego pochodzenia, dokonujące samosądów za prawdziwe i urojone polskie prześladowania i zbrodnie.

26 października 1939 r., podczas narady u szefa gestapo SS-Gruppenführera H. Müllera, podjęto decyzję o sporządzeniu „specjalnej księgi gończej". W marcu 1940 r. rozesłano ją do policyjnych placówek w GG. Księga zawierała 8,7 tys. nazwisk osób, wywodzących się z kręgów polskich elit politycznych. Na użytek planowanej kampanii wojennej na zachodzie Europy również skonstruowano podobny dokument, w którym umieszczone zostały nazwiska nie tylko francuskich polityków, lecz także polskich polityków i przywódców Rządu RP na Uchodźstwie, takich jak gen. Władysław Sikorski, gen. Józef Haller, płk Adam Koc, prezydent Władysław Raczkiewicz czy minister spraw zagranicznych August Zaleski. Te nazwiska wpisano później, poszerzając znacznie ich grono (dokument zawierał nazwiska brytyjskich oraz francuskich, a także czeskich polityków emigracyjnych) do księgi stworzonej w związku z prowadzonymi przygotowaniami do operacji „Lew Morski". Te i wiele innych informacji znajdą państwo w znakomitej książce dr. Grzegorza Bębnika, którą naprawdę warto przeczytać. ©℗

Arkadiusz Karbowiak



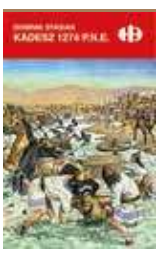
GRZEGORZ BĘBNIK
„PROSKRYPCJA W NOWEJ ODSŁONIE. NIEMIECKIE LISTY GOŃCZE W PRZEDEDNIU I POCZĄTKACH II WOJNY ŚWIATOWEJ"
INSTYTUT PILECKIEGO

HISTORYCZNE BITWY

Kadesz

Porywa ta historia sprzed ponad 3 tys. lat, kiedy wielkie cywilizacje coraz bardziej stawały się wojowniczymi imperiami. W XIII w. p.n.e. w Azji Mniejszej dominowało zmilitaryzowane państwo Hetytów, które następnie w Dwurzeczu Eufratu i Tygrysu podbiło rozległe Mitanni i walczyło o prymat z Asyrią oraz Babilonią. Kiedy Hetyci wdarli się do dzisiejszej Syrii i Palestyny, doszło do konfrontacji z Egiptem, sięgającym w Afryce po Nubię na południu oraz Pustynię Libijską na zachodzie, a na wschodzie już po Azję. Faraonem był wtedy Ramzes II z XIX dynastii władców wojowników, który ruszył przeciw najeźdźcom pod zajętą przez nich twierdzę Kadesz. Wiódł ponad 20 tys. wojowników i 2 tys. rydwanów przeciw ponad 30 tys. Hetytów z 3 tys. rydwanów. Zaprzężone w parę koni rydwany były dwukołowe – przy czym egipskie z dwuosobową załogą były lżejsze i bardziej zwrotne (oś przesunięta do tyłu) od trzyosobowych „fur" hetyckich. Podobnie brąz Egipcjan wcale nie był gorszy od ówczesnego żelaza Hetytów. Cztery związki operacyjne, które autor nazywa „dywizjami", nosiły imiona bogów Egiptu: Amona, Ra, Seta i Ptaha, ale – być może – utworzono jeszcze dwa kolejne, np. z garnizonów bliskowschodnich. Autor przypomina dramatyczne koleje bitwy, utrwalone w inskrypcjach na murach świątyń, papirusach i na glinianych tabliczkach, a białe plamy wypełnia własną inwencją. Ramzes II wpadł w pułapkę hetycką i poniósłby klęskę, gdyby nagle nie nadeszła odsiecz. Ale kto jej udzielił – nie wiadomo… ©℗

Maciej Rosalak



DOMINIK STASIAK
„KADESZ 1274 P.N.E."
BELLONA

eprasa.pl fe6332b98a



Amerykanie opuszczają Afganistan, kwiecień 2021 r. FOT. KYLEE GARDNER/U.S. AIR FORCE

Geopolityka / Idealizm kontra Realpolitik

 Jacek Bartosiak  Piotr Zychowicz

Klęska w Afganistanie

Styl amerykańskiego wycofania był fatalny. To jednak – prędzej czy później – musiało się stać

PIOTR ZYCHOWICZ: Katastrofa w Afganistanie. Spodziewałeś się, że to się tak skończy?

JACEK BARTOSIAK: I tak, i nie. To, że Amerykanie prędzej czy później wyjdą z Afganistanu i w ten sposób zamkną jeden z frontów, było dla mnie jasne. Afganistan bowiem ich obciążał, niepotrzebnie rozpraszał siły w obliczu najważniejszej rywalizacji – z Chinami. Wielkiej, wchodzącej w kulminacyjną fazę rywalizacji między lądem a morzem, między oceanem światowym a kontynentem. A więc samego wycofania się spodziewałem. Mało tego, dziwię się, że

eprasa.pl fe6332b98a

Amerykanom zajęło to aż tyle czasu. Już dawno powinni zebrać manatki i stamtąd wyjść. Wykazali się więc prawidłowym instynktem. Cały wielki chór krytyków Bidena – interwencjonistów, którzy chcieliby, żeby Amerykanie byli wszędzie i wszędzie wpływali na równowagę sił – nie rozumie, że środki są ograniczone. Stany Zjednoczone mają teraz na głowie ważniejsze zmartwienia niż Afganistan. Muszą się skupić na czymś zupełnie innym. Afganistan niepotrzebnie pochłaniał ich energię.

A czego się nie spodziewałeś?

Tego, że to się stanie w ten sposób. Oddzieliłbym bowiem sam fakt wycofania od jego realizacji. Amerykanie naprawdę bardzo źle to rozegrali. Nie spodziewali się tak silnej i szybkiej ofensywy talibów. A także tego, że armia afgańska po prostu się rozpierzchnie.

W tym – wbrew temu, co opowiadał Biden – również jest sporo winy Amerykanów. To oni przez dwie dekady szkolili tę armię. To ich „dziecko" zawiodło.

Amerykanom zabrakło profesjonalizmu. Zarówno wojskowego, jak i politycznego. Operacyjna strona wycofania została sknocona. I to wywołuje ogromne napięcie i frustrację w wojsku amerykańskim. Docierają do mnie te głosy, utrzymuję bowiem kontakt z dowódcami amerykańskimi. Oni czują się po prostu upokorzeni. To jest właśnie ten rozdźwięk. Zasady wielkiej strategii mówią nam, że wycofanie z Afganistanu było uzasadnione. Natomiast sposób, w jaki to przeprowadzono, jest potwornym ciosem w wiarygodność Ameryki. W US Army panuje po tym naprawdę olbrzymi absmak. Myślę, że Biden poniesienie konsekwencje. Jego pozycja jako zwierzchnika sił zbrojnych ulegnie poważnemu osłabieniu, a amerykański system polityczny się zatrzęsie.

Tak, wielu Amerykanów – nie tylko zdeklarowanych republikanów – odebrało to jako upokorzenie. Jak to?! Przecież to niemożliwe! Jesteśmy największą potęgą na świecie, a pogoniła nas jakaś pstrokata hałastra facetów w turbanach, uzbrojonych w kałasznikowy! Myślę jednak, że Amerykanie powinni zejść na ziemię. John Mearsheimer napisał, że gdyby zwolennicy interwencji byli górą – Amerykanie do dzisiaj babraliby się w dżunglach Wietnamu. Wojna w Afganistanie to było 20-letnie bicie głową w mur. Pomysł od samego początku był chybiony, a przedłużanie tej wojny tylko mnożyło koszty. Kiedyś trzeba było to przerwać.



JACEK BARTOSIAK, PIOTR ZYCHOWICZ
„NADCHODZI III WOJNA ŚWIATOWA"
REBIS

Zgadzam się z tym, co zaraz po ewakuacji Kabulu napisał Steven Walt. Że to się musiało stać, że to było nieuniknione. Ale oczywiście – powtarzam – należało to inaczej rozegrać. Zamortyzować ten szok. Nie chciałbym zostać posądzony o cynizm, bo przecież tam rozegrała się wielka ludzka tragedia. Widzieliśmy wstrząsające obrazy z lotniska w Kabulu. Przerażonych Afgańczyków szturmujących samoloty i czepiających się skrzydeł startujących maszyn. Konsekwencje humanitarne są bez wątpienia zastraszające.

Amerykanie zostawili na lodzie tysiące ludzi, którzy im zaufali i podjęli z nimi współpracę. A teraz na tych ludzi spada straszliwa zemsta talibów. Mało tego, uciekając w panice, zostawili talibom gigantyczne ilości nowoczesnego sprzętu wojskowego. Talibowie będą teraz mieli chyba jedną z najlepiej uzbrojonych armii w Azji. To wszystko jest mocno kompromitujące.

Okazało się, że Amerykanie nie są w stanie eksportować swoich rozwiązań ustrojowych i rozszerzać dominacji oceanu światowego na wszystkie kraje na świecie. To musi boleć. Ale przecież to było oczywiste już od dłuższego czasu. Tylko niektórzy nie przyjmowali tego do wiadomości.

Rzeczywiście krytycy Bidena wydawali się zapominać, że to prezydent Donald Trump rozpoczął proces wycofywania się z Afganistanu. Więc rzeczywiście największym problemem jest styl tego wycofania, a nie sam fakt. Wszystko wydarzyło się tak szybko!

To ogromny cios w morale. Pamiętaj, że to była najdłuższa wojna, jaką Stany Zjednoczone prowadziły w swojej historii.

Dwadzieścia lat.

Tak, 20 lat. Całe pokolenie przeszło przez Afganistan i Bliski Wschód. Pokolenie żołnierzy, dowódców, analityków. Ta wojna pochłonęła górę pieniędzy i teraz oczywiście pojawia się pytanie o sens całej tej operacji. Przez ostatnie 20 lat wychowało się także całe pokolenie młodych Afgańczyków, którzy nie znali innego życia niż pod amerykańską władzą. I teraz trwa dramat ludzi, którzy uwierzyli w zmianę. Uwierzyli w zachodni model życia. Nagle znaleźli się pod władzą talibów, którzy stanowią całkowitą antytezę Zachodu. Ale z drugiej strony muszę przyznać, że ja modliłem się, żeby Amerykanie wreszcie z tego Afganistanu wyszli. Uważałem bowiem, że marnotrawią siły i środki na trzeciorzędnych teatrach wojny, zamiast skupić całą swoją atencję strategiczną i zasoby na Chinach. Takie rozpraszanie energii mogło doprowadzić do tego, że nie udałoby im się pokonać Chin. A wtedy mielibyśmy naprawdę inny świat.

Myślę, że ludzie, którzy walczyli w tym konflikcie, muszą mieć teraz poczucie wielkiego rozgoryczenia i zmarnowania ich wysiłku. Nie chodzi nawet o pieniądze, które były gigantyczne, ale przede wszystkim o poległych. Amerykanie stracili w Afganistanie 2,4 tys. żołnierzy, a całe siły koalicyjne – ponad 3,5 tys. Między innymi poległo 44 Polaków. Do tego należy dodać kolosalne cierpienia ludności cywilnej. Zginęły dziesiątki tysięcy Afgańczyków. I co teraz? Sytuacja po 20 latach wraca do punktu wyjścia z roku 2001, gdy amerykańskie samoloty startowały do tej wojny.

Dodajmy, że mówimy o relatywnie słabym przeciwniku, nierozwiniętych państwie i społeczeństwie. A mimo to wielka potęga oceanu światowego, która przyszła z oddali, aby zaprowadzić swój ład, została w Afganistanie pokonana. I to jest sedno sprawy. Przychodzenie z oddali – dotyczy to zarówno Afganistanu, Kurdów, Ukrainy, jak i Polski – polega na tym, że między Stanami Zjednoczonymi a tymi państwami nie ma tożsamości interesów i nie ma symetrii interesów. Jest asymetria. I ta asymetria pozwala Amerykanom w dowolnym momencie odciąć się i skrócić front tam, gdzie akurat jest im wygodnie. Żywotne interesy Stanów Zjednoczonych na tym bowiem nie ucierpią. Ucierpi może tylko prestiż, ale niewiele ponad to. Doświadczyli tego swego czasu – o czym już nieco zapomnieliśmy – Kurdowie. Doświadczają tego teraz Ukraińcy. Doświadczają Afgańczycy. My doświadczyliśmy tego w czasie drugiej wojny. Bo przecież gdyby Amerykanie mieli siły, to pewnie w 1945 r. zaprowadziliby demokrację liberalną i wolność strategicznych przepływów również nad Wisłą. Ale nie dali rady, bo Sowieci im na to nie pozwolili.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fe6332b98a



Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Rewolucja Forda

/ Ford był samoukiem – i to samoukiem, co najgorsze, genialnym – który wielokrotnie udowodnił swoje racje wbrew wielu uczonym profesorom

Henry Ford jest jednym z tych ludzi, których pamięci dzieje się wielka krzywda. Był kapitalistą, i to jednym z najwybitniejszych – to już wystarczający powód, by w zdominowanej przez lewaków debacie publicznej oczerniać go, a co najmniej odmawiać mu zasług. Był też antysemitą, a to w świecie zachodnim po Holokauście przestało być modne (no, nie tak od razu – w istocie, dopiero gdzieś na przełomie lat 60. i 70., kiedy to na amerykańskich uczelniach zaczęto stopniowo znosić numerus clausus i w kolejnych stanach pozwolono zatrudniać żydowskich prawników czy lekarzy w instytucjach publicznych). Last but not least, Ford nigdy nie pofatygował się zdobyć żadnego formalnego wykształcenia, był samoukiem, i to samoukiem, co najgorsze, genialnym, który wielokrotnie udowodnił swoje racje wbrew wielu uczonym profesorom, a to już dla zarządzającego przez wiele lat „dystrybucją szacunku" półświatka akademickiego jest zupełnie nie do przyjęcia.

Na potwora wykreować go było trudno, ale można było przynajmniej okryć jego dokonania częściowym zapomnieniem. Stąd dziś funkcjonuje w naszej pamięci tylko jako sknera tnący wszelkie koszty, autor bon motu o dowolnym kolorze, byle czarnym, i wynalazca taśmy produkcyjnej.

Produkcja taśmowa była w istocie wielką sprawą, jedną z przyczyn, dla której Niemcy przegrały wojnę. Jej znaczenie dla dostaw wojskowych polegało nie tyle na potanieniu produkcji, ile przede wszystkim na obniżeniu wymogu kwalifikacji pracowników. Przy taśmie można było postawić każdego analfabetę, przyuczywszy go szybko do wykonywania jednej prostej czynności. Niemcy, którzy przez cały okres nazizmu pracowali po staremu, w kilkunastoosobowych zespołach wykwalifikowanych robotników, szybko wyczerpali ich zasób, a szkolenie nowych trwało i odrywało od pracy doświadczonych majstrów. To między innymi dlatego na jednego wyprodukowanego tygrysa przypadało 30 shermanów.

Ale sam Ford taśmę tylko podpatrzył i puścił w odwrotną stronę (natchnieniem była wielka chicagowska masarnia, w której kolejni rzeźnicy odcinali „swoje" kawałki od podjeżdżających tusz). Większą – a na śmierć zatopioną w niepamięci – rewolucją było jego podejście do pracowników. W przeciwieństwie do innych potraktował bowiem wynagrodzenie nie jako konieczne zło, ale jako inwestycję, której zwrotem było większe zaangażowanie i przywiązanie do firmy.

Aby zapobiec dezorganizującej produkcję i podrażającej ją rotacji ludzi przy swoich taśmach, wykonał jednocześnie dwa ruchy. Po pierwsze, podniósł dniówkę robotnika z dwóch dolarów za godzinę, co stanowiło wtedy plus minus krajową średnią, do pięciu. Po drugie, skrócił dzień pracy z 12 godzin do ośmiu.

Efekt? Można sobie wyobrazić, jak klęli Forda inni biznesmeni i czego życzyła mu miejscowa policja, usiłująca zapanować nad 15-tysięcznym tłumem, który z dnia na dzień pojawił się pod fabryką, aby ubiegać się o pracę w niej. Ale, jak wiadomo, wbrew powszechnemu przekonaniu i życzeniu Ford nie zbankrutował. To inni musieli podnieść płace do jego poziomu, co zaowocowało oczywiście wzrostem popytu i większymi zarobkami.

Dziś wmawia się ludziom brednie, że dobrobyt zawdzięcza Zachód socjalnemu ustawodawstwu Bismarcka albo że kapitalizm uratował Keynes, przekonując rządy do interwencji w wolny rynek. Nic podobnego. Ale prawda historyczna jest dla współczesnych budżetowych darmozjadów zbyt niepoprawna, by pozwolić o niej pamiętać. ©℗

eprasa.pl fe6332b98a



Piotr Semka

/ Felieton

Dlaczego runął carat?

/ O wewnętrznym gniciu Imperium Rosyjskiego, począwszy od końca XIX w. aż do kresu ZSRS, Rosjanie mogli pisać tylko na emigracji

Pokolenie mojej babci, czyli ludzi urodzonych ok. roku 1900, było najmłodszą generacją, która na własne oczy widziała fenomen upadku Imperium Rosyjskiego. Odpowiedź na pytanie, dlaczego po paru dniach rewolucji lutowej gigantyczna i – wydawało się – niesłychanie bezwzględna maszyneria cesarstwa przestała istnieć, prześladowało nie tylko Rosjan. Oczywiście dla Polaków, Łotyszy czy Gruzinów koniec Rosji carów był wydarzeniem, które w większości kojarzyło się raczej dobrze.

Zupełnie inaczej było w wypadku Rosjan. Ci, opowiadając się czy to po stronie bolszewików, czy to po stronie ich przeciwników, musieli dokonać wyboru, który niósł ze sobą egzystencjalne konsekwencje. O tym, jak bardzo one były silne, świadczy fragment z filmu „Admirał" z 2008 r. w reżyserii Andreja Krawczuka. Film opowiada o wielkiej miłości dyktatora sił antybolszewickich adm. Aleksandra Kołczaka i jego kochanki Anny Timiliowej. Wiele lat już po zakończeniu rewolucji i nawet po zwolnieniu ze stalinowskich łagrów tej towarzyszki życia Kołczaka doszło w latach 60. do znamiennego incydentu. W trakcie kręcenia ekranizacji powieści Lwa Tołstoja „Wojna i pokój" realizatorzy filmu potrzebowali kogoś, kto udzieli wskazówek, jak wyglądały dawne carskie bale. Odnaleziono ślad Anny Timiliowej i ściągnięto ją nawet na plan zdjęciowy. Kiedy jednak zwierzchnicy z Mosfilmu dowiedzieli się, że ktoś chce włączyć do pracy nad zdjęciami byłą carską arystokratkę, wybuchł skandal i „konsultantkę" wyproszono z planu.

Na temat wewnętrznego gnicia Imperium Rosyjskiego, od końca XIX w. do kresu istnienia ZSRS, najwięcej do powiedzenia miała oczywiście komunistyczna propaganda. Z innych niż marksistowskie pozycji można było pisać tylko na emigracji. I tutaj – szczerze mówiąc – trudno mi wymienić jakieś naprawdę wybitne rosyjskie dzieło „białych" wygnańców, które wyjaśniałoby ten dramatyczny proces. Jeśli kazano by mi wskazać autorów, którzy przynajmniej podjęli próbę tego niełatwego zadania, to z dumą musiałbym najpierw wskazać naszego Józefa Mackiewicza i jego zbyt mało docenianą książkę „Sprawa pułkownika Miasojedowa".

Pokazuje ona na przykładzie losów skromnego oficera korpusu żandarmerii, jak potworne efekty dla trwałości caratu przyniosła taktyka prowokacji carskiej ochrany. Ale geniusz Mackiewicza pokazuje też, jak zjawisko to zderzyło się z gwałtownym zwrotem inteligencji rosyjskiej w kierunku idei uważanych za postępowe. Na wojnie świata brutalności aparatu carskiego z wolnomyślicielskimi, naiwnymi marzeniami rosyjskiej inteligencji wygrali bolszewicy na czele z Włodzimierzem Leninem. Jeśli dorzucić do tego nagromadzone przez stulecia poczucie krzywdy rosyjskiego chłopstwa i niszczący wpływ pierwszej wojny światowej na rosyjskie społeczeństwo, to powstaje diabelska mieszanka, która przyniosła cierpienia i śmierć milionom ludzi.

A co ze współczesną literaturą rosyjską? Jeśli już miałbym coś polecać, to rekomenduję powieść „Czarne miasto" Borysa Akunina. Jest to opis Baku – miejsca, w którym na przełomie XIX i XX w. dokonał się wielki boom przemysłu naftowego. Pod pewnymi względami książka ta przypomina „Ziemię obiecaną" Władysława Reymonta. Akunin opisał, jak bolszewicy – najbardziej sprawni i inteligentni spośród rewolucjonistów – zamienili przemysł naftowy Baku w bankomat pieniędzy na walkę rewolucyjną ludzi Lenina w całej Rosji. Bogaci nafciarze mieli świadomość, jak łatwo wywołać pożary pól naftowych, które były trudne do ugaszenia. Magnaci spod znaku czarnego złota woleli więc opłacać się bolszewickim rekieterom, niż ryzykować katastrofy mogące kosztować ich nieporównanie więcej pieniędzy. A w tle tego wszystkiego niesprawny i skorumpowany system carskiej represji, w którym pułkownicy i generałowie żandarmerii, goniąc za nabijaniem prywatnej kieszeni, lekceważą rozprzestrzenianie się wpływów partii bolszewickiej. Domyślam się, że wielu czytelników skrzywi się, iż tak wysoko stawiam prozę Akunina, która kojarzy się raczej z błahą rozrywką. Nic jednak nie poradzę. Zbyt wielu książek wyjaśniających jeden z największych fenomenów historii XX w. nie ma. Dlatego sięgnijcie po „Sprawę pułkownika Miasojedowa" i „Czarne złoto". Naprawdę warto. ©℗

eprasa.pl fe6332b98a



Jan III z rodziną. W zbroi - Jakub Sobieski

FOT.MUZEUM PAŁACU KRÓLA JANA III W WILANOWIE

1634–1691 / Zmierzch legendy zwycięzcy spod Wiednia

Gry o mołdawski tron (3)



Tomasz Stańczyk

Bohdan Chmielnicki doprowadził do małżeństwa swego syna z córką hospodara, a Jan III pragnął tronu mołdawskiego dla królewicza Jakuba

W 1634 r. tron hospodarstwa mołdawskiego objął Bazyli Lupu (Wilk), bajecznie bogaty kupiec pochodzący z Albanii, a zarazem wysoki urzędnik na dworze w Jassach. Panował niemal 20 lat, co było wyjątkową sytuacją. W 1645 r. wydał swą córkę za Janusza Radziwiłła, który rok później został hetmanem polnym litewskim. Nie obyło się bez trudności ze strony sułtana, który bardzo źle patrzył na tego rodzaju związek hospodara z Rzecząpospolitą. Bogactwo Bazylego i nadzieja na duży posag nęciły innych polskich magnatów. Ubiegali się o rękę drugiej córki hospodara – Rozandy (Roksany). A byli nimi Piotr Potocki, syn hetmana Mikołaja Potockiego, oraz Dymitr Wiśniowiecki, potomek tegoż imienia pretendenta do hospodarstwa,

eprasa.pl fe6332b98a

który skończył straszną śmiercią w stolicy imperium otomańskiego.

Hospodarówna Rozanda

Już podczas wojny polsko-kozackiej Bohdan Chmielnicki umyślił w 1650 r. ożenić swego syna Tymofieja z Rozandą. Bazyli Lupu ani myślał jednak wydać jej za Kozaka, ale obawiał się Chmielnickiego. Oświadczył, dla zyskania na czasie, że musi spytać o zgodę sułtana. Jednak notowania Chmielnickiego nad Bosforem stały wyżej niż hospodara, uzyskał więc zgodę na małżeństwo syna z hospodarską córką. Ponieważ Bazyli Lupu opierał się, ściągnął na siebie najazd kozacko-tatarski. Musiał sporo nadszarpnąć swój skarbiec, by dać okup Tatarom w zamian za opuszczenie przez nich hospodarstwa. Zapobiegło to pustoszeniu kraju, Kozacy jednak nie wycofali się i hospodar został zmuszony zgodzić się na zaręczyny Rozandy z Tymofiejem.

Zaraz potem wysłał żonę i córkę do Polski i zaczął zabiegać w Stambule o anulowanie decyzji sułtana. Jednak akcje Chmielnickiego nad Bosforem stały wówczas znacznie wyżej: przyjął protektorat turecki i dostał tytuł Stróża Porty Ottomańskiej. Na razie jednak sułtan, nieufający Bazylemu i podejrzewający go o sprzyjanie Rzeczypospolitej, kazał mu odesłać córkę do Stambułu jako faktyczną zakładniczkę i rękojmię wierności hospodara. Podobno miała tam zostać wykorzystana przez wielkiego wezyra. Po jego upadku wróciła do ojca. Chmielnicki zamierzał zbrojnie upomnieć się o zawarcie obiecanego małżeństwa. Wiedząc to, hospodar prosił Jana Kazimierza o to, by wojska królewskie zagrodziły drogę Kozakom do jego państwa. Król zabronił jednak hetmanowi Kalinowskiemu interweniować. Hetman jednak „człowiek już stary i wdowiec – pisał Zbigniew Spieralski – uroił sobie małżeństwo z młodą, bogatą hospodarówną" (Z. Spieralski, „Awantury mołdawskie"). Chciał jej ręki, a w rezultacie stracił głowę, i to dosłownie. Stanął na drodze wyprawie kozackiej do Mołdawii, rozłożywszy się obozem pod Batohem. Stoczona tam w maju 1652 r. bitwa z Kozakami i Tatarami skończyła się nie tylko klęską – wśród poległych był Kalinowski – lecz także tragedią. Kozacy, wykupiwszy od Tatarów 5 tys. polskich jeńców, zamordowali ich.



Hospodar Bazyli Lupu FOT. WIKIPEDIA



Rozanda, córka Bazylego Lupu FOT. WIKIPEDIA

Trzy miesiące później odbyło się wesele Tymofieja z Rozandą. Dostał na razie część posagu, lecz hospodar wiedział, że prędzej czy później zięć upomni się o resztę. Przez związanie się z Chmielnickim hospodar stawał się, wbrew swojej woli, jego sojusznikiem. Rzeczpospolita nie mogła pozwolić sobie na to, by być zagrożona także od strony hospodarstwa mołdawskiego. Jan Kazimierz zawarł więc sojusz z Jerzym II Rakoczym, księciem siedmiogrodzkim, oraz Mateuszem Bassarabem, którzy najechali hospodarstwo. Tymofiej wystąpił z Kozakami w obronie teścia, który tymczasem zbiegł do Chmielnickiego. Nie mógł się jednak z nim porozumieć, gdyż – jak pisał Karol Szajnocha – zastał w Czechryniu kozackiego wodza „tak pijanym przez cały tydzień, że nie mógł wcale rozmawiać o czymkolwiek" (K. Szajnocha, „Domna Rozanda").

Tymczasem sprzymierzone wojska oblegały Suczawę, w której broniła się żona hospodara, mając w załodze także Kozaków. Ich morale załamało się, gdy „trafiła kula wkoło jednego wozu i zgruchotawszy oś, ugodziła w łeb Tymoszka dwoma ułamkami osi z impetem, że mózg wyprysnął". Na próżno matka Rozandy proponowała kozackiemu dowódcy Fedorowiczowi, że odda mu ją, byleby dalej bronił Suczawy. Kozacy poddali się. A skarbami Lupu, jednak znacznie uszczuplonymi z powodu wydatków wojennych, podzielili się nowy hospodar Stefan, hospodar mołdawski i książę siedmiogrodzki. Natomiast Jan Kazimierz nie przyjął swojej części łupu.

Bazyli Lupu usiłował odzyskać tron, udał się w tym celu do Chanatu Krymskiego, jednak Islam Girej odesłał go do Stambułu, gdzie były hospodar zmarł. Po śmierci teścia Rozanda wróciła na Mołdawię, osiadła w swoim majątku. Legenda o skarbach Bazylego Lupu, które miały być schowane przez Rozandę, skusiła rozbójników kozackich do napadu na jej dwór. Mimo tortur nie zdradziła kryjówek lub też wcale ich nie było. Tak czy inaczej straciła życie. Inna wersja głosi, że w latach wypraw Sobieskiego do Mołdawii miała zostać zamordowana przez polskich żołnierzy jako synowa znienawidzonego Bohdana Chmielnickiego.

O tron dla królewicza

Znakomite zwycięstwo pod Wiedniem, które ogromnie osłabiło imperium osmańskie, nie zakończyło jednak polsko-tureckiego konfliktu. Nadal nie zostało odzyskane Podole z Kamieńcem Podolskim. Ta część Rzeczypospolitej

eprasa.pl fe6332b98a

była okupowana od 1672 r., gdy zawarty został traktat buczacki. Sobieski myślał jednak nie tylko o odzyskaniu, lecz także o osadzeniu w hospodarstwie mołdawskim swego syna Jakuba. W rachubach Jana III miało to umożliwić pierworodnemu następstwo po ojcu – zwycięstwo w wolnej elekcji. Szlacheccy wyborcy nie byliby nieczuli na fakt, że kandydat do tronu jest władcą Mołdawii, którą być może po obiorze na króla włączy w granice Rzeczypospolitej.

W roku wyprawy na Wiedeń Sobieski wyraził aprobatę dla planu przedstawionego mu przez Stefana Kunickiego. Kozacki ataman zaproponował królowi, że uderzy na tureckie lenno – hospodarstwo mołdawskie oraz podporządkowanych Stambułowi budziackich Tatarów. Jan III zapewnił fundusze na rekrutowanie 10 tys. Kozaków. „Zewsząd z prawobrzeżnego obszaru Dniepru napływali do chorągwi Kunickiego ochotnicy zwabieni żołdem, powodowani żarliwością religijną, nienawiścią do Turków i Tatarów oraz żądzą łupów (O. Forst de Battaglia, „Jan Sobieski król Polski").

Kunicki początkowo odniósł sukces, gdyż uwięził hospodara Jerzego Ducę i zainstalował w Jassach byłego hospodara Stefana Petriceicu, zwanego Petryczejką. Jedenaście lat temu Petryczejko walczył po stronie polskiej i u boku Jana Sobieskiego pod Chocimiem. Rok później utracił tron i schronił się w Polsce. Jednak pod sam koniec 1683 r. Kunicki został rozgromiony przez chana Hadżi Gireja, Petryczejko musiał uciekać do Polski, a na mołdawskim tronie zasiadł ponownie, lecz tylko na rok, Dymitr I Kantakuzen (ród jego być może wywodził się z bizantyjskiej dynastii Kantakuzenów, panujących w XIV w.).

W marcu 1684 r. zawiązana została antyturecka Liga Święta, sojusz Państwa Kościelnego, Wenecji, Austrii i Rzeczypospolitej, łącząca wysiłki w tej sprawie. Turcja została pod Wiedniem pokonana, chodziło jednak o to, by wyprzeć ją z Europy. Najpotężniejsi w tym związku gracze – Austria i Rzeczpospolita – mieli rozbieżne cele własne. Austriacy chcieli uderzyć na Węgry, odzyskać ziemie korony św. Stefana. Tureccy wasale – hospodar wołoski Şerban Kantakuzen i książę siedmiogrodzki Michał Apafy zadeklarowali, że zwrócą się przeciwko Osmanom, jeśli dostaną pomoc od Austriaków.

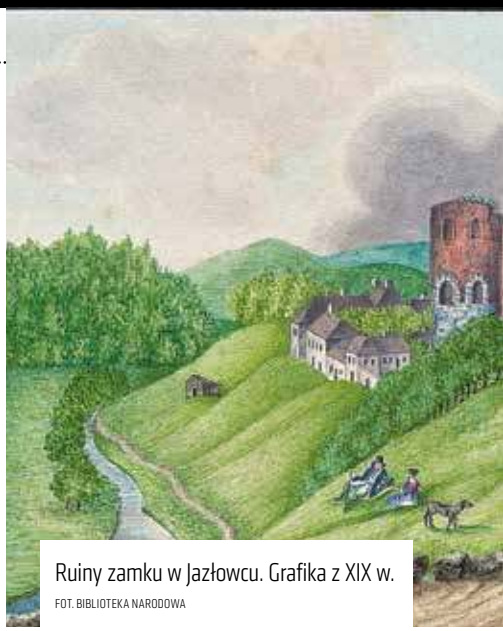
W 1684 r. ruszyła polska wyprawa w kierunku hospodarstwa, zdobyto Jazłowiec i Żwaniec na okupowanym przez Turków Podolu. Z przeprawą przez Dniestr były kłopoty, gdyż ulewne deszcze spowodowały wezbranie wód rzeki i zniszczenie budowanego mostu. Jak pisał autor „Awantur mołdawskich", hetmani – koronny Jan Stanisław Jabłonowski i polny Andrzej Potocki – faktycznie zmusili króla do zaniechania marszu na Mołdawię. W zamian proponowali obleganie Kamieńca Podolskiego, co nie było dobrym pomysłem, gdyż brakowało artylerii. Rok później Jabłonowski nie oponował jednak przeciw wkroczeniu do Mołdawii, stanął na czele wojska, stoczył nierozegraną bitwę na terenie hospodarstwa pod Bojanem i wycofał się przez lasy bukowińskie, z obawy przed okrążeniem i z powodu braku zaopatrzenia.

Kolejną wyprawę poprowadził osobiście Jan III Sobieski w 1686 r. Liczył, że w walce z Turkami wesprze go hospodar Konstanty Kantemir, pochodzący ze schrystianizowanych Tatarów budziackich, służący wcześniej jako oficer w armii Rzeczypospolitej. A poza tym stanowisko wielkiego logofety-kanclerza piastował propolski Miron Costin, wykształcony w Rzeczypospolitej, gdzie przebywał jako uchodźca ze swoim ojcem, autor kronik i poematów. Jedno ze swoich dzieł dedykował Janowi III Sobieskiemu.

Król wkroczył do Jass, stolicy hospodarstwa. Witano go tam radośnie i cieszono się ze zrzucenia jarzma tureckiego, lecz Sobieskiego spotkała niemiła niespodzianka. Nie zastał hospodara Konstantyna Kantemira. Wprawdzie deklarował, że gdy Polacy zaczną odnosić sukcesy, stanie po ich stronie, ale w rzeczywistości był w zmowie z Turkami. Zawiódł także jako sojusznik hospodar wołoski Şerban Kantakuzen. Miał połączyć swe siły z Janem III, ale nie pojawił się w miejscu koncentracji. Obawiał się o los swojej rodziny, którą Turcy wzięli jako zakładników.

„Zawalił się filar złudnej budowli, którą Jan III postawił na piasku" – komentował Forst de Battaglia. Natomiast Zbigniew Spieralski dodawał, że obu hospodarów zniechęciły do pomocy Janowi III jego plany osadzenia na tronie mołdawskim, a może i wołoskim, swego syna – królewicza Jakuba.

Do tego rozpoznanie terenu było złe, wojsko posiadało niedokładne mapy, nie



Ruiny zamku w Jazłowcu. Grafika z XIX w.
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

wzięto pod uwagę stepowego charakteru kraju i zaopatrzenia w wodę. Trzymano się więc rzeki Prut. Tatarzy szarpali polską ekspedycję, podpalali step, co dodatkowo wzmagało wielkie upały, a w ich efekcie żołnierze omdlewali, a konie padały.

Sobieski pragnął pozostać w Mołdawii, jednak po pożarze Jass – być może było to podpalenie – w którym spłonęły magazyny wojskowe, nie miał wyjścia i zdecydował się na odwrót, który „przerodził się prawie w katastrofę" – stwierdzał Battaglia. Nie doszło do walnej bitwy z Turkami i Tatarami, na co bardzo liczył Jan III. Jedni i drudzy unikali jej, pełni respektu dla zwycięzcy spod Wiednia. Po nieudanej polskiej wyprawie na tron hospodarstwa wrócił Kantemir.

Tragiczny odwrót

Pięć lat później Sobieski ponownie wyprawił się na Mołdawię. Zbigniew Wójcik, biograf króla, pisał: „Zdołał wprawdzie ów najwybitniejszy wódz epoki staropolskiej zebrać pod swoje znaki prawie 30 tys. żołnierza, ale nie był to żołnierz najlepszy, gnębiony przez ciągłe braki, nękany przez głód i niedostatki spowodowane w głównej mierze nieurodzajami i niechęcią szlachty do finansowania wojny mimo uchwał sejmowych. […] Wojsko jest wygłodzone, zbiedniałe, wyniszczone, jak więc z taką armią wyruszać na nową kampanię wojenną" (Z. Wójcik, „Jan III Sobieski").

Na domiar złego Austriacy nie zamierzali pomagać polskim sojusznikom z Ligi Świętej, ale wyciągnęli korzyści z wyprawy Jana III na Mołdawię, gdyż

eprasa.pl fe6332b98a



Turcy musieli podzielić swoje siły, a dzięki temu armia cesarska pobiła ich pod Salankamen (na północ od Belgradu). Sobieski znów liczył na walną bitwę, która przesądziłaby losy kampanii oraz uwolniłaby hospodarstwo mołdawskie od tureckiego zwierzchnictwa, zamiast tego jednak były niewielkie starcia, cóż z tego, że zwycięskie…

„Rozpoczął się tragiczny odwrót przez lasy bukowińskie, w ciągłej wojnie »szarpanej« z postępującymi za cofającą się armią polską Tatarami. Wyprawa zakończyła się zupełną klęską, jakiej armia Rzeczypospolitej nie zaznała chyba od czasów Żółtych Wód, Korsunia i Piławiec" – oceniał Zbigniew Wójcik. Tak przeminęła sława Jana III Sobieskiego, zwycięzcy spod Wiednia, dla którego mołdawska wyprawa Anno Domini 1691 była ostatnią, którą poprowadził. Hospodar Kantemir rozprawił się z propolsko nastawionymi bojarami, których kazał stracić. Był wśród nich Miron Costin.

Wyprawy Jana III na Mołdawię zakończyły się fiaskiem, jego wojenna sława doznała ogromnego uszczerbku. Nie zdobył tronu dla królewicza Jakuba i nie odzyskał Kamieńca Podolskiego i Podola. A ten drugi cel był także powodem mołdawskich ekspedycji. Król nie chciał podejmować dużego ryzyka atakowania twierdzy kamienieckiej, liczył, że gdy opanuje hospodarstwo mołdawskie i Budziak, drogi zaopatrzenia do twierdzy zostaną przecięte i Kamieniec Podolski się podda. Jan Sobieski nie doczekał odzyskania Podola przez Rzeczpospolitą. Nastąpiło to trzy lata po jego śmierci, na mocy traktatu karłowickiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Polak litewski



Tomasz Stańczyk

Gdy Adam Mickiewicz pisał: „Litwo, Ojczyzno moja!", nie uważał się przecież za etnicznego Litwina, wyznawał natomiast w tych słowach, że czuje się związany z ziemiami Wielkiego Księstwa Litewskiego. „Litwinami byliśmy wszyscy – stwierdzał ks. Walerian Myesztowicz, urodzony w Pojościu koło Poniewieża – w pałacach, dworach i chatach; nikomu to nie przeszkadzało być Polakiem. Przynależność do dwóch narodów stanowiących jedną Rzeczpospolitą była powszechnie przyjęta. Nie było zasady »wyłączności narodowej«. Nie zabraniano Litwinowi być Polakiem ani Polakowi Litwinem. Języki, choć pomieszane, nie dzieliły ludzi – nie istniał »nacjonalizm glotologiczny«: to znaczy nacjonalizm czysto językowy". Jednak wraz z nasileniem się prądów nacjonalistycznych żądano jednoznacznych deklaracji: jesteś Polakiem czy Litwinem? Litewski ruch odrodzenia narodowego uważał, że na historycznej Litwie nie ma Polaków, są tylko spolonizowani Litwini, którzy mają wrócić do tożsamości przodków.

Michał Pius Römer, urodzony na ziemiach etnicznie litewskich, do litewskich korzeni powrócić nie mógł, gdyż ich nie miał. Jego ród był pochodzenia niemieckiego. Jednak sympatyzował z dążeniami Litwinów do niepodległości. A zarazem od 1914 r. służył w Legionach, gdyż równie bliska była mu niepodległość Polski. „Nie jestem ani Litwinem, ani tylko Polakiem – pisał – ale jestem w pewnym mistycznym układzie syntezy i Litwinem, i Polakiem – Polakiem litewskim". Był zwolennikiem wskrzeszenia idei Wielkiego Księstwa Litewskiego – trójnarodowej Litwy ze stolicą w Wilnie, w której równe prawa mieliby Litwini, Białorusini i Polacy. Idea ta była tak samo bliska Józefowi Piłsudskiemu, który jednak podkreślał, że albo politycy litewscy ograniczą swe aspiracje do ziem etnicznie litewskich, albo zgodzą się na trójnarodowe państwo ze stolicą w Wilnie. Nie ograniczyli się i nie zgodzili się. W latach 1918–1920 Römer próbował doprowadzić do zgody i porozumienia między Litwinami i Polakami. Nie udało się to, nie było to możliwe. Postawiony przed wyborem – Polska albo Litwa – Römer, wychowany w kulturze polskiej wybrał Litwę i zamieszkał w Kownie. Służył Litwie jako sędzia, prawnik konstytucjonalista, był profesorem i rektorem uniwersytetu w Kownie. Pragnął, aby Polacy na Litwie mogli zachować swój język oraz tożsamość narodową, nie protestował jednak przeciw ich prześladowaniom, polityce litwinizacji. Protestował natomiast, gdy – zgodnie z wolą większości mieszkańców – Wileńszczyzna i Wilno znalazły się w 1922 r. w granicach Rzeczypospolitej.

Uważał, że Wilno, dawna stolica Litwy, powinno być nią nadal, choć Litwini stanowili jedynie 2 proc. jego mieszkańców. Doczekał się tego w październiku 1939 r., gdy Sowiety podarowały władzom Litwy okupowaną przez siebie Wileńszczyznę z Wilnem. Była to jednak dla Römera gorzka satysfakcja. Miał bowiem świadomość, o czym pisał w prowadzonym przez siebie – po polsku, oczywiście – dzienniku, że litewsko-sowiecki układ przekazujący Wilno, a zarazem instalujący na Litwie sowieckie bazy wojskowe, jest początkiem końca niepodległości państwa, z którym się identyfikował i któremu służył. Ten koniec nastąpił w czerwcu 1940 r. Michał Römer zmarł w Wilnie, ponownie okupowanym przez Armię Czerwoną, pięć lat później, w lutym 1945 r. Jego bliscy krewni, Eugeniusz i Tadeusz, Romerowie uważali się tylko za Polaków. ©℗

eprasa.pl fe6332b98a



1456 r. / Hunyady, węgierski obrońca chrześcijaństwa (2)

Bitwa pod Belgradem w 1456 r. Na czele krzyżowców – Jan Kapistran

FOT. WIKIPEDIA

Pogrom Turków pod Belgradem



Maciej Rosalak

Zdziesiątkowani, popaleni, groźni zwykle janczarzy, którym udało się przeżyć, uciekali w panice śladem swego sułtana – Mehmeta II Zdobywcy

Klęska pod Warną w 1444 r. [patrz: poprzedni numer „HDR"], gdzie Jánosowi Hunyadyemu nie udało się ocalić młodego króla Władysława Jagiellończyka, ale skąd zdołał przedrzeć się z częścią węgierskiej armii, nie zniszczyła jego pozycji w Królestwie Węgier. Przeciwnie – nie tylko zachował dowodzenie wojskiem, lecz także magnaci i szlachta powierzyli mu funkcję regenta kilkuletniego wtedy Władysława Pogrobowca (1440–1457), syna króla Albrechta II Habsburga i Elżbiety – córki króla i cesarza Zygmunta Luksemburskiego. Regencję Hunyady wykorzystał do przeprowadzenia reformy skarbowo-wojskowej, która dzięki pobieraniu dochodów z królewszczyzn pozwoliła na sformowanie armii zaciężnej.

Sułtan turecki Murad II nie zdołał wprawdzie ruszyć na Węgry z wyszczerbionym na bułgarskim wybrzeżu wojskiem, ale atak z jego strony był tylko kwestią czasu. W jeszcze gorszym położeniu znajdowało się Bizancjum, z niemal bezbronnym już, osaczonym od lądu i morza Konstantynopolem. Regent szukał więc sojuszników do wyprawy przeciw Turkom, ale – poza dwoma – ich nie znalazł.

Papież Mikołaj V – w przeciwieństwie do swego poprzednika Eugeniusza IV – nie rozumiał chyba w pełni zagrożenia ze strony imperium Osmanów i znaczenia mobilizacji chrześcijan w ruchu krucjatowym (zwołać krucjatę spróbował dopiero po upadku Konstantynopola w 1453 r.). Wenecja nie chciała zrywać korzystnego kontraktu handlowego z Turkami, Anglicy i Francuzi nie skończyli jeszcze między sobą wojny stuletniej, Kastylia nie zjednoczyła się z Aragonią i Hiszpanie nie ukoronowali rekonkwisty zajęciem Grenady, a Krzyżacy sprawiali nowe kłopoty Polakom. Z Niemiec i z Czech przybyli głównie najemnicy. Serbski despota Jerzy Branković odmówił pomocy mimo zaręczyn swej wnuczki z synem Hunyadyego i mimo odzyskania Serbii dzięki zwycięstwom

eprasa.pl fe6332b98a

węgierskim zimą 1443 r. Tak bał się swego zięcia, którym był… sułtan.

Pomoc okazali ci, którzy borykali się w tym czasie z Turkami – jak Wołosi nad Dunajem. Przysłali oni Hunyadyemu w sukurs 8 tys. zbrojnych. Z kolei albański książę Skanderbeg na czele skromnych sił od 1444 r. po partyzancku wojował wówczas z Osmanami, ale dołączyć do Węgrów – zwłaszcza wobec wrogiej postawy Brankovicia – nie mógł.

Kosowe Pole, 1448

Szkoda, że Skanderbeg nie dotarł w 1448 r. na Kosowe Pole, gdzie na Węgrów mających armię liczącą 22–32 tys. czekał sułtan z dwukrotnie liczniejszym wojskiem. Przypomnijmy, że już raz – właśnie na Kosowym Polu w 1389 r. – Turcy odnieśli przełomowe zwycięstwo nad Serbami, które umożliwiło im umocnienie swej hegemonii na Bałkanach. W 1448 r. do spotkania przeciwników doszło 17 października, gdy rozpoczęły się potyczki straży przednich. Niestety, Hunyady wiódł na spotkanie z Muradem II armię, w której – poza rycerzami z Królestwa Węgier – mógł się oprzeć jedynie na niemieckich i czeskich żołnierzach zaciężnych. Wołosi bowiem w drugim dniu walk, kiedy ważyły się losy bitwy, zdradziecko zaproponowali sułtanowi – przy pośrednictwie wielkiego wezyra – przejście na jego stronę, co zresztą skończyło się dla nich tragicznie. Osman nie dowierzał im i podejrzewał podstęp ze strony węgierskiego wodza. Wiarołomnych Wołochów otoczono zatem i wyrżnięto.

Prawie dwa tygodnie czekał sułtan Murad II na krzyżowców, miał więc czas na wybranie i umocnienie dogodnych pozycji. Miejsce dowodzenia wybrał w centrum ugrupowania, wśród janczarów chronionych wałem i artylerią. Jego syn, 16-letni wówczas Mehmed, zajął lewe skrzydło na czele ciężkiej jazdy spahisów z małoazjatyckiej Anatolii. Na prawym skrzydle tureckim stanęła takaż jazda z położonej na europejskim lądzie Rumelii. Obóz osmański chronili konni, lekkozbrojni akindżi, natomiast przed front armii Turcy wysłali oddziały nieregularnej piechoty – azabów. Hunyady rozciągnął swe siły na całej długości frontu. Sam dowodził centrum z wojskami siedmiogrodzkimi. Prawe



Franciszkański kaznodzieja i inkwizytor Jan Kapistran
FOT. MUZEUM HISTORYCZNE W BAMBERGU



Sułtan turecki Mehmed II Zdobywca FOT. DOMENA PUBLICZNA

skrzydło zajęli Wołosi z księciem Danem, lewe zaś wojska składające się głównie z ciężkozbrojnych rycerzy ochotników węgierskich.

18 października nastąpił atak lewego skrzydła wojsk tureckich. Wojska zakutych w stal rycerzy węgierskich, dysponujące skutecznym wsparciem dział, miały przewagę nad atakującymi Turkami. Starcie zostało odparte z dużymi stratami atakujących, którzy jednak okazali się zbyt liczni, by ich rozbić. Po trwającej całą noc kanonadzie artylerii obu stron 19 października do boju ruszyła konnica anatolijska, która zaczęła zyskiwać przewagę nad prawym skrzydłem armii Hunyadyego. Krytycznej sytuacji nie odwracały posiłki oddziałów węgierskich i najemnych. I wtedy właśnie Wołosi zdecydowali się przejść na stronę osmańską.

Pozbawiony nagle czwartej (lub nawet trzeciej) części armii, faktycznie bez możności obrony pozycji na prawej stronie, wytrawny, realistycznie oceniający przebieg bitwy wódz uznał, że wszelkie szanse zwycięstwa zostały stracone. Rozkazał najemnikom z Czech i Niemiec natrzeć na janczarów i samego sułtana, sam zaś zebrał pozostałych przy życiu wojaków i opuszczając tabory, umknął z pola bitwy. Ocalił więc przynajmniej spory zastęp rycerzy z myślą o kontynuacji wojny z muzułmanami. Bardzo to przypomina sytuację pod Warną sprzed czterech lat…

20 października Turcy szturmowali jeszcze tabory bronione przez Czechów i Niemców oraz tych Węgrów, którzy nie zdołali ujść z regentem. W drugiej bitwie na Kosowy Polu padło i zostało wziętych do niewoli łącznie ok. 17 tys. zbrojnych po stronie węgierskiej i 4 tys. Turków.

Tak opisywał wynik bitwy późniejszy janczar Serb Konstanty z Ostrowicy: „Począł jest boj we czwartek rano a bili się a w sobotę do nieszporów. Jezni pogańscy na głowę porażeni beli, ale się potem poprawili. Widząc to Gubernator, obrócił się na dworzany, a tam na głowę porażony, iż samowtor ledwo uciekł do gor, a ini wszyscy na placu zostali, którzy są zbici na głowę. Cesarz Morat rozkazał wszystkie głowy na kopce skadać. A tak z zwycięstwem jał z Kosowa s pola, a tako si ta nieszczięsna a żałościwa bitwa dokonała. Gubernator przyjechał do iny krainy imieniem Zagorze Pambdamosowicz Stefan, i przywiedzion Janku przedeń u a on przywiód go Despotowi do Smidorowa…”.

Wspomnianym despotem był oczywiście Jerzy Branković, który uwięził Jánosa Hunyadyego do czasu, gdy uzyskał od niego zawarcie korzystnego dla Serbii traktatu. Nasz bohater stracił armię, zaufanie rodaków, a w 1452 r. także stanowisko regenta przy nieletnim królu Władysławie Habsburgu. Wydawało się, że stracił też szanse na ponowne

eprasa.pl fe6332b98a

wzniesienie sztandaru krucjaty przeciw Osmanom…

Belgrad, 1456

W 1451 r. zmarł Murad II, a jego następca – jeszcze bardziej wojowniczy i okrutny Mehmed II – pozabijał żyjących jeszcze braci wraz z żonami, a następnie zabrał się do dzieła swego życia: zdobycia Konstantynopola. Jak najszybciej wzniósł nad Bosforem twierdzę Rumeli Hissar (Europejski Zamek, zwany Podrzynającą Gardło), przygotował potężne działa oblężnicze oraz plan zaatakowania stolicy Bizancjum zarówno od strony lądu, jak i od niedostępnego dotąd Złotego Rogu – zatoki chroniącej miasto od północy. Plan i jego wykonanie okazały się skuteczne. Wyludniony, osamotniony Konstantynopol padł 29 maja 1453 r., ostatni cesarz Konstantyn XI poległ, a przeszło tysiącletni „drugi Rzym" – Bizancjum – przestał istnieć. Przed Mehmedem II, zwanym odtąd Zdobywcą, jeszcze szerzej otwarła się droga do podboju Europy…



Pełna zbroja rycerska z XV w., kiedy stała się najbardziej popularna

FOT. WIKIPEDIA

Giovanni da Capestrano (1386–1456) – zwany z polska Janem Kapistranem – był reformatorem franciszkańskim, porywającym tłumy kaznodzieją, inkwizytorem, a wreszcie „świętym żołnierzem", przywódcą krzyżowców. Na prośbę papieża Kaliksta III zorganizował w latach 1454–1456 krucjatę, aby ratować Wiedeń i Rzym przed Mehmedem II Zdobywcą. Wśród rycerzy, którzy usłuchali jego sugestywnych wezwań, było sporo Polaków, Niemców i Czechów, Kapistran bowiem właśnie dotarł z Wrocławia do Krakowa, gdy nadeszły alarmujące wieści o poczynaniach sułtana. Warto przypomnieć, że pod Wawelem przemawiał do mieszkańców, których wielu złożyło śluby zakonne, założył dla obserwanckiej gałęzi Zakonu Braci Mniejszych klasztor i kościół pod wezwaniem św. Bernardyna ze Sieny oraz udzielił ślubu Kazimierzowi Jagiellończykowi z Elżbietą Rakuszanką.

W 1456 r. Kapistran ruszył nad Dunaj z zebranymi krzyżowcami i połączył się w 50-tysięczną armię wraz z wojskiem, które udało się sformować Jánosowi Hunyadyemu. Ponieważ nie był on już regentem i nie mógł ogłaszać pospolitego ruszenia całego rycerstwa węgierskiego, a 16-letni już król Władysław Habsburg Pogrobowiec uciekł ze stronnikami do Wiednia, siedmiogrodzki możnowładca zaciągnął na własny koszt, kogo się dało w kraju i za jego granicami, uzbroił nawet poddanych. Dobiegał właśnie siedemdziesiątki – podobnie jak Kapistran. W tamtych czasach ludzi w takim wieku uznawano za zgrzybiałych starców, a tu krucjatę wiodło dwóch takich starców – ale z jak wielką siłą woli, determinacją, z jakim męstwem wspieranym przez ogromne doświadczenie…

Belgrad – położony na wzgórzu u zbiegu Sawy z Dunajem – był od niepamiętnych czasów twierdzą. Rzymskie Singidunum stało się jednym z głównych ośrodków prowincji Mezja, a w XV w. należało do Królestwa Węgier, strzegąc jego południowych granic i strategicznego węzła dróg wiodących na północ ku centrum Europy i na południe, w głąb Bałkanów. Mehmed stanął pod murami twierdzy 4 lipca, wiodąc podobno aż 150 tys. ludzi i 300 dział, w tym 22 wielkiego kalibru, przeznaczonych do burzenia murów. Dwanaście dni trwało bombardowanie, które w gruzy obróciło mury belgradzkie, ale wszystkie ataki na miasto odpierała siedmiotysięczna załoga Belgradu, złożona z Węgrów i Serbów.

Dowodził nią szwagier Hunyadyego – doświadczony i dzielny możnowładca węgierski Michał Szilagyi. Jego żołnierze chronili się podczas tureckiej kanonady w improwizowanych schowkach, a na ruiny murów – jak w XX-wiecznej wojnie piechurzy ze schronów do rowów strzeleckich – ruszali natychmiast po przerwaniu ostrzału. Ubywało ich jednak, a nadal żyjący coraz bardziej cierpieli z powodu głodu i epidemii tyfusu. Wypatrywali odsieczy jak wybawienia. Doczekali się niemal w ostatniej chwili.

Rzeź janczarów

Nocą z 13 na 14 lipca wojsko Hunyadyego i Kapistrana rozgromiło zewnętrzny, strzegący drogi do Belgradu pierścień osmańskiego oblężenia, a następnie zniszczyło wrogą flotyllę na Dunaju. Dzięki temu przedarło się do Belgradu, dostarczyło zapasy żywności, zdecydowanie wzmocniło obronę, ale nie przerwało muzułmańskich ataków. Największy z nich ruszył 21 lipca. Janczarzy pokonali mury i – aby dostać się do centrum twierdzy – przedostawali się przez wąwóz dzielący Nowy i Stary Belgrad. Hunyady przewidział to i nakazał wymoszczenie wąwozu suchą słomą i chrustem, które polano smołą, żywicą i ropą naftową. Gdy wrogowie wypełnili wąwóz, podłożono ogień… Liczni żołnierze sułtana zginęli w płomieniach, innych stratowali uciekający w panice towarzysze oraz wyrżnęli kontratakujący obrońcy.

Gdy rankiem 22 lipca ukazało się makabryczne pobojowisko, w spontanicznym natarciu chrześcijanie ruszyli ponownie. Podobno obawiający się kontruderzenia tureckiego Kapistran usiłował ich zatrzymać, lecz bezskutecznie. Westchnął wtedy słowami św. Pawła z Listu do Filipian: „Ten, który rozpoczął w was dobre dzieło, doprowadzi je do końca…", dosiadł konia i z krzyżem w ręku dodawał animuszu atakującym, którymi starał się dowodzić Hunyady. Zdaje się jednak, że wypadki toczyły się siłą zawziętości chrześcijan i paniki muzułmanów. Uciekający wpadali na jako tako zwarte tureckie oddziały, rozpraszali je i w końcu cała armia Mehmeda II Zdobywcy poszła w rozsypkę, uciekając wraz z rannym w nogę sułtanem. Pozostawiła 24 tys. poległych w polu oraz obóz z cennymi łupami – m.in. z setką dział.

Dzwony kościelne biły wtedy w całym chrześcijańskim świecie, czcząc jego ocalenie. I – zgodnie z rozporządzeniem papieża Kaliksta III – biją w samo południe codziennie do dziś.

eprasa.pl fe6332b98a

Zaraza tyfusu dosięgła jednak licznych zwycięzców, w tym obu przywódców chrześcijańskich: János Hunyady zmarł już 11 sierpnia, a Jan Kapistran – 23 października 1456 r. Natomiast skupiona w Budzie przy Pogrobowcu grupa magnatów doprowadziła do skazania na śmierć obu synów Hunyadyego: 16 marca 1457 r. wyrok wykonano na Władysławie, a 15-letni Maciej pozostał w więzieniu. Powszechne oburzenie ogarnęło szlachtę. Władysław Habsburg uciekł do Pragi, gdzie zmarł w listopadzie 1457 r., a Macieja obwołano królem węgierskim. To jakby ostatnie zwycięstwo jego ojca.

Serbowie dostali się pod osmańskie panowanie już w roku 1459. Albania broniła się jeszcze 12 lat po śmierci na malarię niezłomnego Skanderbega w 1468 r. Natomiast skuteczna obrona Belgradu przyniosła Węgrom ponad 50-letni spokój od Turków oraz utrzymanie tej twierdzy do 1521 r. Dopiero klęska pod Mohaczem w 1526 r. i śmierć Ludwika Jagiellończyka rozpoczęła okres dominacji Osmanów (i Habsburgów) nad spuścizną św. Stefana.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Konny posąg Skanderbega w Tiranie FOT. ADOBE STOCK

Miles Christi



Maciej Rosalak

Nazywano go Obrońcą Wiary Chrześcijańskiej (Defensor Christianitatis), Zapaśnikiem Chrystusa (Athleta Christi), Żołnierzem Chrystusowym (Miles Christi), Wojownikiem Chrystusowym (Bellator Christi). Dziękczynne modły wznosili za niego papież, doża wenecki, król Aragonii i rzesze chrześcijan w całej Europie. Szkoda, że jeśli dziś u nas komuś się kojarzy, to na ogół z albańskim koniakiem Skënderbeu, któremu daleko jednak do marki Courvoisier.

Gjergj Kastrioti Skënderbeu (1405–1468) – zwany Jerzym Kastriotą Skanderbegiem – jako dziewięcioletni syn prawosławnego feudalnego władcy ze środkowej Albanii został wraz z trzema braćmi zakładnikiem Turków i zmuszony do przejścia na islam. Wykształcony w szkole paziów sułtana, z czasem odnosił dla niego wielkie sukcesy na polach bitew w Azji i na Bałkanach, walcząc z Grekami, Serbami i Węgrami. Zyskał sławę i przydomek Skander równający go z Aleksandrem Wielkim. Końcówkę „beg" dołożono po nadaniu mu tytułu wysokiego urzędnika wojskowego – beja (bega). Został też walim (gubernatorem) w środkowej Albanii. Podczas zimowej wyprawy Hunyadego (1443) wraz kilkuset rodakami opuścił jednak Osmanów podczas bitwy pod Niszem, wrócił do Albanii i zajął rodzinną Kruję. Zjednoczył albańskie księstwa przeciw Turkom i po odrzuceniu islamu został katolickim księciem Albanii i Epiru. Ćwierć wieku potrafił skutecznie z nimi walczyć, stojąc na czele wojsk swej górskiej ojczyzny. Wygrał z Osmanami 25 bitew (przegrał tylko jedną), pokonywał w polu armie Murada II i Mehmeda II, parokrotnie zmuszał najeźdźców do odstępowania spod murów Kruji. Jego zwycięstwa chroniły Italię, a zwłaszcza Stolicę Apostolską, Wenecję i śródziemnomorskie posiadłości potężnego króla Aragonii Alfonsa V. Zyskał ogromną sławę i rozgłos w Italii i w całej Europie.

Dziś utożsamia się go u nas z marką albańskiego koniaku, ale w XVI-wiecznej „Kronice wszystkiego świata" Marcin Bielski poświęcił mu opowieść „O Skanderbegu Macedonie albańskim książęciu". W 1569 r. Cyprian Bazylik przetłumaczył na język polski i wydał drukiem w Brześciu Litewskim wielką biografię Maryna Barlecyusa „Historya o żywocie y zacnych sprawach Jerzego Kastryota, którego pospolicie Szkanderbegiem zowią...". W 1615 r. okolicznościowy rymotwórca Marcin Paszkowski w utworze „Dzieje tureckie i utarczki kozackie z Tatary" pisał: „Bierzmy sobie na przykład ony cne Albany, / W niewieluchnym, lecz w możnym poczcie zacne pany. / Którym święty a zacny książę rozkazował, / Czytajcie, jak im często zawoje zejmował / Szkandeberk / Chrystusowym który był rycerzem, / Nie zwiódł tego poganin swym zgrabnym przymierzem...". W XIX w. Zygmunt Miłkowski (Teodor Tomasz Jeż) poświęcił mu trzytomową powieść „O byt". Fasadę Złotej Kamienicy w Gdańsku (XVII w.) – projektu niderlandzkiego architekta Abrahama van dem Blocke – zdobi płaskorzeźba z konterfektem albańskiego wodza.

Jego upamiętnień w Europie nawet nie próbuję wyliczyć. W XVI w. Pierre de Ronsard stworzył o nim poemat, w XVIII w. Antonio Vivaldi skomponował operę „Skanderbeg", a Wolter ubolewał, że bohater z Albanii nie był wodzem w Konstantynopolu roku 1453. Cóż, mógłby też ubolewać, że to mała Albania, a nie wielka Francja, „pierwsza córa Kościoła", stanęła w obronie Europy i chrześcijaństwa... ©℗

eprasa.pl fe6332b98a

W rogatywkach na nieludzkiej ziemi



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Epopeja Armii Polskiej w ZSRS (1941–1942) jest niezwykle ciekawym epizodem w dziejach polskiego munduru wojskowego



Naczelny Wódz Władysław Sikorski z inspekcją w 5. Dywizji Piechoty. Żołnierze ubrani w nowe płaszcze brytyjskie oraz polskie przedwojenne wz. 36. Na głowach rogatywki polowe wz. 37. Tatiszczewo, 14 grudnia 1941 r. Generał Sikorski ma na sobie mundur eksponowany obecnie na wystawie stałej w MWP w Warszawie FOT. MWP

Artykuł 12. polsko-radzieckiej umowy wojskowej, podpisanej 14 sierpnia 1941 r., stanowił: „Uzbrojenie, ekwipunek, umundurowanie, sprzęt motorowy itd. będą dostarczane, w miarę możności przez: a) Rząd ZSRR z jego własnych zasobów; b) Rząd Rzeczypospolitej Polskiej z dostaw przyznawanych na podstawie Lend and Lease Bill. W tym ostatnim wypadku Rząd ZSRR okaże możliwą pomoc w transporcie". Pomoc ta pozostawiała jednak wiele do życzenia. Angielskie sorty dostarczane były z dużym opóźnieniem. W początkowym okresie formowania panowała ogromna pstrokacizna, chociaż oblicze armii sukcesywnie się poprawiało. Zabiedzeni, odziani w łachmany i nieobuci uciekinierzy z „nieludzkiej ziemi" po otrzymaniu nowych sortów przeistaczali się w żołnierzy.

Autor artykułu zamieszczonego w armijnej gazetce „Orzeł Biały" we wrześniu 1942 r., a więc już po ewakuacji podkomendnych gen. Władysława Andersa do Iranu, tak zapamiętał tamte dni: „Formowano kompanie, bataliony, pułki, dywizje. Namioty już nie mieściły wciąż przybywających. Spano po krzakach, na piasku, na drodze. Spisy, wykazy żywnościowe, meldunki gryzmolono na skrawkach papieru. Na razie improwizowano z niczego. A oddziały ruszały na ćwiczenia, podciągały się, cywilne nawyki szły w kąt. Żołnierz znowu stawał się żołnierzem, i to całą gębą. Wewnątrz w duszy i sercu. Bo na zewnątrz było to jeszcze – pożal się Boże! – zbiegowisko oberwańców i włóczęgów spod ciemnej gwiazdy. Mundur był rzadkością niczym rodzynki w chudym cieście!".

W listopadzie dotarły wreszcie upragnione transporty z umundurowaniem (przede wszystkim płaszcze angielskie) i w grudniu 1941 r., kiedy Armię Polską w ZSRS wizytował Naczelny Wódz gen. Władysław Sikorski, sytuacja wyglądała już o niebo lepiej, chociaż nadal żołnierze prezentowali się nieco egzotycznie. „Na dany znak ruszają oddziały. Na czele idzie gen. Wołkowicki [Jerzy Wołkowicki, zastępca dowódcy 6. Dywizji Piechoty – przyp. red.] z adiutantem, za nim pułki piechoty, artyleria, oddziały specjalne, potem 7. Dywizja Piechoty. Kompania za kompanią, pluton za plutonem, maszerowali polscy żołnierze, ubrani w sowieckie „papachy" albo „budionówki" z zaszytymi szpicami i naszytymi wielkimi orłami koloru khaki, w sowieckich, długich butach, w angielskich płaszczach i rękawicach" („Dywizja Lwów. Wspomnienia żołnierskie z ZSRS i Iraku 1941–1943").

Sowieckie i angielskie elementy umundurowania nie były jedynymi wówczas używanymi. Na archiwalnych zdjęciach z defilady odbytej przed Naczelnym Wodzem dwa dni później w Tatiszczewie żołnierze 5. Dywizji Piechoty maszerują w regulaminowych przedwojennych polskich płaszczach i rogatywkach polowych wz. 37!

Kilka miesięcy po wizycie Sikorskiego mundurowanie armii było już zasadniczo zakończone. Uwiecznieni na fotografiach żołnierze z 8. Dywizji Piechoty, odpływający w marcu do Iranu (tzw. pierwsza ewakuacja), mają na sobie przepisowe brytyjskie battledressy i furażerki oraz regulaminowy parciany ekwipunek. Dostrzec można także hełmy Mk II. Podobnie prezentują się pododdziały 5. Dywizji Piechoty, wciąż pozostającej na terytorium ZSRS i stacjonującej w kirgiskim Dżalalabadzie (wiosna 1942 r.). ©℗

eprasa.pl fe6332b98a

Chińska broń palna



Pierwsze militarne wykorzystanie prochu w Chinach miało miejsce ok. IX w. n.e. Wiadomo m.in. o przenośnych wyrzutniach mających postać drewnianych kratownic, w których umieszczano strzały zakończone żelaznymi grotami; wystrzeliwano je za pomocą prochu strzelniczego. Używano także miotanych ręcznie pocisków/oszczepów z przymocowanymi na wysokości grotu ładunkami wybuchającymi czy granatów wypełnionych prochem i wyposażonych w zapalniki. Broń tę zastosowano np. podczas inwazji na Japonię (II poł. XIII w.); w składzie atakujących sił mongolskich znalazł się liczny kontyngent chiński. Ciekawym chińskim wynalazkiem były miny, zarówno lądowe, jak i morskie, a także bardzo oryginalna broń – specjalne włócznie z przymocowanymi na końcach cylindrami z ładunkiem prochowym wewnątrz. Służyły do walki na najbliższym dystansie, podczas zetknięcia się z wrogiem inicjowano zapłon, w wyniku którego z pojemnika wyrzucane były drobne pociski lub toksyczne substancje.

W okresie dynastii Yuan w oddziałach pieszych znajdowali się strzelcy wyposażeni w rusznice, zazwyczaj brązowe, ale bywały też żelazne, posiadające lufę i komorę nabojową oraz prymitywną kolbę. Najstarszy dobrze datowany egzemplarz ręcznej broni palnej pochodzi właśnie z Chin (1351 r.). W wiekach XIII i XIV potwierdzone jest użycie broni palnej w trakcie walki morskiej, a właściwie rzecznej, jako że starcia na śródlądowych ciekach wodnych były w Chinach niezwykle częste i wyjątkowe pod względem skali. Obfitość rozmaitej broni pozwalającej prowadzić walkę na dalszym dystansie spowodowała, że w przeciwieństwie do europejskich bitew morskich, w Chinach już w XIII w. abordaż i walka wręcz na pokładach okrętów miały dużo mniejsze znaczenie. ©℗

Karabinek M1

Opracowanie tej konstrukcji wynikało z potrzeby lekkiej i poręcznej broni do ochrony osobistej, ale o większej sile rażenia niż zwykły pistolet. W oparciu o istniejącą już amunicję w zakładach Winchestera zbudowano nowy nabój pośredni kal. 0,30 cala (7,62 x 33 mm). Także tam zaprojektowano w bardzo krótkim czasie dostosowaną do niego broń. Carbine, Caliber .30 M1 wprowadzono do uzbrojenia armii amerykańskiej w 1941 r. Nazwa „karabinek" była typologicznie niepoprawna, oznacza bowiem skróconą wersję standardowego karabinu, a M1 był konstrukcją nową i oryginalną. Nazwa „karabinek" miała odróżnić broń od standardowego karabinu M1 Garand, który strzelał nabojem tego samego kalibru, choć znacznie silniejszym (7,62 x 63 mm). Samopowtarzalny M1 działał na zasadzie odprowadzania gazów prochowych przez boczny otwór w lufie i zasilany był z pudełkowego, 15-nabojowego magazynka; ważył niecałe 2,5 kg. Okazał się nad wyraz udany i znalazł szerokie zastosowanie na pierwszej linii. Dla spadochroniarzy opracowano wersję M1A1 wyposażoną w składaną kolbę, chwyt pistoletowy i osadę do bagnetu. ©℗





Kapiszonowe colty

Samuel Colt jest twórcą nowoczesnego rewolweru. Udało mu się zsynchronizować obroty bębna w taki sposób, że za każdym odciągnięciem kurka na oś lufy naprowadzana była kolejna komora z ładunkiem, czyli prochem i ołowianą okrągłą kulą. Z tyłu każdej komory znajdował się kominek, na który nasadzano kapiszon. Pierwszym rewolwerem Colta był pięciostrzałowy Paterson z 1836 r. Miał charakterystyczną oktagonalną lufę i składany język spustowy, który wysuwał się w momencie odciągania kurka. Pod lufą umieszczony był składany zawiasowy pobojczyk do ubijania ładunków w komorach. Ta 0,36-calowa broń zdobyła sobie uznanie w Republice Teksasu podczas zmagań z Meksykanami. Następcą Patersona był model Walker z 1847 r., który nazwę zawdzięcza byłemu teksaskiemu rangersowi i oficerowi Armii USA. Była to już broń sześciostrzałowa, z klasycznym językiem spustowym osłoniętym kabłąkiem. Kaliber 0,44 cala zapewniał jej potężną moc rażenia. Kolejny model, tzw. dragoński, różnił się od poprzednika nieco mniejszą masą i wymiarami. Broń produkowano w trzech nieznacznie różniących się wersjach. Równocześnie rozpoczęto wytwarzanie znacznie zmniejszonej wersji rewolweru, tzw. Colt Pocket.

W 1851 r. pojawił się najsłynniejszy kapiszonowy rewolwer Colta – model Navy, który zrobił karierę również w Europie. Był lżejszy i smuklejszy od Dragona, w kalibrze 0,36 cala. Nazwa wiąże się z wygrawerowaną na bębnie nabojowym sceną bitwy morskiej pomiędzy Teksańczykami i Meksykanami. ©℗

eprasa.pl fe6332b98a

1885 r. / Od napompowanego węża Dunlopa do dziś



Zużyte opony stają się problemem ekologicznym
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Opony



Tymoteusz Pawłowski

Opony wydają się niezbyt ważnym elementem samochodu. Jednak ich rozwój miał olbrzymi wpływ na kształtowanie się automobilizmu, dużo większy niż rozwój silników, podwozi czy nadwozi

Pewne rozwiązania techniczne traktujemy jako naturalne i nie zwracamy na nie większej uwagi. Jednym z nich jest koło, warto więc przypomnieć, że zostało ono zastosowane kilka tysięcy lat temu w Mezopotamii, przede wszystkim jako koło garncarskie. Najstarszy dowód istnienia pojazdu kołowego datowany jest na lata 3635–3370 p.n.e. i można go obejrzeć w Muzeum Archeologicznym w Krakowie, gdyż znajduje się na „wazie z Bronocic". Za wcześnie jednak, aby chwalić się, że to Polacy wynaleźli samochód. Otóż narysowanym na wazie pojazdem był wóz zaprzężony w tura, a przede wszystkim tak dawno temu w świętokrzyskich Bronocicach nie mieszkali Polacy, tylko przedstawiciele tajemniczej kultury pucharów lejkowych.

5500 lat później – w 1885 r. – został wyprodukowany nowoczesny rower, który natychmiast zdobył olbrzymią popularność i przyprawił o ból głowy Johnniego Dunlopa jr. Jego ojciec – który był wziętym dublińskim weterynarzem – szybko zdiagnozował, że bóle głowy są spowodowane jazdą rowerem po bruku. Koła rowerowe nie miały bowiem żadnej amortyzacji.

Doktor John Dunlop opasał więc drewniane koła roweru swojego syna napompowanym wężem ogrodowym i w 1888 r. – po kilku latach eksperymentów – opatentował to rozwiązanie jako oponę pneumatyczną. Wkrótce okazało się jednak, że wiele lat wcześniej – w 1847 r. – podobne rozwiązanie zastrzegł Robert William Thomson. Thomson nie trafił jednak ze swoim wynalazkiem – nazwanym przez niego „powietrzne koło" – w odpowiedni czas (ale i tak żył dostatnio z innych swoich wynalazków, m.in. wiecznego pióra).

Kilka lat później pojawiła się francuska konkurencja w postaci Édouarda Michelina, który zaczął produkować opony dętkowe: wewnętrzna dętka amortyzowała wstrząsy, zewnętrzna opona zapewniała wytrzymałość mechaniczną. Kolejne zmiany nastąpiły w początkach XX w.: zastosowano bieżnik poprawiają-

eprasa.pl fe6332b98a

cy bezpieczeństwo oraz dodano sadzę do kauczuku, zmieniając kolor opon z szarego na czarny.

Opony diagonalne...

Nic jednak nie przyczyniło się do rozwoju motoryzacji tak bardzo jak pierwsza z wojen światowych. Przed 1914 r. auto był zabawką bogaczy, po 1918 r. – narzędziem pracy szarego człowieka. Przez te cztery lata na jaw wyszły również wszystkie wady samochodów. Większość z nich łatwo poprawiono: wzmocniono silniki, zawieszenie, podwozie, nadwozie itp. Nie poradzono sobie jedynie z oponami.

Ich wytrzymałość zależała od sztywności bocznych ścian, co uzyskiwano dzięki napompowaniu dętki pod dużym ciśnieniem. Nośność takich wysokociśnieniowych opon była jednak niewielka – a niebezpieczeństwo eksplozji mocno napompowanej opony duże – stąd pojazdy cięższe musiały mieć opony z lanej gumy. Samochody osobowe były więc mało komfortowe, samochody ciężarowe – powolne, a samochodów terenowych nie było wcale: zjechanie w bezdroża kończyło się ugrzęźnięciem albo pękniętą dętką, w zależności od tego, czy korzystało się z opon lanych czy pneumatycznych. Brak właściwych opon tłumaczy również zastój w rozwoju lotnictwa oraz olbrzymią popularność motocykli: dzięki niższej masie i mniejszym obciążeniom opon ryzyko szybkiej jazdy na nich było mniejsze niż w samochodach.

Prace nad wytrzymałymi oponami posuwały się dość powoli. Jeszcze przed wojną wzmacniano ściany opon dodatkowymi warstwami gumy, płótna czy azbestu. Badania wykazały, że najlepsze rezultaty dają pojedyncze włókna – zwane kordem – działające niczym osnowa. Pasma osnowy przecinały się diagonalnie – czyli ukośnie, pod kątem ok. 40 stopni – i budowały coś w rodzaju kratownicy zwiększającej sztywność i wytrzymałość ścian opon.

Wytrzymałe opony diagonalne weszły na rynek na przełomie lat 20. i 30. XX w., zmieniły oblicze przemysłu motoryzacyjnego. Samochody osobowe mogły być teraz szybkie, samochody ciężarowe również zwiększyły swoją prędkość, ale przede wszystkim kilkakrotnie zwiększyła się ich nośność. Poprawił się również komfort podróżowania, co miało duże znaczenie praktyczne, bo zmniejszało zużywanie się nadwozia i silnika. Nowe opony oznaczały również wyrok śmierci dla motocykli, które nie miały od tej pory żadnej przewagi nad autami.

Wzmocnione ściany boczne oznaczały, że sztywność opony nie zależy już od wtłoczonego weń powietrza. Pojawiły się opony niskociśnieniowe, dzięki którym samochody mogły wjechać w teren bez obaw złapania gumy. Żaden teren nie był już „zbyt grząski" – w razie potrzeby spuszczało się część powietrza z kół i uzyskiwało większą powierzchnię jezdną.

Lotnictwu opony niskociśnieniowe przyniosły większą rewolucję niż późniejszy o kilkanaście lat silnik odrzutowy. Do tej pory koła samolotowe musiały być albo bardzo duże, albo ryzykowało się eksplozję mocno napompowanej opony podczas lądowania. Samoloty były więc albo małe, albo powolne (bo olbrzymich kół nie można było schować), ewentualnie startowały z wody. Zmieniło się to wraz z wprowadzeniem opon diagonalnych.

... i radialne

Francuski Michelin pracował już w tym czasie nad zupełnie innymi oponami, ale wyniki badań opatentował dopiero po wojnie, a wprowadził je do sprzedaży w 1949 r. Określa się je jako radialne, czyli promieniowe, ponieważ włókna osnowy są przedłużeniem promienia koła. W skrajnych przypadkach kord może nawet przybrać postać metalowych listew, a wówczas guma ścianek nie pełni już żadnej funkcji nośnej. Jako że włókna kordu nie krzyżują się i jest ich mniej niż w oponie diagonalnej, nie nagrzewają się podczas szybkiej jazdy. Opona diagonalna musi być w pewien sposób symetryczna (jej szerokość zbliżona jest do wysokości profilu ścianek), opona radialna może mieć dowolnie niski profil i dowolną szerokość bieżnika. „Radiale" są wprost wymarzone do jeżdżenia po asfalcie, którego po drugiej z wojen światowych było w Europie coraz więcej.

Opona radialna przyjęła się błyskawicznie w Europie, musiała jednak długo czekać na sukces w Ameryce. Powód był prozaiczny: opony to produkt o olbrzymim znaczeniu wojskowym i ich fabryki w okupowanej przez Niemców Europie zostały doszczętnie zniszczone przez alianckie bombowce. Europejczycy musieli odbudować linie produkcyjne, zbudowali więc linie przystosowane do produkcji nowoczesnych opon radialnych. Amerykanom się to nie opłacało...

Na takich jeździli również Polacy, ponieważ „wyzwolili" nas Rosjanie, którym nie zależało na nowych technologiach.



Reklama opon Dunlop z 1920 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

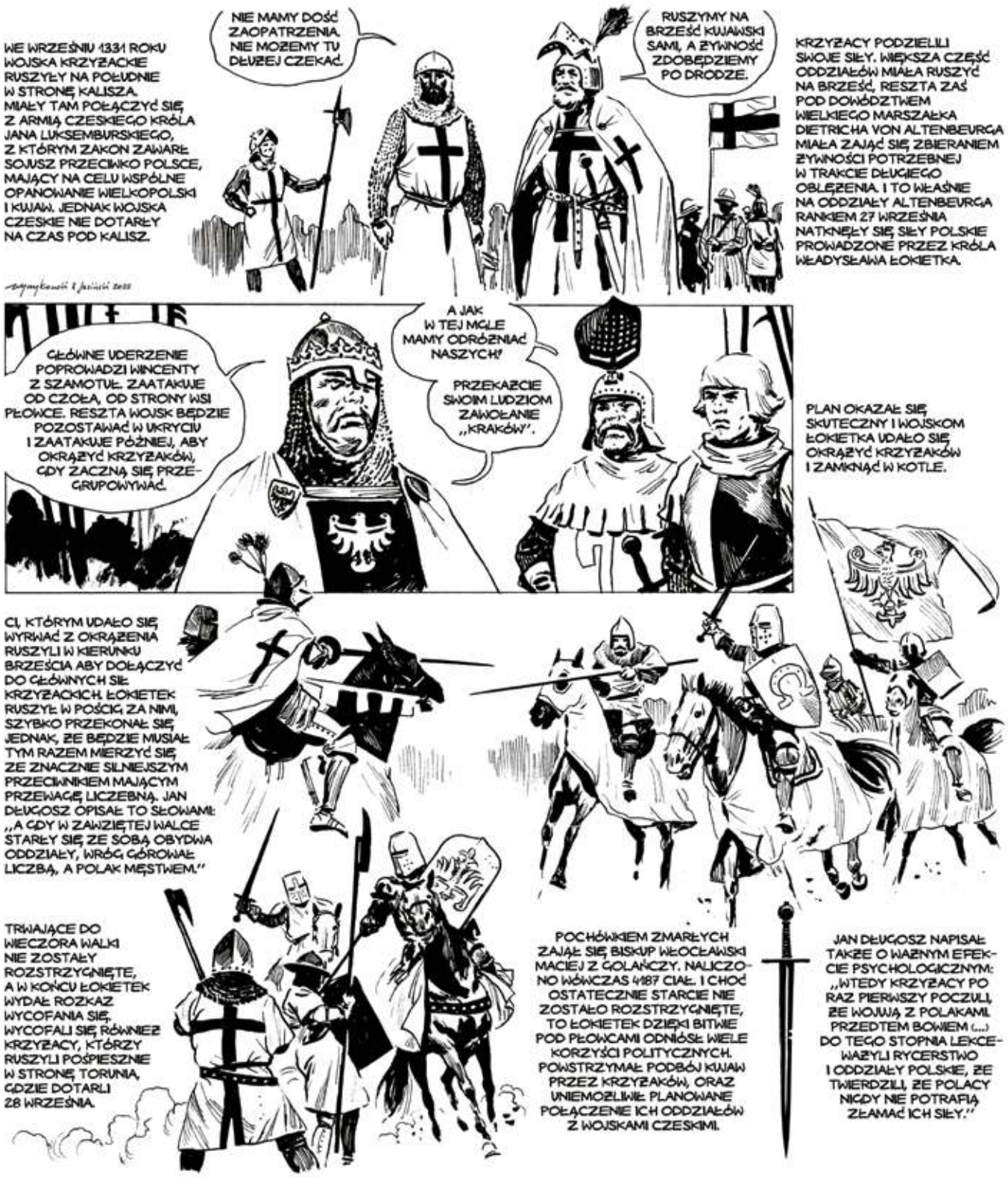
Opony diagonalne lepiej sprawdzają się na bezdrożach i w samochodach ciężarowych, a ich najważniejsza wada – powodowanie większego zużycia paliwa – była nieistotna w kraju z tak dużą liczbą szybów naftowych. W PRL produkowało się więc po staremu, a rewolucja oponiarska nastąpiła pod koniec lat 60., wraz z zakupem licencji na nowoczesne samochody Fiata. I tak Polacy wyprzedzili Amerykanów, którzy zaczęli rezygnować z opon diagonalnych dopiero po kryzysie naftowym w 1973 r.

Opony diagonalne wciąż są wśród nas. Radialne dla samolotów pojawiły się dopiero w latach 80. XX w., a dla motocykli – jeszcze później. Starszy typ opon bywa lepszy dla samochodów terenowych i wciąż lepiej sprawdza się w najcięższych maszynach, chociażby w ciągnikach rolniczych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fe6332b98a

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński



eprasa.pl fe6332b98a



Sławomir Cenckiewicz

/ Felieton

Fałsz „Gierka”

Chyba lepiej, kiedy powstają złe książki (jak ostatnio ta o Józefie Mackiewiczu) niż złe filmy, tak jak ten „Gierek” w reżyserii Wojciecha Węgrzyna i produkcji Heatcliffa Janusza Iwanowskiego (tak, tego od „demaskatorskich” książek o braciach Kaczyńskich jako macherach od FOZZ i filmu „Dramat w trzech aktach”!). Pewnie wiecie, dlaczego tak sądzę: bo film i obraz w dzisiejszych czasach znaczą więcej niż książka, która stała się rozrywką znaczącej mniejszości. Film i obraz kształtują wyobrażenia, świadomość i niestety obszary wiedzy.

Nie daj Bóg prowadzać dziatwę na film „Gierek”! Zajmując się ponad 20 lat prawie wyłącznie okresem lat 70. i 80., bezpieką i partią, Sowietami i transformacją, nie wiedziałem, że:

1. I sekretarz KC PZPR Edward Gierek był zwolennikiem niepodległości Polski;

2. Dążył do „jugosłowianizacji” PRL;

3. Chciał energetyki atomowej, a nawet broni jądrowej, patronując poufnym pracom w tej sprawie w sekrecie przed Sowietami;

4. Był rozpracowywany przez SB, a nawet, że cały aparat bezpieczeństwa spiskował przeciwko niemu;

5. Był na „ty” z prymasem Wyszyńskim, z którym w całkowitej poufności i w duecie prowadził naród do niepodległości;

6. Zadłużył Polskę, bo chciał ją uwolnić od ZSRS;

7. Miał wielki szacunek dla Kościoła katolickiego, a na nowej drodze życia (kiedy został szefem PZPR) błogosławiła mu matka, przed którą klęczał;

8. Odbył spotkanie ze stoczniowcami Stoczni Gdańskiej im. Lenina w Gdańsku na terenie stoczni (rozmawiając bezpośrednio – jak sugeruje film – z Anną Walentynowicz), a nie 25 stycznia 1971 r. w siedzibie Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Gdańsku;

9. Podczas spotkania w Gdańsku robotnicy krzyczeli „Pomożemy!”;

10. Sekretarka I sekretarza KC PZPR prowadzała się z zachodnim politykiem i przedstawicielem Międzynarodowego Funduszu Walutowego;

11. Represje i pacyfikacje w 1976 r. były prowokacją przeciwko Gierkowi, a on sam próbował je powstrzymać;

12. Był za częściową legalizacją antysystemowej opozycji;

13. Zmiany w konstytucji PRL z 1976 r. były grą z Sowietami, za którą kryły się intencja zmian ustrojowych i stworzenie urzędu prezydenta PRL;

14. Kania z Jaruzelskim, jako agenci sowieccy, od początku byli przeciwko Gierkowi i dążyli do jego usunięcia;

15. Wałęsa był bohaterem bez przeszłości SB sterowanym przez Kuronia w Sierpniu ’80;

16. Jaruzelski kolekcjonował teczki agentów SB, a nawet uciekał się do rękoczynów (dusił przed gmachem KC PZPR sekretarkę Gierka)…

/ Jest to film skrajnie kłamliwy, głupkowaty ze względu na sposób ukazania postaci i wydarzeń z lat 70., a pod względem sztuki filmowej beznadziejny… W sumie dno!

Mógłbym tak w nieskończoność… Dodając istotne wątki do opowieści o dekadzie Gierka (mordy polityczne na Pyjasie czy Szczepańskim) i ten, który pomijają niemal wszyscy, włącznie z historykami: rolę polityczną I sekretarza KC PZPR w planowaniu inwazji Frontu Nadmorskiego (LWP) Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego na Zachód (Danię, Benelux, Niemcy).

I mimo tego, że Jaruzelski jest w tym filmie postacią negatywną, ale jednak nieprawdziwą choćby ze względu na furiacki sposób zachowania; czy po części bliską mi wizję transformacji, w której Sowieci (KGB) sterują zmianami, a Amerykanie wikłają PRL w spiralę długów, by w wyniku transformacji Polskę skolonizować, jest to film skrajnie kłamliwy (a przecież aspiruje do obrazu historycznego, o czym świadczy całe historyczne résumé na końcu), głupkowaty ze względu na sposób ukazania postaci i wydarzeń z lat 70. (nawet gdyby był tylko komedią), a pod względem sztuki filmowej beznadziejny… W sumie dno! ©℗

eprasa.pl fe6332b98a



eprasa.pl fe6332b98a